TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 42 (1036)
16 PAŹDZIERNIKA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

OTWARTA NA WSZYSTKO CO ŻYWE

Wywiad z rektorem PWSFTv i T STANISŁAWEM KUSZEWSKIM

STRONA 6

Konrad Turowski

MOMENT WIRAŻU

str. 8

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

PRACA W KLAMRACH POWIEŚCI

STRONA 5

Tomasz Soldenhoff

ODBUDOWAĆ WIARĘ W SŁOWO

str. 7

ANDRZEJ MAKOWIECKI

MAKUMBA SCHEIBLERÓW

STRONA 10

PRZEKŁADY POEZJI I PROZY PISARZY IWANOWA

STRONA 12–13

Władysław Honkisz

FELIKS DZIERŻYŃSKI - ŻOŁNIERZ I BUDOWNICZY

str. 4

Lucjusz Włodkowski

nie tylko obiektywne przeszkody

3

SZKOLENIE

OBRONA CYWILNA

Nie wszyscy zapewne pamiętają francuski film „17 równoleżnik", który jeszcze w czasie trwania wojny wietnamskiej, długo gościł na ekranach polskich kin. W relacji dokumentalnej film ten pokazywał ogrom męstwa cywilnej ludności Wietnamu, zaangażowanej bezpośrednio w wojnie, pokazywał jakimi to niekiedy bardzo prostymi ale skutecznymi środkami mieszkańcy wietnamskich miast i wsi chronili się przed skutkami bombardowań.

Wiadomo, że Amerykanie zrzucili na Wietnam **trzy razy więcej** ton bomb, niż zrzucono na Niemcy hitlerowskie podczas II wojny światowej. Większość tych środków rażenia skierowana była na **Demokratyczną Republikę Wietnamu.** A jednak straty ludności nie były tam tak duże, jak by to wynikało z teoretycznie obliczonej mocy użytych środków. Była to zasługa świetnie zorganizowanej i wyszkolonej **obrony cywilnej DRW.**

We współczesnych wojnach nie ma mowy o niezaangażowaniu ludności cywilnej. Ludzie na zapleczu wojny są nie mniej narażeni na działania broni rakietowo-jądrowej od żołnierzy na froncie zewnętrznym. Potwierdzają to choćby doświadczenia minionych wojen.

Jeszcze w I wojnie światowej na ogólną liczbę 9,8 mln. zabitych żołnierze stanowili 95 procent. Jednak już w II wojnie światowej (kiedy to działania wojenne toczyły się na terytorium pięć i półkrotnie większym niż w poprzedniej wojnie!) na ogólną liczbę 52 mln. zabitych, 52 proc. — to byli żołnierze, **a aż 48 proc. osoby cywilne.** Z kolei w wojnie koreańskiej na 9,4 mln. poległych żołnierze stanowili tylko niecałe 16 proc., **osoby cywilne zaś — aż 84 procent.**

Wreszcie w wojnie na Półwyspie Indochińskim zabitych zostało 860 tys. ludzi, z czego **aż 90 proc. stanowiła ludność cywilna, 85 procent ogółu zabitych w tej wojnie to ofiary bomb i broni pokładowej lotnictwa.**

Liczby te, dostatecznie wymowne, można pozostawić bez komentarza. Gdyby jednak na przykład w czasie II wojny św. istniała zorganizowana obrona cywilna proporcje strat, które poniosłaby ludność w stosunku do strat w stanie sił zbrojnych można by przypuszczalnie **zmniejszyć aż dziesięciokrotnie!** Dlatego tak wiele w każdej wojnie zależeć będzie od stopnia zorganizowania ludności cywilnej, od jej zachowań i gotowości do obrony. Tym bardziej, że — jak przypuszcza się — w każdej nowej wojnie współczesnej główne działania wojenne w coraz większym stopniu kierowane będą nie na regularne wojska, lecz na zaplecze, na zgrupowania ludności, na miasta, zakłady produkcyjne, węzły komunikacyjne itd. Były szef Obrony Cywilnej ZSRR marszałek **W. Czujkow** tak określił znaczenie obrony cywilnej we współczesnych wojnach: **„Wytrzyma ten, kto potrafi ocalić życie ludności, zapewnić ciągłość kierowania i produkcji obiektów gospodarki narodowej, kto zdoła uchronić przed porażeniem rośliny i zwierzęta".**

W Polsce do opracowania systemu tzw. terenowej obrony przeciwlotniczej (znanej w czasie II w. świat. w ZSRR) przystąpiono w 1949 roku. W lutym 1951 roku Sejm powołał **Terenową Obronę Przeciwlotniczą** (TOP), która w 1964 roku została przemianowana na **powszechną samoobronę** (od maja 1973 roku — **obronę cywilną).**

W łódzkim województwie miejskim przygotowaniem ludności do zadań obrony cywilnej zajmuje się **Wojewódzki Inspektorat Obrony Cywilnej.** Podstawowym szkoleniem w zakresie samoobrony objął on w ub. r. w ŁWM ok. 28 tys. osób zatrudnionych w zakładach pracy i w rolnictwie, a także ponad 29 tys. uczniów różnych typów szkół oraz 536 instruktorów.

Sprawdzianem ich umiejętności, a zwłaszcza członków kierowniczej kadry formacji samoobrony, były przeprowadzone ostatnio na terenie trzech województw: łódzkiego miejskiego, skierniewickiego i piotrkowskiego **ćwiczenia obrony cywilnej pod kryptonimem „ZIEMIA ŁÓDZKA-77".** — Celem tych ćwiczeń jest sprawdzenie gotowości formacji samoobrony i organów obrony cywilnej na wszystkich szczeblach organizacyjnych, a także podsumowanie dorobku szkoleniowego — powiedział mi **Inspektor Wojewódzki d/s popularyzacji Leonard Janowski, przedstawiciel łódzkiego Wojewódzkiego Inspektoratu Obrony Cywilnej.** — Tak szeroko zakrojone ćwiczenia nie odbywają się często, stąd ich duża ranga. Nie mają one charakteru „pokazówek", jakie często przeprowadza się na szczeblu terenowych oddziałów samoobrony. W ćwiczeniach „Ziemia Łódzka-77" ćwiczą wszystkie rodzaje służb, ze szczególnym uwzględnieniem specjalistycznych oddziałów ratownictwa technicznego.

Ćwiczenia, którymi kierował **szef Obrony Cywilnej Kraju gen. broni Tadeusz Tuczapski,** zakończyły się w piątek 7 października 1977 roku. Potwierdziły one, jak podkreślono w czasie uroczystego zamknięcia i podsumowania dorobku ćwiczeń, **dużą sprawność i dobre wyszkolenie jednostek we wszystkich rodzajach zadań i we wszystkich warunkach.** Jednocześnie, z okazji zakończenia „Ziemi Łódzkiej-77" w gmachu Rady Narodowej m. Łodzi otwarto wystawę obrazującą osiągnięcia obrony cywilnej w kraju i w Łodzi.

TOMASZ SOLDENHOFF

LISTY DO REDAKCJI

STRZAŁ W DZIEWIĄTKĘ

Szanowny Panie Redaktorze

Recenzja pióra Pana Piotra Pietrzaka zatytułowana „Strzał w dziewiątkę", wydrukowana w rubryce MUZYKA, na łamach Pańskiego pisma w nr 39 dn. 25 września 1977 r. nasunęła mi wiele wątpliwości. Są one chyba uzasadnione, bowiem problem sprawiedliwej, ale bezkompromisowej krytyki jest ostatnio przedmiotem wielu sporów i dyskusji. Dlatego też proszę bardzo o wydrukowanie mojego listu w „Odgłosach".

Sądzę, że potwierdzeniem sukcesu dyrygenta, potwierdzeniem jego artystycznej kreacji, może być tylko sukces orkiestry, a z tym mamy do czynienia tylko wtedy, gdy orkiestra w pełni realizuje założenia dyrygenta. Jeśli więc „Krenz z Beethovenem sobie, a filharmonicy sobie", to pytam się, skąd u Pana Pietrzaka ten zachwyt? — cyt. „Ale znów był wspaniały" (to o dyrygencie). Mnóstwo w tej recenzji niekonsekwencji „Drewniane i mało plastyczne drewno", „przyciężkawe scherzo", wykonanie pierwszej części fatalne, „wakacyjna orkiestra grająca tysiącem intonacji" — są to zastrzeżenia recenzenta do wykonania utworu. Wybroniła się tylko część z chórem i solistami (chociaż też niezupełnie, bo głosy męskie według Pana Pietrzaka były zbyt słabo obsadzone). To chyba trochę za mało, żeby móc powiedzieć o dyrygencie „wspaniały". Czyżby ruchy dyrygenta tak zafascynowały Pana Pietrzaka. Przecież same ruchy, dyrygent bez orkiestry, to nie muzyka. A może nazwisko? Skoro Pan Pietrzak (jak sam zresztą napisał) miał ochotę wymigać się od tej recenzji, szkoda że tego nie zrobił. Chyba rzeczywiście „sparaliżował" Go Beethoven i Krenz. A w takiej sytuacji to już naprawdę trudno o coś sensownego. Skoro Pan Pietrzak słyszał tyle wad w wykonywaniu utworu, to dlaczego wysunął tak nielogiczny i niekonsekwenty końcowy wniosek? Czyżby zabrakło odwagi? Sprawa druga, to zbyt duża rozbieżność sądów, osób zdawałoby się uprawnionych do pisania o muzyce, skoro drukują swe wypowiedzi w prasie. A rozbieżności takie zauważyłam z niepokojem w omawianej wyżej recenzji Pana Piotra Pietrzaka oraz w recenzji zatytułowanej „Inauguracja" Pani Anny Iżykowskiej-Mironowicz, drukowanej w „Głosie Robotniczym" z dnia 14 września 1977 roku. Uważam, że sądy dotyczące interpretacji utworu mogą być różne, ale jeśli bierzemy pod uwagę sprawy wykonawcze, techniczne, to chyba nie powinny mieć miejsca aż tak rażące, skrajne wypowiedzi, jak wyżej wymienione. U Pana Pietrzaka czytam: „Pierwszą część symfonii — Allegro wykonano: Krenz z Beethovenem sobie, a filharmonicy sobie". Czytam też o orkiestrze, że „wakacyjna, grająca tysiącem intonacji — przede wszystkim w skrzypcach".

U Pani Iżykowskiej-Mironowicz natomiast czytam o „rewelacyjnym brzmieniu początku Allegra" (o reszcie nie wspomniała, ale jeśliby była aż taka zła, to chyba by coś na ten temat napisała), dalej zaś recenzentka wyróżnia z całego zespołu kwintet smyczkowy, cyt. „Oceniając grę orkiestr, wypada nam (...) przyznać prymat kwintetowi smyczków, bezbłędnych podczas całego przebiegu utworu". Zarzuty miała Pani Iżykowska nie do gry skrzypiec, jak Pan Pietrzak, ale do gry instrumentów dętych. O drugiej części symfonii Pan Pietrzak pisze, cyt. „Scherzo było po niemiecku, chwilami przyciężkawe". Pani Iżykowska zaś uważa, że część ta była zagrana „dynamicznie". Dalej autor „Strzału w dziewiątkę" pisze, że „drewno w trzeciej części (Adagio) było drewniane i mało plastyczne", zaś autorka „Inauguracji" wyróżnia wykonanie tej części i pisze o „urzekającym liryką Adagio". Jak widać z wyżej przytoczonych fragmentów recenzji, nie ma w nich zupełnie zgodności, w opiniach dotyczących wykonawczej, technicznej strony utworu. Jedynie co do śpiewu chóru zgadzają się Pani Iżykowska-Mironowicz i Pan Piotr Pietrzak. Pytam, kto się więc tu pomylił? W czwartym numerze „Ruchu muzycznego" z roku 1977 czytam słowa Bogusława Schaffera: „Coraz częściej na temat muzyki wypowiadają się ludzie, którzy już od pierwszych zdań udowadniają (tak!), że nie mają pojęcia o tym, o czym tak niefrasobliwie mówią. Każdy myśli, że samo liźnięcie muzyki do czegoś upoważnia (upoważnia, co najwyżej do dalszego lizania)".

MAŁGORZATA SZARGAN

GRANICA

W nawiązaniu do artykułu pt. „Granica" zamieszczonego w nr 37 z dnia 11. 09. 1977 r. Waszego pisma pragniemy przedstawić kilka szczegółów tej sprawy, których nie podano redaktorowi Ryszardowi Binkowskiemu.

Sprawa pomiędzy Jaśkiewiczem a Kaźmierczykiem znana jest nam od dawna. Spór pomiędzy nimi próbowała załagodzić już Gromadzka Rada Narodowa w Rokicinach. Pierwszą próbę pojednania od czasu powstania Gminy podjęto 11. 03. 1974 r. na posiedzeniu Społecznej Komisji Pojednawczej przy naszym Urzędzie, kiedy to strony doszły do porozumienia lecz na bardzo krótki okres czasu, po czym wszystko wróciło do „normy".

Następne posiedzenie Społecznej Komisji Pojednawczej odbyło się w dniu 16. 04. 1976 roku, na którym to nie doszło do porozumienia między stronami z powodu nie wyrażenia zgody przez Ob. Jaśkiewicza na spłatę połowy budynku mieszkalnego.

W międzyczasie na skutek słownych perswazji pracowników Urzędu Gminy (przede wszystkim inspektora budowlanego i instruktora rolnego) oraz sołtysa strony widząc absurdalność swojego postępowania postanowiły polubownie rozgraniczyć działkę siedliskową wraz z budynkami. W związku z tym w dniu 16. 06. 1976 r. Społeczna Komisja Pojednawcza dokonała rozgraniczenia siedliska informując zainteresowane strony, że jest to rozgraniczenie nieformalne dokonane w celu możliwości przyśpieszenia budowy budynku mieszkalnego przez Ob. Jaśkiewicza.

Poinformowano też zainteresowanych, że rozgraniczenie to uzyska moc prawną jeżeli będzie wykonane przez geodetę Wojewódzkiego Biura Geodezji, gdzie też skierowano zainteresowanych.

Niestety, strony po jakimś czasie i z takim rozwiązaniem sprawy nie chciały się pogodzić (mimo zabezpieczenia odpowiednich materiałów budowlanych Ob. Jaśkiewiczowi i w przypadku remontu istniejących budynków Ob. Kaźmierczyka) w związku z czym Urząd Gminy nie widząc możliwości pojednania pomiędzy stronami skierował ich na drogę postępowania sądowego.

Nie wynikało to z bezduszności lecz po prostu z bezskuteczności naszych oddziaływań.

W świetle tych faktów uważamy z naszej strony sprawę za zamkniętą, gdyż do tych ludzi nie trafia perswazja, serdeczność ani groźba.

Dziękując redaktorowi Ryszardowi Binkowskiemu za zamieszczenie artykułu w Waszym piśmie na w/w temat żałujemy, że nie skontaktował się z nami podczas bytności na naszym terenie, co być może wyjaśniłoby niektóre sprawy podane przez zainteresowanych we własnej interpretacji.

Z up. Nacz. Gminy
Sekretarz Biura
HALINA JÓŹWIK

KOMUNIKATY

I

Akademicki Ośrodek Kultury „SIÓDEMKI" organizuje środowiskowe eliminacje przed Ogólnopolskim Konkursem Poezji Zaangażowanej o nagrodę „Czerwonej Róży". Autorów nie należących do ZLP zachęca się do nadsyłania utworów (w 3 egz.) na adres: **Akademicki Ośrodek Kultury „SIÓDEMKI", 90-423 Łódź, ul. Piotrkowska 77 do dni 24 X 1977 roku włącznie.**

Ogłoszenie wyników nastąpi dnia **28 X 1977 r. o godz. 19.30 w lokalu Klubu „77" (ul. Piotrkowska 77).** Przewidziano cenne nagrody.

II

Dnia 28 X 1977 r. o godz. 19.30 w lokalu Klubu „77" odbędzie się **TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA o Wielką Nagrodę AOK „Siódemki".** Turniej ma charakter otwarty. Prace oceniać będzie jury złożone z wybitnych poetów. Każdy autor ma prawo przedstawić jeden utwór nigdzie dotychczas nie publikowany. Utwory opatrzone nazwiskiem **należy wrzucać do urny umieszczonej w lokalu Klubu „77" w dniu Turnieju do godz. 18.30. Autor powinien posiadać przy sobie na rozstrzygnięciu Turnieju kopię maszynopisu złożonego utworu.**

KILKA PYTAŃ

W związku z zamieszczonym na łamach Waszego pisma artykułem dr Ewy Nurczyńskiej zatytułowanym „Kilka pytań" przekazujemy kilka związanych z nim informacji.

O profilu repertuaru kin łódzkich w miesiącach letnich decydują w znacznym stopniu widzowie. Właśnie między innymi cykle wakacyjne pt. „Sensacja, emocja, przygoda .." — zostały dwa lata temu wprowadzone na życzenie widzów, do kilku kin Sa one kontynuowane z powodu dużego zainteresowania i przychylnych opinii. Obok nich widzowie w letnim okresie mają do wyboru zestawy i pojedyncze tytuły.

I tak np.:

cykle:

„Filmy o których się mówi"	— kino „WISŁA" 6—30.VI.
„Kino dla najmłodszych"	— kino „ROMA" 1—30.VI.
„Świat na wesoło"	— kino „ŚWIT" 1—30 VI.
„Pożegnanie z tytułem"	— kino „GDYNIA" 1—30.VI.
„Filmowy świat przygód"	— kino „TATRY" 1—31.VII.
„Sport na ekranie"	— kino „STUDIO" 22—31. VII.
„Baśnie i Legendy"	— kino „POLESIE" 5—28.VII.
„Adaptacje Szekspira"	— kino „MŁODA GWARDIA" 7—17.VIII.

i wiele innych.

Z ciekawszych filmów proponowanych w tym czasie widzom, pomijając kina premierowe, gdzie repertuar uzależniony jest od centralnego dysponowania kopiami, można wymienić:

— polskie filmy archiwalne, cieszące się zawsze powodzeniem u starszego pokolenia kinomanów („Gehenna", Piętro wyżej", „Zapomniana melodia", „Czy Lucyna to dziewczyna" i inne);
— filmy z „Konfrontacji 1976" („Tabor wędruje do nieba", „Biały statek", „Sam na sam", „Szacowni nieboszczycy", „Na skraju lasu");
— filmy dla najmłodszych („Filipek", „Dzień delfina", „Colargol na Dziki Zachodzie", „Syrenka i książę" itp.).

Wydaje się więc na podstawie tych kilku przykładów, że repertuar kin w okresie urlopowym jest urozmaicony za tym każdy z kinomanów ma możliwość wybrania interesującej go pozycji.

Jedną z form reklamy stosowanej przez OPRF jest audycja słowno-muzyczna o nazwie „Kinorama". Zawarte są w niej aktualne wiadomości o bieżącym repertuarze i imprezach kinowych a także inne informacje ze świata filmu. Audycja ta nagrana co miesiąc w kilkunastu egzemplarzach odtwarzana jest przez radiowęzły w dużych zakładach pracy, a także przed seansami w wytypowanych kinach i to zarówno przez głośniki ekranowe jak w holach kin. Przeprowadzony sondaż wykazał, że poważna ilość widzów wysłuchuje nagraną audycję w części lub w całości, uważa ją za celową i pożyteczną.

Brak materiałów wyjściowych powoduje niemożność reklamowania i informowania o filmie przy pomocy przeźroczy. Niemniej w przypadku braku zwiastuna do atrakcyjnego filmu prowadzone były próby wykorzystywania pojedynczych klatek filmu lub odpowiednio zmontowanych pod nagrany tekst. Ponieważ dzieje się to jednak kosztem taśmy filmowej, którą trzeba ciąć w kilku a nawet kilkunastu miejscach, ta forma reklamy stosowana jest raczej rzadko.

Bezpłatnie wydawane są programy do niektórych filmów polskich. Przyznajemy jednak, że nie zawsze są one w wystarczających ilościach. Wzbogacono reklamę o kilka nowych stoisk reklamowych na terenie miasta.

Uprzejmie informujemy, że akcja „Lato z filmem" cieszyła się dużym zainteresowaniem widzów. Warto przypomnieć, że w ramach tej akcji widzowie Łodzi obejrzeli wybitny film prod. USA „Maratończyk" reż. John Schlesinger i prod. ang. „Omen" reż Richard Donner (wersje oryginalne).

Dziękujemy „Odgłosom" za rzeczowe, krytyczne uwagi i prosimy o dalszą współpracę.

Z-ca Dyrektora d.s. rozpowszechniania
Lucjan Kluska

ZAŁOŻENIA I RZECZYWISTOŚĆ

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł „Założenia i rzeczywistość" (ODGŁOSY nr 39 z dn. 25.09.77) podpisany przez Barbarę Olejnik i Pawła Lareckiego, który okazał się streszczeniem czwartego rozdziału książki Wacława Panka „Mity muzycznej rozrywki" (wyd. Inst. Wyd. CRZZ, W-wa 1976, str. 46—58). Ponieważ nazwiska autora rozważań nie wydrukowano obok nazwisk redaktorów skrótu, niniejszym pozwalam sobie na uzupełnienie w nadziei, iż sprostowanie moje ukaże się drukiem.

Z poważaniem Tadeusz Błaszczyk

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NIE TYLKO OBIEKTYWNE PRZESZKODY

Od dłuższego czasu w rozważaniach o naszej gospodarce powtarza się termin m a n e w r. Decyzja o przeprowadzeniu tego manewru zapadła — jak zapewne wszyscy pamiętamy — na V plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego PZPR. Uznano wówczas — a był to początek grudnia 1976 roku — że musi następować szybszy rozwój tych dziedzin gospodarki, które służą zaspokajaniu potrzeb materialnych społeczeństwa, przy wolniejszym rozwoju tych dziedzin, które służą do wytwarzania środków produkcji.

Szybszy wzrost nakładów inwestycyjnych miał obejmować rolnictwo i całość gospodarki żywnościowej, produkcję towarów przeznaczonych na rynek wewnętrzny i eksport oraz usługi i na budownictwo mieszkaniowe. Celem takiego przegrupowania sił i środków była stała i systematyczna poprawa zaopatrzenia rynku, zwiększenie produkcji eksportowej, ograniczenie importu oraz poprawa jakości gospodarowania.

„Główny wysiłek — mówił na V Plenum KC PZPR Edward Gierek — **będziemy koncentrować na lepszym i pełniejszym wykorzystaniu istniejącego potencjału produkcyjnego. Od czego to zależy? W pierwszym rzędzie od lepszego wykorzystania czasu pracy, od wzrostu dyscypliny, od kultury technicznej i ekonomicznej, a w syntetycznym ujęciu po prostu od wyższej wydajności pracy."**

Po 1970 roku w wielu dziedzinach gospodarki nastąpił znaczny rozwój, dokonano modernizacji, wprowadzono nowoczesną technikę i technologię, przygotowano warunki dla produkowania nowoczesnych wyrobów oczekiwanych przez klientów. Modernizacja gospodarki nie jest jednak procesem zakończonym. Musi ona postępować nieustannie. W rezultacie jednak tego, co dokonano powstały warunki dla sprawniejszego i lepszego zaopatrywania rynku wewnętrznego i eksportu. Czy z tych warunków przedsiębiorstwa skorzystały we właściwy sposób? Czy potrafiły produkować to, co na rynku było poszukiwane? Czy zaspokajają społeczne oczekiwania?

1.

Manewr przyniósł oczekiwane rezultaty. **W pierwszym półroczu 1977 roku** dostawy towarów na rynek wzrosły o 16 procent. Z drugiej jednak strony wzrosły też dochody ludności, średnia płaca przekroczyła już 4 tysiące złotych. Zwiększający się dopływ towarów na rynek, jeśli są to towary nowoczesne, wysokiej jakości, szybko znajduje popyt. Dlatego też, mimo że manewr spowodował pozytywne zmiany na rynku, to są one odczuwane i dostrzegane nie w takim wymiarze, jak by się tego można było spodziewać. Powoduje to, że nadal na rynku występują napięcia, że klient ciągle poszukuje towarów nowoczesnych, wysokiej jakości, a handel proponuje mu towary, które nie znajdują chętnych.

W przedsiębiorstwach produkcyjnych dokonano wnikliwej analizy istniejących możliwości, przeprowadzono niezbędne korekty w planach, aby w rezultacie zwiększenia wydajności pracy dać na rynek i na eksport więcej towarów. Jednakże nie wszystkie przedsiębiorstwa dokonały takiej analizy we właściwy sposób. W niektórych przypadkach nadal działał schemat, nadal powodowano się raczej wskaźnikami niż społecznym zapotrzebowaniem. Szukano takich rozwiązań, które sprawiłyby fabryce najmniej kłopotów, nie wymagały zmian w dostawach materiałów i surowców, które można byłoby wykonać przy istniejącym systemie organizacji, przy istniejącym poziomie kwalifikacji załogi, a jednocześne, aby wyroby te przyniosły fabryce największe korzyści, pozwoliły sprawnie i bez komplikacji zrealizować plan produkcyjny.

Takie podejście do manewru gospodarczego można nazwać formalnym. Podjęte działanie miało na celu nie tyle interes społeczny, co interes partykularny zakładu. Klasycznym przykładem może tu być **przemysł meblowy.** Powszechnie wiadomo, że ludzie daremnie poszukują mebli, że zapisują się w kolejkę po meble, że wpłacają należność wcześniej, aby tylko meble otrzymać. Jest to zjawisko zrozumiałe, jeśli weźmie się pod uwagę, że postępujące budownictwo mieszkaniowe rodzi zapotrzebowanie na meble, a zapotrzebowaniu temu nie może ciągle jeszcze sprostać przemysł meblowy. Ale zupełnie nie można zrozumieć, jak to się dzieje, że w tymże przemyśle niepokojąco rosną zapasy mebli, na które nie ma nabywcy?

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że handel oferuje kupującym sporo różnych towarów. Kiedy jednak przychodzi do kupna czegoś konkretnego, takiego towaru, na który klient ma ochotę, który jest mu potrzebny, który sobie wymarzył, to okazuje się, że tego akurat nie można dostać. A dotyczy to między innymi przemysłu odzieżowego, obuwniczego, wielu wyrobów gospodarstwa domowego, sprzętu elektrotechnicznego i innych. Wniosek z tego jest dość prosty: **towary, które zostały trafione w społeczne zapotrzebowanie znajdują szybki zbyt, natomiast buble, albo — jak to się mówi — towary nietrafione, spokojnie leżą na półkach i nawet czasem przecena nie wzbudza w klientach zainteresowania nimi.**

2.

W niektórych dziedzinach wytwórczości ciągle jeszcze występują ograniczone możliwości produkcyjne i stąd na rynku brakuje towarów Te dziedziny gospodarki modernizują się, ale postęp jest powolny. Na przykład handel szacuje, że na rynku potrzeba 58 milionów sztuk naczyń kuchennych, a wytwórcy oferują tylko 42,8 milionów sztuk. Jeśli dodać do tego 700 tysięcy sztuk importowanych naczyń kuchennych z NRD, to w sumie na rynku będzie 43,5 miliona sztuk. O wiele niżej od potrzeb.

Przy tym braki występują w określonych grupach wyrobów. Na przykład na zapotrzebowanie 8 milionów sztuk naczyń aluminiowych przemysł daje 6,6 miliona sztuk, zbliżając się już do pełniejszego pokrywania potrzeb. Natomiast pokrycie zapotrzebowania na naczynia emaliowane wynosi zaledwie 30 procent i trzeba będzie poczekać na skutki modernizacji dokonywanej w przedsiębiorstwach produkcyjnych, aby i w tej dziedzinie zmieniła się sytuacja.

Tego typu przyczyny można nazwać **obiektywnymi,** gdyż wynikają one z uprzednio wytworzonych opóźnień, a niekiedy wręcz z zaniedbań w rozwijaniu poszczególnych dziedzin wytwórczości. Zostaną one zlikwidowane w miarę postępów modernizacji tych dziedzin wytwarzania. Obok tego występują jednak przyczyny **subiektywne,** całkowicie zależne od wytwórcy, a wynikające z brakoróbstwa, opieszałości, wygodnictwa i poświęcania większej uwagi sprawom wskaźników niż zaspokajaniu potrzeb rynku.

Klientki sklepów obuwniczych wiedzą na przykład, że kupując ładne obuwie **„Syreny"** ryzykują, że może po kilku dniach w obuwiu tym odkleić się podeszwa. Załoga „Syreny" jest świadoma tego i na konferencji samorządu robotniczego postanowiono uruchomić w niektórych sklepach punkty usługowe, w których można będzie naprawiać obuwie „Syreny" w ramach reklamacji. Takie usługi będą oczywiście bezpłatne. Ale to przecież nie jest w ł a ś c i w y sposób na usunięcie przyczyny powstawania braków. Usunąć je trzeba w samym zakładzie.

W „Syrenie" zdecydowano również, że pokazywany na targach projekt nie powinien różnić się od produkcji seryjnej. Projekty na ogół wykonuje się z niezwykłą dokładnością, wypieszcza się niemal. Jednakże sposób zrobienia j e d n e g o egzemplarza różni się zasadniczo od produkcji taśmowej. Dlatego w „Syrenie" postanowiono, że rola projektanta nie kończy się w chwili zrobienia projektu, ale trwa nadal aż do chwili zejścia z taśmy serii pilotowej. I ocenę tej pracy daje nie komisja a klienci reagując na tę serię. Trzeba przyznać, że taki s p o s ó b m y ś l e n i a bierze pod uwagę interes klienta, a nie tylko interes fabryki.

Trzeba też przyznać, że jeszcze często zdarzają się przykłady produkcyjnej działalności, która jest podejmowana z myślą o własnym interesie, a nie z myślą o interesie odbiorcy. Przy czym wina nie zawsze leży tylko po stronie wytwórcy. Trudno byłoby **Hutę Szkła „Wałbrzych"** — producenta vitromozaiki — winić za to, że w magazynach leży 223 tysiące metrów kwadratowych tego produktu. Vitromozaika bowiem wymaga ścisłego przestrzegania technologii klejenia. W przeciwnym wypadku odpada. Od trzech lat, kosztem 2,5 miliona złotych, reklamuje się vitromozaikę wszędzie, gdzie tylko można, nie wyłączając reklamy telewizyjnej. Metr kwadratowy vitromozaiki kosztuje 94 złote, ale ludzie nadal zabijają się o glazurę w cenie około 900 złotych za metr kwadratowy. Dlaczego? Dlatego, że nikt nie informuje klienta, w jaki sposób należy przyklejać vitromozaikę, aby nie odpadała.

Złą robotą jest nie tylko ewidentny bubel, nie tylko o złej robocie możemy mówić wtedy, kiedy budowlani położą lentex na beton nie sprzątnięty z gruzów, o złej robocie można mówić i wtedy, kiedy handel nie liczy się z interesem klienta, kiedy nie myśli się w sklepie o tym, co jest celem handlowej działalności. Można więc powiedzieć uogólniając, że z ł a r o b o t a występuje wszędzie tam, **gdzie ludzie zatracają z pola widzenia cel swojej pracy,** kiedy robią, aby robić, aby tylko nikt ich się nie czepiał, kiedy „odfajkowują", „odwalają" swoją robotę.

3.

W potocznych rozmowach bardzo często wiele występujących nieprawidłowości, a przede wszystkim niektóre braki w zaopatrzeniu próbuje się tłumaczyć eksportem. Tego rodzaju spojrzenie na rzeczywistość jest nieporozumieniem, a co więcej jest spojrzeniem spaczonym. Wynika ono z niezrozumienia podstawowej zasady, że **we współczesnym świecie nie może być żadnego rozwoju gospodarki, postępu technicznego i technologicznego bez wymiany handlowej, bez współpracy z zagranicą.** Jeśli chcemy kupować, musimy sprzedawać, aby mieć za co kupić. Nie zawsze bowiem handel zagraniczny może opierać się na prostej wymianie towarowej. Nie zawsze bowiem ten, kto ma coś interesującego dla nas do sprzedania, chce od nas cokolwiek kupować. Eksport jest więc rzeczą konieczną i warunkującą rozwój wewnętrzny. Warunkującą nie tylko poprzez możliwość importu techniki i technologii, ale również poprzez wpływ na jakość produkcji, poprzez nacisk na konieczność dorównywania światowemu standardowi. Oczywiście podobnie w eksporcie, jak w każdej dziedzinie życia istnieje granica, której nie można przekroczyć. Widzenie krajowej rzeczywistości tylko przez pryzmat możliwości eksportowych jest również skrzywieniem.

Systematycznie rozwijany eksport pozwolił nam po 1970 roku kupić blisko 400 licencji. Kupowanie licencji jest zjawiskiem światowym, gdyż we współczesnym świecie nie czas na wyważanie otwartych drzwi, na ponowne odkrywanie rzeczy już gdzieś indziej odkrytych. Ale kupowanie licencji musi być określone polityką, jasno sprecyzowaną zasadą działania. Otóż specjaliści są w zasadzie nie zdecydowani, czy należy kupować licencje dla tych dziedzin wytwórczości, w których jesteśmy słabi, aby wzmocnić je i umożliwić doganianie światowego poziomu, czy też kupować licencje dla tych dziedzin wytwarzania, w których jesteśmy silni, aby jeszcze je umocnić i stworzyć warunki dla rywalizacji z najsilniejszymi. Jak do tej pory stosujemy obie te zasady, z tym raczej, że preferuje się dziedziny słabsze.

Dla elektroniki i automatyki kupiono 45 licencji, dla motoryzacji — 25, dla petrochemii — 23, a dla przemysłu stoczniowego — 10. Niektórzy twierdzą, że powinno być odwrotnie, gdyż w przemyśle stoczniowym byliśmy najsilniejsi. Inni natomiast zwracają uwagę na fakt, że gdyby nie kupiono dużej ilości licencji dla elektroniki i przemysłu motoryzacyjnego, to w tych dziedzinach bylibyśmy nadal daleko zacofani. Wydaje mi się, że w takiej sytuacji spór powinien toczyć się nie na temat: dla kogo kupować licencje, ale na temat: **jak są one wprowadzane w życie?** Bo właśnie — wszystko wskazuje na to — że w tej dziedzinie nie zrobiono tyle, ile należałoby się spodziewać, albo ściślej, ile byłoby niezbędne.

Kupując licencję dla Fiata 126 p zakładano, że krajowy przemysł będzie stopniowo przejmował produkcję części do tego samochodu, eliminując import. Fabryki podległe **Ministerstwu Przemysłu Chemicznego** miały dostarczać 280 rodzajów wyrobów, a dostarczyły tylko 122. Fabryki podległe **Ministerstwu Maszyn Ciężkich i Rolniczych** miały dać 298 rodzajów wyrobów, a dały tylko 151. Te brakujące wyroby trzeba nadal importować z zagranicy, płacąc za to — oczywiście — żywą gotówką. A tak jest nie tylko w przypadku Fiata 126p.

Niepokojące jest również to, że w naszej ofercie eksportowej wyroby produkowane na podstawie licencji kupionych w ostatnich sześciu latach stanowią zaledwie 4,5 procent. Poza tym — jak do tej pory — nie widać efektów pracy badawczo-rozwojowej nad licencjami. W każdym razie w dyskusji na ten temat opublikowanej w **„Polityce"** przedstawiciel **„Polservice"** oświadczył, że jego instytucja **„nie ma do zgłoszenia za granicą żadnych patentów, które stanowiłyby rozwinięcie tematów licencyjnych".**

Gospodarkę trzeba nadal modernizować i to zarówno w sferze zarządzania, organizacji pracy, jak i w sferze techniki i technologii. Ale też trzeba wnikliwiej badać warunki, w jakie wprowadza się najnowocześniejszą technikę, analizować czy w dziedzinie tej nie występują bariery, które zahamują i utrudnią adaptację. We wspomnianej już dyskusji o licencjach, publikowanej na łamach **„Polityki"**, zwrócono między innymi uwagę, na konieczność spłacania licencji, przez fabryki licencje te wprowadzające, towarami, które w wyniku tego powstaną. W ten sposób uniknie się premiowania licencjami fabryk, które nie są do wprowadzenia licencji jeszcze przygotowane. Wiąże się to zresztą z podstawową zasadą, która powinna być przestrzegana przy kupnie licencji, a która sprowadza się do tego, że **licencje powinny być bodźcem dla dalszych własnych prac badawczych.** Skoro jednak fabryka nie jest przygotowana do wprowadzenia licencji, to i o dalszych badaniach nie może być mowy.

4.

Z tego, pobieżnego wszakże, przeglądu niektórych problemów naszej gospodarki widać wyraźnie, że źródła wielu kłopotów i nieprawidłowości leżą **w sferze przyczyn subiektywnych.** Bardzo często wynikają one z partykularnego sposobu myślenia, z widzenia wąskiego spraw tylko własnej fabryki, gałęzi wytwarzania, regionu. Jest to sposób patrzenia niejako do wewnątrz, sposób widzenia spraw ograniczonych fabrycznym murem, granicą województwa, podziałem branżowym. Takie widzenie uniemożliwia dostrzeganie występujących w naszym życiu powiązań, zależności, uwarunkowań. A przede wszystkim nie pozwala widzieć c e l u, czyli społecznego uwarunkowania całej naszej działalności, nie pozwala widzieć i rozumieć, że wszystko robimy dla l u d z i, czyli dla n a s s a m y c h.

NIE TYLKO HISTORIA

ADMIRAŁ CANARIS

O historii wywiadów można nieskończenie. Któryż redaktor czasopisma, który wydawca odrzuci tekst o tej tematyce, jeżeli jest on napisany potoczyście, relacjonuje mniej lub więcej sensacyjne epizody z dawnych czy nowszych walk wywiadowczych? Wszak czytelnik tylko na takie rzeczy czeka! Jakże to przyjemnie zasiąść sobie w fotelu i zatopić się w lekturze opowieści o tajemniczych grach wywiadów! Daje nam to nie tylko okazję do zapełnienia wolnego czasu, którego na ogół nie mamy zbyt wiele. Spełnia także inną funkcję: potwierdza nasze dobre mniemanie o sobie samych, skoro my przecież wiemy, co z tego wszystkiego wynikło, zaś oni, którzy te walki toczyli, tego nie wiedzieli i mylili się nader często. Myślę, że tutaj właśnie, bardziej niż w sensacyjności samego historycznego, czy też — jak to nieraz bywa — pseudohistorycznego tworzywa, leży klucz do popularności tego rodzaju piśmiennictwa, które często jest po prostu żenująco słabe, i to zarówno pod względem literackim, jak i dokumentacyjno-historycznym. Przyznam się, że nie lubię tych serialnych opowieści o dziejach wywiadów podczas II Wojny Światowej, kompilowanych z dwóch czy trzech zagranicznych książek, a sprzedawanych przez rozmaitych autorów do najróżniejszych czasopism. Nie lubię, bo literaturę tę cechuje wtórność: nie wnosi ona najczęściej nic nowego do tego, co już powiedziano, co najwyżej popularyzuje to, co ustalono w piśmiennictwie innych krajów, i to nie zawsze zdając sobie sprawę z faktu, że jeśli się coś upowszechnia — jak na Zachodzie opowieści o wspaniałych „rycerzach" z hitlerowskiej Abwehry i tym podobne — czyni się to zwykle z jakiegoś powodu... Pisywanie na tematy wywiadowcze nie jest bowiem w dzisiejszym świecie sprawą całkowicie politycznie obojętną i nad wyraz często załatwia sprawy całkiem ważne i to na dzisiaj. Kto nie wierzy, niechaj przeczyta któraś z nie tłumaczonych u nas książeczek z serii o Jamesie Bondzie, a łatwo się o tym przekona. Literatura tego typu była i jest w bardzo wielu krajach instrumentem działania propagandowego, służącym nie zawsze najpiękniejszym sprawom.

Zamiast kompilowanych, wtórnych sensacyjnych opowieści na te tematy, wolę nieco spokojniejsze, ale odwołujące się do naukowej dokumentacji opisy historyków czy starających się naprawdę zgłębić te problematykę publicystów. I u nas jest takich autorów wcale niemało, by wspomnieć fachowe, niezmiernie interesujące publikacje Władysława Kozaczuka i kilku innych osób. Do nich dołącza ostatnio Jan G a j e w s k i, swoją niewielką książeczką „Canaris", wydaną przez „Książkę i Wiedzę" (1977), poświęconą szefowi hitlerowskiej Abwehry, czyli wywiadu wojskowego III Rzeszy i kierowanej przezeń instytucji.

„W całej literaturze, jak zresztą w ogóle w poglądach historyków i badaczy dziejów ostatniej wojny, daje się zauważyć diametralnie różne spojrzenia na osobę Canarisa: od tworzenia mitu wokół niego, idealizowania go — aż po przedstawianie szefa Abwehry jako demona zła i zbrodni" pisze autor na wstępie swojej książki. Starał się on w sposób popularny — rzecz opiera się na bogatej literaturze przedmiotu, jednakże nie na badaniach archiwalnych — pokazać postać Canarisa możliwie bezstronnie, a zarazem — za to cenię J. Gajewskiego — „przeciwstawić się poglądom, których daleki pogłos można zauważyć nawet i u nas (na przykład w serialu telewizyjnym „Stawka większa niż życie"), tym mianowicie, że Abwehra była czymś „lepszym" w systemie politycznym i militarnym hitleryzmu, że odróżniała się na korzyść od bandytów z SS czy gestapo, była bardziej „humanitarna".

Autor tej książeczki celnie zauważa, że dramatyczne okoliczności śmierci admirała — zamordowanego w bestialski sposób w obozie koncentracyjnym we Flossenburgu przez tych, którym tak wiernie, choć zdaje się że nie całkiem tak jakby oni tego sobie pragnęli służył — fakt rozwiązania Abwehry pod koniec II Wojny Światowej, także nie bez powodu, wszystko to zdaje się stwarzać „swego rodzaju klimat pobłażliwości" i może „osłabić prawdę o zbrodniczości hitlerowskiego wywiadu wojskowego i Canarisa", prawdę — dodajmy — już wielekroć na świecie „osłabianą". Przez kogo kiedy, jak i w jakim celu — na pytania te udzielamy sobie sami odpowiedzi, czytając tę interesującą książeczkę.

Z pewnością, o Wilhelmie Canarisie pisać trudno, bo dokumentacji nie zachowało się zbyt wiele. Dziennik, który admirał prowadził, dyktowany maszynistce i przechowywany przezeń w jednym egzemplarzu, już nie istnieje. Zniszczono go w ostatniej chwili przed kapitulacją, z rozkazu samego szefa gestapo Heinricha Müllera. Widocznie było tam zbyt wiele wiadomości obciążających prominentów III Rzeszy. Zostają ułamkowe źródła współczesne, a przede wszystkim relacje ludzi, którzy znali Canarisa, z nim współpracowali. Dlatego trudno o wyważone, krytyczne, w pełni uzasadnione naukowo spojrzenie, łatwo zaś o zdeformowanie obrazu tej postaci. „Współwinowajcy nigdy nie zdradzają ponurych tajemnic" — powiada J. Gajewski, komentując relację Jürgena Stroopa o śmierci Canarisa. Ale współwinowajcy potrafią — dowodzi tego fala wspominkowej literatury o czasach hitlerowskich, zalewająca rynek księgarski w wielu krajach zachodnioeuropejskich — wybielać się, opowiadając fascynujące historie o swoich zmarłych szefach. I o tym należy pamiętać, kiedy korzysta się z tego wszystkiego, co o sprawach hitlerowskiego wywiadu pisze się dzisiaj na świecie.

ANDRZEJ F. GRABSKI

WŁADYSŁAW HONKISZ

FELIKS DZIERŻYŃSKI ŻOŁNIERZ I BUDOWNICZY

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Feliks Dzierżyński uważnie studiował wszystkie poczynania władzy carskiej wobec wojska. Z treści obfitej korespondencji zawartej w jego „Pismach Wybranych" wynika, że śledził pilnie stan wrzenia rewolucyjnego wśród oddziałów carskich, inspirował do przemyślanego działania wśród żołnierzy i szukania wśród nich sojuszników. Kiedy pod koniec 1904 roku stacjonujący wówczas w Puławach 71 pułk bielawski odmówił pójścia na front, część działaczy SDKPiL prosiła, by ze względów konspiracyjnych o tym nie pisać. Dzierżyński był przeciwnego zdania.

W 1904 i 1905 roku Feliks Dzierżyński opowiadał się za współdziałaniem SDPRR i SDKPiL w ramach Wojskowo-Rewolucyjnej Organizacji SDPRR. Jako przedstawiciel Zarządu Głównego SDKPiL brał Dzierżyński aktywny udział w opracowywaniu odezw i ulotek do żołnierzy. Treść ulotek wzywała do sojuszu robotników, chłopów i żołnierzy, nawoływała noszących broń, by nie strzelali do demonstrujących.

roku F. Dzierżyński pisze m.in.: „Jutro ma być mobilizacja w Warszawie i całym Królestwie, a jednocze-

W liście datowanym

śnie mają ogłosić „wojennoje położenije". Wojska są przygotowane do stłumienia rozruchów, których wszyscy oczekują. Chwila stanowcza nadchodzi. Morze krwi się rozleje. Oficer (widocznie któryś z działaczy Wojskowo-Rewolucyjnej Organizacji) mi powiedział, że mobilizacja i stan wojenny jutro będą ogłoszone. Wojskowi obradują teraz nad tym, że należy wieszać wszystkich, kogo złapią z bronią. Podają to jako fakt oficerowie „gwardiejscy", którzy mają stosunki rozległe. Radzą nad tym, by silnymi kordonami wojskowymi odciąć przedmieścia od miasta i wszystkie domy na przedmieściach zrewidować... Wśród żołnierzy zaś nastrój na ogół apatyczny... Musimy stanowczo zwrócić daleko większą uwagę na wojsko".

Głęboką, pouczającą wymowę posiada treść sprawozdania Zarządu Głównego SDKPiL, które przedłożył F. Dzierżyński, pod pseudonimem Frankowski, na V Zjeździe (Zakopane, czerwiec 1906 r.). Zawiera ono ocenę sytuacji polityczno-militarnej 1903—1905 r., ocenę wojny z Japonią, uzasadnienie do stanowczego hasła Socjaldemokracji „wojna przeciw wojnie". F. Dzierżyński dużo uwagi w swym sprawozdaniu poświęcił także formom walki czynnej przeciwko caratowi, na tle doświadczeń walk w rewolucji 1905 roku. Oto jego słowa: „20-tysięczna demonstracja warszawska 1 Maja 1905 roku, 60- i 100-tysięczne demonstracje łódzkie w czerwcu tegoż roku — były kulminacyjnym punktem w rozwoju ruchu manifestacyjnego. Od tych olbrzymich wystąpień ludowych był już krok tylko do wystąpień masowych z bronią w ręku — do zbrojnego powstania. I zaszczyt uczynienia pierwszej próby powstania, pierwszej masowej walki barykadowej w państwie carów przypadł w udziale polskiemu proletariatowi i miastu Łodzi, gdzie w czerwcu 1905 roku, pod wodzą Socjaldemokracji rozegrał się czterodniowy dramat zbrojnej walki rewolucyjnej".

Także pobyt w więzieniach: w Siedlcach, Cytadeli Warszawskiej, na zesłaniu w Kajgorodskoje, Nolińsku, więzieniach Aleksandrowa i Mceńska, na katordze w Orle — jak wynika to z bogatego materiału faktograficznego — wykorzystał Dzierżyński m. in., na poznawanie duszy żołnierskiej. Wiele uwagi i wniosków dostarczyły mu bezpośrednie rozmowy z przesłuchującymi go oficerami. Prowadził szeroką obserwację zachowań i postaw oficerów carskich skazanych za różnego rodzaju przewinienia, nieprawomyślność, przynależność do różnego rodzaju ugrupowań politycznych, obrazę cara.

W niezwykłym dokumencie człowieczeństwa, za jaki można uznać „Pamiętnik więźnia", pisze Dzierżyński pod datą 18 luty 1909 rok: „Niedawno spotkałem żołnierza, wyglądał smutno — pilnował nas. Zapytałem co mu jest, odpowiedział, że w domu chleba nie ma, że Kozacy zaćwiczyli rózgami u niego na wsi kilkoro mężczyzn i kobiet, że tam w domu jest okropnie". A drugi raz mówił: „my tu cierpimy a w domu o głodzie siedzą. Cała Rosja o głodzie siedzi, w całym państwie rózgi świszczą. Jęki dochodzą tu przez mury całej Rosji i zagłuszają jęki więźnia".

Tkwiąc głęboko w gąszczu walki i działając bezpośrednio wśród mas, stykając się ciągle z działaczami reprezentującymi różne poglądy i kierunki w ruchu robotniczym, pojmował znacznie szerzej niż wielu innych — przesłanki, warunki i społeczną bazę rewolucji. Znaczone wielką aktywnością lata działalności rewolucyjnej w litewskim, polskim i rosyjskim ruchu robotniczym były dla F. Dzierżyńskiego wielką szkołą hartu i zdobywania doświadczenia w kierowaniu masami. Były również okresem zgłębiania teorii naukowego socjalizmu, jednoznacznego wyboru leninowskiej drogi walki o zwycięstwo rewolucji. Doświadczenia te, a także nieprzeciętny talent organizacyjny i bezkompromisowy charakter oraz oryginalny styl działania, stały się punktem wyjścia dla jego działalności w dobie Wielkiego Października i w okresie budownictwa podstaw państwowości radzieckiej. Przypomnijmy w tym miejscu, że 3 sierpnia 1917 roku, w czasie obrad VI Zjazdu SDPRR, jako drugi — po referacie Sergo Ordżonikidze — wystąpił Feliks Dzierżyński, który wyraźnie opowiedział się przeciwko stawiennictwu Lenina w sądzie, o co zabiegał Rząd Tymczasowy. Wyrażając niejako myśli wszystkich delegatów, Feliks Dzierżyński oświadczył: „Powinniśmy wyjaśnić towarzyszom, że nie ufamy Rządowi Tymczasowemu i burżuazji, że nie wydamy Lenina".

Kiedy w październiku 1917 roku sprawa przygotowania powstania zbrojnego stanęła na forum obrad III Piotrogrodzkiej Ogólnomiejskiej Konferencji Bolszewików, socjaldemokraci polscy, znajdujący się w Rosji, wzięli w niej aktywny udział. W utworzonym przez Piotrogrodzką Radę Komitecie Wojskowo-Rewolucyjnym znaleźli się Feliks Dzierżyński i Józef Unszlicht. Szeroka wiedza polityczno-militarna, znajomość wartości moralno-bojowych armii carskiej legły zapewne u podstaw decyzji, na mocy której F. Dzierżyński został wybrany do Ośrodka Kierowniczego Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego. W listach do żony z tego okresu pisze: „Jestem w ogniu walk — wznowiłem życie żołnierza, który nie ma wypoczynku, bo musi ratować nasz dom. Nie ma czasu myśleć o swoich i o sobie. Praca i walka straszna. Lecz serce me w tej walce pozostało żywe,to samo co dawniej".

Feliks Dzierżyński w pełni opowiadał się za opracowaną przez Lenina i Stalina koncepcją październikowego powstania zbrojnego. Na podstawie dostępnych źródeł można wnosić, że wziął w jego realizacji bardzo aktywny udział. Uczestniczył bezpośrednio w pracach, kierowanego przez Stalina, Ośrodka Partyjnego przy KC, który podejmował wiążące decyzje w sprawie doprowadzenia do stanu całkowitej gotowości bojowej armii rewolucyjnej, opanowania przez bolszewików dróg, mostów i węzłów kolejowych prowadzących do stolicy, zorganizowania systemu łączności Ośrodka ze wszystkimi Komitetami Wojskowo-Rewolucyjnymi poszczególnych Armii i Frontów, opracowania specjalnego szyfru, za pomocą którego miano doprowadzić termin wybuchu powstania do wszystkich organizacji partyjnych. Szczególną uwagę zwrócono na organizację sił bojowych powstania, tj. oddziałów Gwardii Czerwonej.

Na uwagę zasługuje bardzo aktywne stanowisko Dzierżyńskiego w sprawie utworzenia, a następnie działania instytucji Komisarzy. Feliks Dzierżyński z wielkim uporem — jak potwierdzają to dokumenty — sprawdzał lojalność komisarzy wobec bolszewików.

W przełomowych dniach rewolucji — 24 października — Komitet Wojskowo-Rewolucyjny powierza Dzierżyńskiemu ochronę Pałacu Smolnego, gdzie obradował II Ogólnorosyjski Zjazd Rad. Występując na Zjeździe w imieniu polskiej socjaldemokracji Dzierżyński całkowicie poparł zaproponowany przez Lenina Dekret o Pokoju. 24 października 1917 roku Komitet Centralny powierzył także Dzierżyńskiemu przejęcie i nadzór nad pocztą i telegrafem. Od tego momentu Feliks Dzierżyński, wspólnie ze Stalinem i Swierdłowem, członkami Ośrodka Partyjnego, bez przerwy znajdowali się w Komitecie Wojskowo-Rewolucyjnym. Wnikliwsze studia źródłowych dokumentów — zwłaszcza dzieł wybranych Lenina — upoważniają do wniosku, że Dzierżyński odegrał na tym etapie powstania wybitną rolę. On to organizował oddziały specjalne, które miały zająć stację telegraficzną i telefoniczną, organizował łączność sztabu ze wszystkimi powstańczymi dzielnicami. Do niego napływały informacje o kontrrewolucyjnej robocie eserowców i mienszewików w armii i flocie. Na nic nie zdały się interwencje dowódcy Frontu Zachodniego, gen. Bułajewa i Kwatery Głównej, by nie doprowadzać do wiadomości żołnierzy treści odezw i rozporządzeń bolszewików. Dzięki zorganizowanej sieci przejmowania telegramów, sporządzaniu ich odpisów — oddziały wojskowe znały bardzo szybko każdą decyzję polityczną bolszewików, każde posunięcie wojskowe, każdy ruch kontrrewolucji.

Feliks Dzierżyński, obok Lenina i Stalina, sprawdzał wykonanie rozporządzeń oraz dyrektyw Komitetu Centralnego i Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego.

Głębokie poczucie odpowiedzialności partyjnej, bezwzględna dbałość o sprawy rewolucji skłaniały Dzierżyńskiego do czynów wprost nieprawdopodobnych. Gdy w 1918 roku wybuchł w Moskwie bunt lewicowych eserowców (socjal-rewolucjonistów) Dzierżyński sam, bez straży udał się do sztabu spiskowców, prosto w ręce wroga — i dzięki swemu wielkiemu autorytetowi moralnemu oraz niezwykłej odwadze nakłonił ich do poddania się. Część spiskowców poddała się natychmiast i opuściła sztab buntowników razem z Dzierżyńskim, pozostali stracili wiarę w swą sprawę. Bunt został szybko zlikwidowany, a przykład tej niezwykłej odwagi i nieustraszoności dotarł do najodleglejszych zakątków Kraju Rad, stał się czynnikiem wielce mobilizującym żołnierzy Armii Czerwonej do bohaterskch czynów.

Ogromne są zasługi Dzierżyńskiego w walce z głodem i sabotażem. Analiza dokumentów z tego okresu upoważnia do wniosku, że rozległą dziedziną zaopatrywania stolicy kierowali bezpośrednio Lenin, Stalin i Dzierżyński. Jego nieprzemijającą zasługą jest znaczna poprawa sytuacji aprowizacyjnej w tamtym, jakże trudnym okresie.

Wypełniwszy swe bojowe zadania w gorących dniach Rewolucji Październikowej, Komitet Wojskowo-Rewolucyjny w oświadczeniu z 5 grudnia 1917 roku uznał, że zakończył swą działalność, zaś jego wyspecjalizowane agendy winien przejąć Wydział do Walki z Kontrrewolucją. Tak powstała groźna dla wszystkich wrogów rewolucji Ogólnorosyjska Komisja Nadzwyczajna (WCZK) z niezłomnym Feliksem Dzierżyńskim na czele. Konsekwentna działalność Dzierżyńskiego jako kierownika WCZK, a następnie ludowego komisarza spraw wewnętrznych, przyczyniła się w dużej mierze do rozbicia wewnętrznej kontrrewolucji i przezwyciężenia wielu różnorodnych trudności młodej republiki. Był bowiem Dzierżyński twardy i nieubłagany. Jego imię stało się postrachem dla wszystkich sił kontrrewolucyjnych.

Wiosną 1918 roku nadeszły tru dni walki przeciw interwentom atakującym młodą Republikę Radziecką. Wobec ciężkiej sytuacji, jaka wytworzyła się na froncie wschodnim, na którym Armia Czerwona toczyła walki z kontrrewolucyjną armią Kołczaka, Komitet Centralny partii na wniosek Lenina deleguje Stalina i Dzierżyńskiego z zadaniem podjęcia niezbędnych kroków dla poprawy sytuacji na tym froncie. Dzięki zdecydowanej działalności Stalina i Dzierżyńskiego, III Armia Czerwona odzyskuje zdolność bojową i niebawem przechodzi do zwycięskiej kontrofensywy. W trudnych dniach zagrożenia Moskwy, jesienią 1919 roku, przez armię Denikina, Dzierżyński osobiście kierował jej obroną. Po udaremnieniu prób interwentów i wewnętrznej kontrrewolucji, zmierzających do obalenia władzy radzieckiej drogą terroru, spisków i buntów, w styczniu 1920 roku za zasługi w walce z kontrrewolucją Dzierżyński został odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru.

Feliks Dzierżyjski, żołnierz Rewolucji Październikowej, służył Leninowi radą i pomocą w podejmowaniu wielu decyzji w ocenie i naświetleniu wielu problemów młodej władzy radzieckiej, ustaleniu treści odezw i wystąpień. Lenin doceniał rozległą znajomość problematyki polskiej przez Dzierżyńskiego. Ze wspólnych z Dzierżyńskim przemyśleń zbudował Lenin tekst wystąpienia do żołnierzy Armii Radzieckiej, którzy wyruszali na front polski. „Pamiętajcie towarzysze — mówił Lenin — że z polskimi chłopami i robotnikami nie jesteśmy poróżnieni, że niepodległość Polski i Polską Republikę Ludową uznawaliśmy i uznajemy". Lenin wezwał czerwonoarmistów, aby wysoko cenili honor i godność żołnierza kraju socjalistycznego i odnosili się z troską do polskich mas pracujących.

Godzi się w tym miejscu jeszcze wspomnieć, że po utworzeniu 30 lipca 1920 roku w Białymstoku Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski, po szczegółowym zorientowaniu Lenina o zasięgu powstania i dokonaniu pierwszych rewolucyjnych społeczno-politycznych posunięć, Feliks Dzierżyński poinformował Lenina, 6 sierpnia 1920 roku, że, cytuję: „za najważniejsze zadanie uważamy organizowanie Polskiej Armii Czerwonej", a po upływie kilku dni dodał, że radziecki pułk polski Białegostoku zostanie sformowany z ochotników, tj. z polskich robotników i chłopów, którzy świadomie wstępują do armii i gotowi są zdecydowanie bronić władzy ludowej. Wówczas też Feliks Dzierżyński prosił Unszlichta, będącego członkiem Rady Wojennej Frontu Zachodniego, by zajął się formowaniem Polskiej Armii Czerwonej, Lenina zaś prosił, by odpowiedzialnością za zorganizowanie zaopatrzenia żywnościowego dla robotników białostockich obarczyć wojskowe organa zaopatrzenia.

Przedmiotem stałej troski Dzierżyńskiego była ochrona granic państwowych ZSRR. Feliks Dzierżyński niejednokrotnie podkreślał, że granice państwa radzieckiego winny być szczelnie zamknięte dla szpiegów, dywersantów, kontrrewolucjonistów i przemytników. Z inicjatywy Dzierżyńskiego, w 1923 roku zorganizowano Wyższą Szkołę Wojsk Ochrony Pogranicza.

Po latach wojny domowej i zmagań z interwencją międzynarodowego imperializmu, w historii Związku Radzieckiego nastał okres tworzenia pierwszego w dziejach ludzkości państwa socjalistycznego. Był to niezmiernie trudny okres, zniszczenia wojenne były ogromne. Wróg nadal podpalał stacje, wysadzał mosty, niszczył tory, demoralizował pracowników kolejowych. Resztki rozbitych band białogwardyjskich grabiły pociągi z towarami i źle chronione mienie kolei. W tych warunkach, w kwietniu 1921 roku, na wniosek Lenina partia i rząd powierzyły Feliksowi Dzierżyńskiemu najbardziej odpowiedzialny w owym czasie odcinek, mianując go Ludowym Komisarzem Komunikacji. Dzierżyński pozostawał nadal przewodniczącym Nadzwyczajnej Komisji do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem. Pod kierownictwem Feliksa Dzierżyńskiego transport zaczął się szybko odbudowywać. Przełom w pracy komunikacji zarysował się dość wyraźnie w latach 1923—1924. Stało się tak m. in. dlatego, że Dzierżyński z właściwą mu energią wnikał we wszystkie szczegóły gospodarki kolejowej i wodnej. Ogromna pracowitość, takt i pryncypialność sprawiły, że Feliks Dzierżyński zdobył sobie szybko duży autorytet wśród szerokich mas pracowników kolei i transportu.

W obozie wrogów śmierć Włodzimierza Lenina wzbudziła nowe nadzieje, że Partia bez swego przywódcy nie podoła ogromowi zadań związanych z budownictwem socjalistycznym. W tym to, nader trudnym dla narodu i Partii okresie, Feliks Dzierżyński na nowym stanowisku państwowym zaczął wprowadzać bolszewicki styl pracy, społeczne i naukowe podejście do problemów gospodarowania i zarządzania, osobistą odpowiedzialność ludzi za powierzony odcinek pracy i służby. Z uporem podkreślał ogromne znaczenie wydajności pracy, która musi zawsze wyprzedzać wzrost płac. W systemie oszczędzania, w nieustannym odbiurokratyzowaniu aparatu państwowego i gospodarczego, w doskonaleniu jego kwalifikacji widział jedno z najważniejszych źródeł akumulacji środków do industrializacji. Dzierżyński mocno podkreślał, że gospodarność i oszczędność „powinna stać się podstawową, kierowniczą dyrektywa w codziennej pracy każdego działacza gospodarczego i całego przemysłu". Bezlitośnie zwalczał zbyt częste obradowanie, biurokrację, fetyszyzm kancelaryjno-papierkowy, domagał się, by doprowadzono do minimum wszelkiego rodzaju korespondencję, sprawozdania statystyczne. Zażądał zredukowania do minimum rozmaitych narad i posiedzeń. Jego działalność na polu gospodarczym trwała zaledwie pięć lat. I w tym okresie — podobnie jak w poprzedzającym przygotowanie Wielkiego Października — marksizm-leninizm nie był dla Dzierżyńskiego dogmatem, lecz wytyczną działania w pracy państwowej i partyjnej.

O Feliksie Dzierżyńskim pisano różnie. Wielu autorów, pisało o nim z nienawiścią, wielu z szacunkiem i uznaniem. Wszyscy, którzy się z nim kiedykolwiek zetknęli osobiście, pozostawali pod wrażeniem jego wszechstronnej wiedzy, wysokiej kultury męża stanu, osobistej skromności.

Godzi się w setną rocznię urodzin Feliksa Dzierżyńskiego przypomnieć, że był on też wybitnym żołnierzem, znawcą żołnierskiej duszy, dowódcą i organizatorem rewolucyjnych oddziałów zbrojnych. Znalazł się wśród najbliższych współpracowników Lenina, wśród najaktywniejszych budowniczych państwa radzieckiego.

Płk dr nauk historycznych Władysław Honkisz Komendant Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi.

ESEISTYKA

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

PRACA W KLAMRACH POWIEŚCI

1.

Moda na cytowanie Leśmiana zdaje się już minęła, ale niechże będę staromodny. Z dawnych lektur zapamiętałem Leśmianowską wersję opowieści o dzielnym szewczyku:

W szyciu nic nie ma oprócz szycia,
Więc szyjmy póki starczy siły!
W życiu nic nie ma oprócz życia.
Więc żyjmy aż po kres mogiły!

Słowa poety, doskonałe w gruncie rzeczy na każdą okazję, i tym razem mogą być użyteczne. Boć zwięźle i trafnie ujawniają sens kilku refleksji związanych z problematyką pracy we współczesnej literaturze polskiej.

Kazimierz Wyka napisał kiedyś, że nie trzeba wcale wspinać się aż na kopiec Kościuszki, by przyjrzeć się Polsce i jej literaturze. Istotnie, wystarczy dobrze rozejrzeć się wokół siebie, by dostrzec, co literatura powinna penetrować, co odbijać, a co dorzucać do rzeczywistości. Nie trzeba być przy tym obserwatorem wyjątkowo wnikliwym, aby zauważyć, że w tym „kraju pełnym tematów" sprawy pracy, czy jak wcześniej powiadano produkcyjne, odgrywać powinny rolę szczególną.

Wynika to z dwóch co najmniej przyczyn. Po pierwsze: „ideologia pracy" ma w naszej literaturze stuletnią z okładem tradycję. Jakże często przypominane są przy różnych okazjach słowa Mickiewicza: „wszak praca nasze bóstwo, przyjaźń nasze godło", lub też przywoływana Norwidowa „Polska przemienionych kołodziejów", by następnie poprzez wskazanie wyjątkowego miejsca pracy w filozofii pozytywnej przejść do omówienia istoty pracy wyłożonej w „Ideach" Stanisława Brzozowskiego i w wypowiedziach innych myślicieli. Po drugie: literatura współczesna rezygnując z wyłączności dotychczasowej metody twórczej nie odżegnała się wcale od obowiązku pokazywania tego co i jak tworzy „nasza planowa świadoma praca" obowiązku oficjalnie nałożonego na nią na Pierwszym Wszechzwiązkowym Zjeździe Pisarzy Radzieckich w 1934 roku przez Andrzeja Żdanowa twórcę realizmu socjalistycznego. W owym czasie w Związku Radzieckim, a odpowiednio później — na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych — u nas, przedstawiano pracę z reguły w kategoriach „bitwy o plan" bohaterskiej walki z nawałem przeciwności, współzawodnictwa śpiewających stachanowców, konstruując na użytek czytelnika wzorce robotników doskonałych aż do karykatury, którzy nawet w scenach erotycznych bardziej interesowali się wynikami produkcji niźli walorami partnerki, jak przykładowo bohater „Węgla" Aleksandra Ścibora-Rylskiego. Na reakcję skierowaną przeciw tej mitologizacji nie trzeba było zbyt długo czekać. Oto w trzy lata po opublikowaniu „Węgla" ukazała się książka, której autor w opowiadaniu „Robotnicy" tak pisał o pracy: „Budowaliśmy most. Budowaliśmy go nie z pieśnią, nie z ochotą; choć wiedzieliśmy, że pracować trzeba i że piękną rzeczą w życiu człowieka jest praca. Ten most budowaliśmy z nienawiścią, rozpaczą, chęcią ucieczki z tej równiny, która jak polip wyssała nasze serca i dusze, marzyliśmy o jednej rzeczy: aby nigdy już nie postała tu nasza noga". To oczywiście Marek Hłasko. I to wcale nie z okresu, gdy powielał swoje pomysły, gdy uwikłał się w swoistym antyschematyzmie, popadając w nowy schemat i przypominając tym samym znaną sytuację węża, który — oszołomiony własnymi barwami — zjada się od ogona.

Właśnie literatura marginesu społecznego szybko zdominowała wtedy twórczość prozatorską. Nie zdystansował jej potem do końca nawet bujnie rozwijający się nurt wiejski. A co dopiero tematyka produkcyjna! Ta ostatnia, wbrew Zoilom, nie zniknęła jednak z kart powieści i opowiadań. Doczekała się grupy autorów wiernych i konsekwentnych w swym wyborze: Albina Siekierskiego, Jana Pierzchały, Leona Wantuły, Jerzego Wawrzaka i Jerzego Jesionowskiego, Jerzego Mańkowskiego i innych. Istotną rolę w tym zakresie odegrał mecenat państwa przejawiający się głównie poprzez konkursy tematyczne, organizowane przy współudziale poszczególnych wydawnictw, Centralnej Rady Związków Zawodowych czy wydziałów kultury odpowiednich urzędów (jednym z ostatnich był kielecki konkurs pod hasłem „Robotnicy" rozstrzygnięty we wrześniu br.).

2.

Praca ludzka to taki krąg tematyczny, na który w naszych warunkach istnieje wyraźne zapotrzebowanie społeczne i instytucjonalne. Dlatego też krytyka literacka — jako ogniwo pośredniczące między ośrodkami dyspozycyjnymi a pisarzami z jednej strony oraz między pisarzami i czytelnikami z drugiej strony — powiedziała o możliwościach tematu pracy w literaturze niemal wszystko. Najdokładniej rzecz badał i wyjaśniał Witold Nawrocki, który tegoroczną nagrodę ministra kultury i sztuki zawdzięcza w znacznej mierze cyklowi szkiców o przeszłości i teraźniejszości powieści o pracy. Różniąc się w niektórych sprawach drugorzędnych, krytycy zgodnym chórem orzekli, że praca w literaturze nie powinna być nigdy celem samym w sobie, nie może stać się ona fetyszem, jak choćby w niesławnej pamięci produkcyjniakach. Jest przecież środkiem prowadzącym do różnych celów, jest podstawowym środkiem utrzymania jednostki i społeczeństwa. Stąd też o ile trudno było stworzyć interesującą powieść o produkcji, o tyle ambitna powieść o człowieku pracującym nie powinna wcale posiadać statusu wyjątkowości. I rzeczywiście coraz więcej powieści o pracy staje się zwykłymi faktami literackimi.

W grupie powieści o pracy specjalną karierę zrobiły tak zwane powieści górnicze i hutnicze, ukazujące działalność wielkich, kluczowych przedsiębiorstw, mówiące o codziennych zmaganiach robotników. Właśnie zakład pracy okazuje się najlepszym miejscem, w którym człowiek — zwłaszcza młody, początkujący pracownik — przekonać się może dowodnie, „kim jest naprawdę, na kogo go wychowano i wyuczono" — jak napisał Wawrzak w jednej z pierwszych powieści. Nie bez powodu zaakcentowałem ten motyw, powieści o pracy spełniają bowiem istotne funkcje wychowawcze, zajmując się między innymi przemianą outsidera w zdyscyplinowanego i ofiarnego członka kolektywu.

Ulubionym chwytem powieści, o której mowa, stała się od dość dawna sytuacja konfliktowa (na przykład kłopoty z kooperantami, załamanie planu czy wypadek przy pracy wreszcie), w której ujawniają się prawdziwe postawy ludzkie, w której sprawdzają się charaktery. Wspomniana sytuacja okazuje się przełomowym momentem w życiu niejednego bohatera literackiego, współdecyduje ona o uspołecznieniu jednostki, o jej lepszej przydatności dla instytucji.

Funkcja współczesnej powieści o pracy polega tedy nie tylko na sumiennym przedstawianiu celu i warunków zawodowej aktywności, chodzi również — a może przede wszystkim — o określoną interwencję w subtelną sferę społecznej świadomości.

3.

Zanim jeszcze zrobił karierę telewizyjny serial „Dyrektorzy" pojawiła się, wyodrębniona z szeroko rozumianego tematu pracy, tak zwana „powieść dyrektorska". Krytyka literacka objęła tą nazwą te utwory, w których funkcję pracy w życiu jednostki i społeczeństwa przedstawia się nie tyle poprzez codzienną robotniczą praktykę, co poprzez rozmaite perypetie „menażerskie": organizowanie i unowocześnianie produkcji, różnorodne zabiegi technokratyczne, przezwyciężanie trudności adaptacyjnych w nowym środowisku inteligenta z awansu, opanowującego szybko nie tylko niełatwą przecież sztukę kierowania, ale również usprawniającego ją, wyprowadzającego „kulejący" dotąd zakład na pierwsze miejsce w zjednoczeniu bądź w resorcie.

Ten typ powieści o pracy nie jest gatunkowo „czysty". Fascynacja i opisy pracy łączą się w nim z problematyką władzy, nabierając cech prozy politycznej. Połączenie owo bardzo jest wyraźne w najnowszej powieści Jerzego Jesionowskiego pt.: „Surmak", wypróbowanego autora powieści dyrektorskich („Niewygodny człowiek", „Dwadzieścia batów"). W tym konkretnym przypadku dochodzi jeszcze pobudzające zawsze czytelniczą ciekawość i wyobraźnię ujęcie kryminalne — jakby Jesionowski pamiętał o słowach Jarosława Iwaszkiewicza, który powiedział kiedyś, że o Polsce współczesnej najwięcej dowiedzieć się można z powieści kryminalnej, dzięki precyzyjności jej realiów.

W powieści Jerzego Jesionowskiego najdokładniej prezentują się realia życia politycznego z całego powojennego polskiego trzydziestolecia. Niełatwo znaleźć we współczesnej literaturze polskiej drugą książkę, która sprawy rozwoju życia politycznego i społeczno-gospodarczych przeobrażeń traktowałaby równie rzeczowo. W fabułę wplecione zostały postanowienia najważniejszych posiedzeń plenarnych Komitetu Centralnego, wyeksponowane znaczące w rozwoju PRL daty. W wyznaczniki owe wpisane zostały szczegółowe dzieje tytułowego bohatera, wywodzącego się z fornalskiej rodziny, bohatera z KPP-owskim i partyzanckim życiorysem. Biografia Mikołaja Surmaka jest bardzo skondensowana — wystarczyłoby jej z powodzeniem na kilka literackich sylwetek. Ma to jednak sporo zalet, pozwala na całościowe niejako ukazanie rodowodu i rozwoju nieprzeciętnego działacza politycznego.

Tryskający energią i świadom społecznych potrzeb Surmak okazuje się od pierwszych dni powojennej odbudowy zapalonym organizatorem pracy, zapatrzonym w finalny jej cel, nie gubiącym przy tym z pola widzenia doraźnych, codziennych spraw załogi. Z koncepcji bohatera pozytywnego dziedziczy on dalece ponadprzeciętny zapał, należy do ludzi, którzy powinni „umierać w biegu, do końca czynni", zaangażowani w wypełnianie „gwardyjskich zadań", takich jak odbudowa z ruin fabryki maszyn rolniczych — „Orfamu", czy zdecydowane przyspieszenie budowy Zakładów Chemicznych.

W książce Jesionowskiego istotne wydaje się to, że nie rezygnując z pokazywania roli pracy w przeobrażeniach kraju, autor koncentruje się na rozmaitych uwikłaniach, wynikających z pełnionych przez Surmaka kolejnych funkcji w aparacie partyjnym i przemyśle. Opisy pracy, rozpoznawanie mechanizmu funkcjonowania dużego zakładu schodzą tym samym na plan dalszy i nie nużą przedwcześnie czytelnika. Autora bardziej interesują mechanizmy podejmowania odpowiedzialnych gospodarczo i politycznie decyzji oraz weryfikowanie ich trafności. Te akcenty, jak również umiejętność rozważnej i — gdy trzeba — szczegółowej narracji, powodują, że „Surmaka" czytać można z dużym zainteresowaniem jako swego rodzaju artystyczny zapis toczącej się bez przerwy gry o jutro.

4.

„Surmak" może istotnie stanowić wzorzec aktualnej powieści o pracy i powieści politycznej zarazem. Ukazana w tej książce praca jest zwykłym, wysoko zorganizowanym (acz nie bez takich czy innych kłopotów) kolektywnym działaniem, nie zaś fetyszem, o którym ciągle się mówi w tonacji bojowej i uroczystej. Jest normalną, jedną z wielu, działalnością ludzką służącą życiu, a nie odwrotnie.

TEATR

ANDRZEJ CZERNY

KTO SIĘ BOI AUGUSTA STRINDBERGA?

Na początku nieskomnie muszę podkreślić fakt kolejnego potwierdzenia słuszności realizowanego przeze mnie założenia, polegającego na przynajmniej dwukrotnym, z pewnym odstępem czasu, przyjrzeniu się spektaklowi teatralnemu, przed próbą wydania o nim w miarę obiektywnej opinii. Tym razem, po ponad dwumiesięcznej przerwie, wybrałem się na wznowionego w nowym sezonie „Ojca" Augusta Strindberga, zrealizowanego w tymże teatrze przez jego dyrektora — Jana Perza.

Jakże inny okazał się ten dżdżysty, wrześniowy wieczór sali kina „Włókniarz" w Zgierzu, w porównaniu z upalnym, czerwcowym wieczorem premiery. Wtedy — w czerwcu — było to zupełnie inne przedstawienie: — ostatnia premiera sezonu, zrealizowana resztkami sił przez zmęczony całym rokiem intensywnej pracy zespół aktorski. To zmęczenie tłamsiło niemal każdą kwestię, rozdzierało z trudem wiązane węzły kontaktu scenicznego, zalegało pustką między rampą a pierwszym rzędem widowni, odbierało postaciom ostrość rysunku i chociaż czuło się w całości klarowną myśl reżyserską, nie mogła ona przebić się przez mur psychicznego odrętwienia, jakie zapanowało w małej, dusznej od czerwcowego skwaru salce, nad jej sceną i widownią.

Pisanie recenzji z takiej premiery byłoby nieuczciwe i krzywdzące pracujący z oddaniem i wysiłkiem zespół. Zespół będący przecież żywym organizmem, składający się z ludzi, którzy chcą i potrafią wykonywać dobrze swe artystyczne rzemiosło. Dali temu dowód na scenie w Zgierzu.

Widownię w dziewięćdziesięciu procentach wypełniła młodzież szkolna. Z pewnym niepokojem przysiadłem wśród rozszczebiotanych „pensjonarek" i dowcipkujących młodzieńców. Bałem się tego ich spotkania z Augustem Strindbergiem i mrocznym psychologizmem, jakim naładowany jest „Ojciec". Po kilku minutach pierwszego aktu odetchnąłem z ulgą. Miałem już pewność, że będzie to spotkanie udane. Aktorzy od pierwszych kwestii zapanowali nad niesforną widownią, budując w sposób lekki i niewymuszony, między sceną a salą pomost skupienia i wielkiej, psychologicznej prawdy. Nie padła nawet jedna niestosowna uwaga, nie zabrzmiał żaden chichot. Zapanowało wielkie porozumienie i mogło ono trwać nieprzerwanie do końca spektaklu dzięki temu, że wzięło w swe harmonijne władanie scenę z całym zespołem wykonawców, wśród których — potwierdzając obsesyjną tezę autora — dominowały panie.

Zdaniem Strindberga, między mężczyzną i kobietą ciągle toczy się walka, walka z której mężczyzna rzadko kiedy wychodzi zwycięsko. W „Ojcu" Strindberg w najbardziej chyba jaskrawy sposób obnaża mechanizmy tej walki, ukazując w sposób wiwisekcyjny cały przebogaty a jednocześnie odrażający arsenał stosowanego w niej oręża. Aż w końcu biedne, czyste w intencjach i zawsze cierpiące dla innych kobiety tryumfują, tryumfem gorzkim przez łzy bólu i żałości. Tę wyraźnie obscenicznie namalowaną przez autora perfidię z całą gamą jej odcieni, w sposób cienki a jakże przejmujący przekazały: Alina Kulikówna w roli Laury, Walentyna Sakkilari jako Niania i Janina Grzegorczyk grająca Bertę — córkę stłamszonego psychicznie do ostatecznego fizycznego wyczerpania Rotmistrza (Włodzimierz Tympalski).

Powściągliwa, skupiona, oszczędnie wykorzystująca szeroki wachlarz swych aktorskich możliwości Alina Kulikówna przepełniła Laurę-Żonę tak delikatną „miksturą" złożoną z opiekuńczego ciepła i zimnej bezwzględności, nie dodając najmniejszego zbędnego składnika, że można jej wierzyć w każdej chwili scenicznego istnienia, nawet wtedy, gdy zdaje się być odległa, zatopiona w swej „rozpaczy", usunięta w cień i odwrócona tyłem do widza, fizycznie prawie nie istniejąca, a jednak... Trudna to sztuka w aktorskiej kreacji — grać na drugim planie wypełniając sobą jednocześnie plan pierwszy.

Cieszyć może pełen blasku powrót Walentyny Sakkilari, od kilku sezonów zagubionej gdzieś na „peryferiach" działalności scenicznej i nagle w „Ojcu" ukazującej w sposób w pełni godzien odnotowania postać Niani, w której opiekuńcze ciepło i autentyczne oddanie swemu wychowankowi — Rotmistrzowi, ściera się w dramatyczny sposób z obowiązkiem kobiecej solidarności. W roli tej każdy gest, każde słowo w pełni świadomie podporządkowane jest precyzyjnej konstrukcji, której efektem jest sugestywne „omotanie" niezauważalną siecią ciepłego uroku starszej, dobrej pani, widowni i tytułowego „skazańca".

Uosobieniem innego rodzaju prostoty, co do której nasuwa się nieodparcie dopełnienie — lirycznej, jest Janina Grzegorczyk. Miałem możność już po raz drugi oglądać pracę tej młodej aktorki na scenie Teatru Ziemi Łódzkiej, w niedługich odstępach czasu, w dwu bardzo różnych rolach: Lizetty z „Igraszek trafu i miłości" Marivaux i teraz Berty. Obie zagrane z wielkim, a jakże różnym temperamentem aktorskim, zdradzającym niewyczerpane zapasy artystycznej wrażliwości, wciąż gotowe i czekające na możliwość „eksplozji" w pełnej realizacji. W roli Berty aktorka potrafiła przekonywająco przeprowadzić i ukazać jak w ujmującej wdziękiem dziewczynie nieuchronnie narasta proces budzenia się groźnej i drapieżnej stridbergowskiej kobiecości.

Na tym tle panowie bronią się jak mogą, a nawet czasem usiłują atakować, lecz wygrywają zaledwie sporadyczne potyczki, do których można zaliczyć świetny dialog Rotmistrza z Doktorem (Bogdan Juszczyk) w III akcie, jak również w tym samym akcie rozmowę Pastora (Andrzej Jędrzejewski) z Rotmistrzem. W tych scenach czuje się ich „ciężar gatunkowy" i wagę dla całej konstrukcji dramatu.

Mówiąc o Strindbergu nie sposób nie otrzeć się przynajmniej o jedną z legendarnych postaci tamtej epoki, a mianowicie Stanisława Przybyszewskiego, który w jednej ze swych teoretycznych wypowiedzi o dramacie i scenie zawarł następujące sformułowanie: „Nowy dramat polega na walce indywiduum ze sobą samym, tj. z kategoriami psychicznymi, które w stosunku do najgłębiej ukrytych źródeł indywidualnych, stanowiących rdzeń jaźni w obrębie samego indywiduum, tak się mają do niego, jak zewnętrzność do wewnętrzności; pole walki jest tu zmienione, mamy do czynienia z jedną rozłamaną, rozbolałą duszą ludzką. Dramat staje się dramatem uczuć i przeczuć, wyrzutów sumienia, szamotania się z sobą samym, dramatem niepokoju, lęku i strachu.

Toteż gra aktorska od połowy przeszłego stulecia uległa wielkim zmianom. Przestały nas wabić zawikłane fabuły, poczęły nas razić ryki rozwydrzonych aktorów, zaczęliśmy szukać prawdy i prostoty, z jaką się wszystko w naszym życiu odgrywa".

Przytoczone powyżej zdania są własnością tej samej epoki, epoki wielkich uniesień, wielkich upadków, psychologicznych „lochów" i neurotycznych obsesji, rozdartej między subtelnościami ducha a zgniłą atmosferą mieszczańskiego salonu, w którym to rozdarciu szamotali się jej wielcy twórcy. Nie można też zapominać o tym, że epoka ta dała początek w teatrze tzw. Wielkiej Reformie, która właśnie zaczęła się od „szukania prawdy i prostoty" i na jej gruncie wyrasta współczesny teatr.

Dobrze więc, że nie boimy się dziś Augusta Strindberga, traktując jego twórczość z należytą powagą, jako niezbędny element edukacji teatralnej, bez której nie otworzą się przed nikim drzwi do „tajemnicy" Grotowskiego i Kantora czy dramatów Grochowiaka i Różewicza.

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej
„Ojciec" Augusta Strindberga
Reżyseria: Jan Perz
Scenografia: Wojciech Zieleziński

Foto: W Parys

OTWARTA NA WSZYSTKO CO ŻYWE

Rozmowa z doc. STANISŁAWEM KUSZEWSKIM rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej

— Panie Rektorze, ilekroć myślę o szkolnictwie artystycznym, nie mogę się uwolnić od pewnej refleksji, a dotyczy to także Pańskiej uczelni. Czy mianowicie artystę można wyszkolić tak jak się szkoli inżyniera czy lekarza? Przecież w najlepszym wypadku rezultatem takiego procesu może być uniformizacja twórców, produkcja artystów spod sztancy, sprawnych może w zakresie opanowania pewnych technik, ale dalekich od tego co się nazywa indywidualnością.

— Łódzka Szkoła Filmowa nigdy nie miała podobnych tendencji. Nie ma ich też dzisiaj, podobnie zresztą jak cała polska kinematografia. Uniformizacja jest sprzeczna z istotą sztuki, której sens polega na poszukiwniu tego, co niepowtarzalne. Układamy zresztą program w taki sposób, aby student w czasie pobytu w szkole mógł zetknąć się z różnymi pedagogami, którzy często reprezentują przeciwstawne stanowiska w sprawach estetyki. Chcemy w ten sposób zobligować studentów do poszukiwania własnej drogi. I chyba się to udaje. W maju pokazywaliśmy we Frankfurcie nad Odrą dość obszerny zestaw naszych etiud studenckich. Obecni tam czołowi działacze kinematografii NRD za jeden z głównych wyróżników tego zestawu uznali „poszukiwanie przez każdego z naszych studentów własnego charakteru pisma".

— Ale w moim przeświadczeniu problem nadal pozostaje otwarty. Chodzi o to między czym student może wybierać. Wybitny twórca może być zupełnie przeciętnym pedagogiem. Pedagog cieszący się uznaniem może mieć mierne sukcesy artystyczne. Jak Szkoła godzi te sprawy?

— W ostatnim pięcioleciu udało nam się poważnie rozbudować ilościowo i jakościowo kadrę pedagogów. Jeśli uwzględnić w statystyce także asystentów okaże się, że blisko połowa naszych nauczycieli akademickich to ludzie, którzy rozpoczęli pracę w uczelni po 1972 roku. Ów manewr dokonał się dzięki nowym możliwościom, jakie otworzyły się przed szkolnictwem artystycznym w Polsce. A przy tym nie ma nawet cienia podziału na kadrę dawną i nową. Zresztą jedni i drudzy już dawniej współpracowali ze sobą blisko: w kinematografii, telewizji, w teatrze. Oczywiście niektórzy mieli pewne trudności adaptacyjne. Rozpoczynali przecież start w nowym dla siebie zawodzie — pedagoga. Udało nam się jednak uniknąć większych konfliktów i osiągnąć pełną integrację całej kadry nauczającej. Być może jest to właśnie jeden z naszych największych sukcesów.

Uzupełniając kadrę nie zaprzestaliśmy, rzecz jasna, importu z Warszawy, główny nacisk położyliśmy jednak na pełne wykorzystanie możliwości łódzkiego środowiska.

Problem jest trudny. Nie każdy wybitny twórca chce zostać nauczycielem. Jedni nazbyt są zajęci pracami twórczymi lub organizatorskimi, inni nie czują powołania do tej pracy. Jeśli uwzględnić oba te czynniki, to odliczywszy tych, którzy nie chcą lub nie mogą zostać pedagogami, możemy uznać na niektórych kierunkach, zwłaszcza na reżyserii, skład naszej kadry za optymalny w stosunku do istniejących w kraju możliwości. Gotowi zresztą jesteśmy do przyjęcia każdej nowej interesującej oferty. Dla tych, którzy chcą pracować, miejsce w Szkole zawsze się znajdzie.

— A jacy wybitni twórcy pracują aktualnie w Szkole?

— Aby nie przekształcać tego w listę pracowników wymienię może wykładowców tzw. przedmiotów wiodących. Dla przykładu na wydziale reżyserskim, na studiach stacjonarnych i zaocznych, pedagogami są obecnie m. in.: Rybkowski, Has, Kluba, Brzozowski, Bossak, Karabasz, Grabowski, Kotowski, Bratkowski, Bogusławski, Walter, Trzos-Rastawiecki, Majewski, Morgenstern, Wohl, Kuźniak, Królikiewicz. Z kolei na wydziale aktorskim szczycimy się współpracą z takimi artystami, jak: Zdrojewski, Petri, Pawlicki, Kaniewska, Chojnacka, Małkowska, Skoczylas, Mirowska, May, Józefowicz, Wilhelm Kwapisz, Sochnacki.

— Ale dla prawidłowego funkcjonowania Szkoły nie wystarczy obecność najwybitniejszych nawet indywidualności. Trzeba stworzyć właściwe warunki do pracy zarówno kadrze nauczającej jak studentom.

— Warunki, w jakich pracujemy, są lepsze niż w wielu innych szkołach za granicą, a przecież niezadowalające. Brak nam pomieszczeń dydaktycznych. Nasze domy akademickie ze względu na stopień zużycia przeznaczone są do rozbiórki. Sprzęt — wyeksploatowany w ponad 80 procentach. Mamy też wciąż za mało środków finansowych. A przy tym wszystkim nasi studenci wykonują więcej ćwiczeń praktycznych: filmowych i telewizyjnych, niż studenci jakiejkolwiek ze znanych nam szkół na świecie.

W tym roku otrzymaliśmy zresztą trochę nowego sprzętu. Pozwoli to na zapewnienie warunków pracy na taśmie 35 mm na dobrym, profesjonalnym poziomie. W modernizacji naszego szkolnego studia TV liczymy bardzo na pomoc telewizji. Nie najlepiej jest w szkole z transportem, ale — jak wiadomo — resort kultury nie należy do uprzywilejowanych w przydziale taboru samochodowego.

— Czy wobec tego jesteście dostatecznie przygotowani do skoku ilościowego, który przeżywa nasza kinematografia?

— W roku bieżącym na wydziałach operatorskim i reżyserskim zmniejszono nam limit przyjęć na I rok o 30 procent.

— Odwróćmy więc to pytanie. Jaki wpływ ma Szkoła na losy absolwentów?

— W zasadzie niewielki. Większość naszych absolwentów nie oczekuje zresztą od nas pomocy w uzyskaniu pracy, próbują sami znaleźć dla siebie miejsce w zawodzie. Jeżeli jednak absolwent o taką pomoc występuje, to na pewno ją uzyska.

Właściwie zresztą odpowiedzi szukać trzeba na innej płaszczyźnie. Po pierwsze decydujący wpływ na szanse absolwentów ma jakość nauczania. Im lepiej są przygotowani do pracy w warunkach profesjonalnych, tym większe mają szanse sukcesu. Po drugie dość ściśle wiążemy naszą uczelnię z działalnością kinematografii i telewizji, a także teatrów. Poczynając od III roku nasi studenci podejmują już samodzielne prace twórcze, pod opieką pedagogów, zarówno w wytwórniach filmowych jak i w ośrodkach telewizyjnych. Szczególne zasługi dla współudziału w procesie usamodzielnienia naszych studentów może odnotować Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi.

Ten wczesny start przynosi różnorakie korzyści. Pozwala na rozpoznanie możliwości twórczych studenta przez instytucje profesjonalne, zwiększa to więc jego szansę na uzyskanie stałych kontaktów z tymi instytucjami, po wtóre uczy brania odpowiedzialności za wypowiedzi serio skierowane nieraz do szerokiego audytorium. Dość częste są przypadki, kiedy filmy czy widowiska studenckie stanowią np. normalną pozycję programu telewizyjnego.

Poprawie jakości nauczania oraz tendencjom do wczesnego wprowadzania młodzieży w pracę zawodową zawdzięczamy fakt bez precedensu: oto w roku ubiegłym w kinematografii i telewizji, we wszystkich formach dokumentalnych i fabularnych, miało miejsce 30 debiutów reżyserskich. Zdecydowana ich większość co najmniej mieściła się w kryteriach profesjonalnej poprawności.

Również młodzieży aktorskiej staramy się umożliwić wczesny start na scenie. Nie należą do wyjątków przypadki, kiedy poszczególni studenci czy grupy studentów, za zgodą uczelni podejmują poważne zadania artystyczne w teatrach zawodowych, zaliczane przez uczelnie jako tzw. warsztat dyplomowy. Rozważamy obecnie możliwości, korzystając z idei studiów przemiennych, kierowanie w I semestrze IV roku wszystkich studentów do teatrów zawodowych także i po to, aby coś więcej mogli się dowiedzieć o funkcjonowaniu instytucji, z którymi wiązać będą swoją egzystencję.

— No właśnie. A jak wygląda problem pozaszkolnego funkcjonowania etiud studenckich i prac dyplomowych?

— Etiudy studenckie to problem dość skomplikowany. Widownia zazwyczaj oczekuje, że będą to w pełni samodzielne propozycje autorskie stanowiące rodzaj wizytówki artystycznej. Tymczasem istota dydaktyki wymaga, aby w większości były to raczej gamy i pasaże, nie zaś koncerty z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej. Oczywiście nawet w tych wprawkach ujawniają się z natury rzeczy pewne cechy osobowości studenta, ale daleko nie wszystkie.

Na przykład na I roku reżyserii wykonuje się ćwiczenia montażowe na kierunki ruchu. Studenci dorabiają sobie do tego zazwyczaj pewien pretekst fabularny, dysponują ograniczoną ilością taśmy, aktorów i środków transportu. W zasadzie realizuje się te ćwiczenia w pobliżu Szkoły. Rozliczani są nie z fabułki, lecz z tego jak potrafią organizować ruch osób i przedmiotów i podporządkować go pewnym zasadom montażu.

Otóż zestaw takich ćwiczeń pierwszorocznych obejrzał w roku ubiegłym Andrzej Wajda. Nie wprowadzony w sens ćwiczenia wyciągnął z obejrzanego materiału szereg wniosków ogólnej natury. Zarzucił m. in. studentom małą wrażliwość na otaczającą ich rzeczywistość. Dezyderaty Wajdy były cenne i słuszne, ale nie mogły być spełnione w oglądanym przez niego zadaniu.

Może się zdarzyć że etiuda studencka posiada wartość autonomiczną nie to jednak jest celem zadań ćwiczebnych. Uważamy, że w pełni reprezentatywną wypowiedzią studenta może być dopiero film dyplomowy.

Jest zresztą aktem o poważnym znaczeniu decyzja NZK umożliwiająca naszym studentom realizację wszystkich prac dyplomowych w wytwórniach filmowych na koszt kinematografii. Nie należy jednak od prac studenckich oczekiwać rewolucji estetycznej. Wartość nauczania sprawdzi się dopiero w zawodzie.

— Chociaż Andrzej Wajda dał się nabrać to przecież problem jest wciąż istotny. Jak to jest naprawdę z tą wrażliwością studenta na otaczającą go rzeczywistość?

— Niektóre filmy szkolne dają studentowi szansę pełniejszego ustosunkowania się do rzeczywistości. Są to przede wszystkim filmy dokumentalne II roku zamykające cykl szkolenia z tego przedmiotu. Otóż obserwujemy ostatnio dość istotne i pozytywne przemiany w poszukiwaniach studentów w tej dziedzinie. Coraz częściej i odważniej atakują trudne problemy społeczne. Dość bogato jest reprezentowany temat pracy. Maleje natomiast stopniowo sympatia do różnych bibelotów i marginesów.

— Ale problem etiud polega według mnie także i na tym, że jest to nie tylko barowanie się studenta z tworzywem artystycznym, że jest to także szansa skonfrontowania własnej wypowiedzi z widownią.

— Chociaż zdajemy sobie sprawę z ograniczeń, jakim podlegają etiudy, popieramy wszelkie formy pokazów etiud organizowane i w Szkole i poza nią. Tych pokazów jest dużo. Aczkolwiek organizuje je sama młodzież, traktujemy je jako część składową dydatyki. To zrozumiałe, że młody człowiek chce zaprezentować swoje filmy publiczności, poznać jej reakcje. Przewidywana gra postaw widza stanowi przecież jeden z ważnych elementów procesu twórczego. W sztuce niezbędna jest nieustanna konfrontacja własnych oczekiwań i zachowań odbiorcy.

Przedstawiając swoje filmy w różnych środowiskach i różnej publiczności studenci uświadamiają sobie w praktyce kim jest widz, do którego uznania pretendują. To przecież nie to samo, co nieustanne przeglądy w Szkole wobec pedagogów i grupy rówieśniczej.

A że opinie Szkoły i widzów mogą być odmienne? Tego, że film wywołuje krańcowo różne reakcje, też trzeba się nauczyć.

— Film to nie tylko reżyseria i zdjęcia, to także scenariusz, od którego zależy bardzo wiele. Wiemy, że teka scenariuszowa nawet zespołów profesjonalnych nie jest zbyt bogata. A jak radzą sobie studenci?

— W naszym odczuciu osiągnęliśmy dość znaczny postęp w podnoszeniu poziomu dydaktyki, nie oznacza to jednak, że jesteśmy zadowoleni z osiągniętych rezultatów. Wypowiedź fabularna jest dalej problemem oczekującym na właściwe rozwiązanie. To zresztą dziedzina o najwyższym stopniu komplikacji.

Nie odnieśliśmy, niestety, sukcesów w pewnych próbach wczesnych realizacji dyplomowych filmów fabularnych. Główną ich słabość stanowi dramaturgia.

Od dawna zwracamy uwagę na to, że w naszym nauczaniu brakuje niezwykle ważnego ogniwa. W czasie pobytu w szkole, poza nielicznymi wyjątkami nasz student nie spotyka się ze scenarzystą. Uczy się współpracy z kolegą operatorem, z kolegą aktorem, z kolegą kierownikiem produkcji. Autor scenariusza jest dla niego postacią nieznaną. Nie umie więc absolwent wykorzystać jego możliwości, wyzyskać z nim kontaktu. Zwykle obawiamy się tego, czego nie znamy. Student woli więc napisać scenariusz sam. Zazwyczaj jest to scenariusz kiepski. Nie każdy kandydat na reżysera może być równie dobrym kandydatem na dramaturga czy też autora dialogów.

W innych liczących się szkołach filmowych od wielu lat z powodzeniem funkcjonują wydziały dramaturgiczne. U nas idea powołania tego kierunku budziła dość sporo sprzeciwów. Od kilku lat staramy się o uruchomienie studium scenariuszowego. Udało się nam uzyskać pozytywną decyzję w tej sprawie Rady Kinematografii, Telewizji i Kolegium Ministerstwa Kultury. Rada Szkolnictwa Artystycznego pozytywnie zaopiniowała nasz program.

Zamierzamy uruchomić dwuletnie studium zaoczne dla ludzi umiejących już pisać. Chcemy im coś więcej powiedzieć o filmie i dać im w Szkole możliwość sprawdzenia swoich predyspozycji scenopisarskich. W kinematografii i telewizji brakuje przecież scenarzystów, nam — scenariuszy dla studentów. Już nawet uzyskaliśmy na piśmie limit przyjęć na ten kierunek. Niestety sprawa znów gdzieś utknęła. Mam nadzieję, że nie na dalsze trzydzieści lat.

— Dlaczego trzydzieści lat?

— Proszę pana, w październiku 1978 roku Szkoła obchodzić będzie swoje trzydziestolecie.

— A w tym trzydziestoleciu jakie osiągnięcia Szkoły uważa Pan Rektor za najwartościowsze?

— Spodziewa się pan zapewne, że będę mówił o reżyserii. Ale byłoby to nieuzasadnione ustępstwo wobec obiegowej opinii, że film to reżyseria. W istocie od wielu lat najlepsze rezultaty dydaktyczne uzyskuje u nas wydział operatorski. Widać to zresztą i w kinach, i w telewizji. Poziom sztuki operatorskiej w Polsce należy do najwyższych w świecie.

Przejście z taśmy czarno-białej na barwną było w swoim czasie wstrząsem artystycznym dla naszej kinematografii. Wiele porażek wynikało z nieuświadomienia sobie istotnych różnic estetycznych wywołanych przez nową sytuację. Tymczasem w telewizji polskiej przejście na przekaz barwny przyniosło wyraźny skok jakościowy. Ale też od kilku lat w naszej Szkole podnosi swoje kwalifikacje na studiach zaocznych licząca już ponad sto osób kadra operatorów i realizatorów telewizyjnych. Sądzę, że wysokie walory estetyczne obrazu w TV to w znacznym stopniu zasługa właśnie studiów zaocznych.

Pozytywnie również oceniane jest przez kinematografię przygotowanie zawodowe absolwentów naszego Studium Organizacji Produkcji.

Poprawia się jakość nauczania na wydziale aktorskim, chociaż wiele tu spraw wymagających oddzielnego omówienia.

Trzeba by zresztą wspomnieć o innych formach naszej działalności, ważnych dla wszystkich studentów. Na przykład w ub.r. odbyło się w Szkole w sumie 681 projekcji filmowych, w tym 602 filmów fabularnych. Porównajmy to z sytuacją w rozpowszechnianiu: w ciągu 28 lat pokazano w kinach polskich około 4 tys. filmów fabularnych. Ogromne są więc możliwości studentów poznania dorobku kina światowego.

Wśród 602 tytułów 235 stanowiły projekcje nadobowiązkowe, wyświetlane w ramach tzw. kina szkolnego. Było wśród nich 45 filmów nie zakupionych przez CRF a więc niedostępnych kinowej publiczności, a 87 to pokazy premierowe i przedpremierowe.

Oprócz tytułów z „Konfrontacji" oglądaliśmy m. in. zestawy nowych filmów szwedzkich, włoskich, angielskich, norweskich i holenderskich, etiudy studentów szkół filmowych USA Wielkiej Brytanii, CSRS i NRD. Były spotkania z Jurijem Rajzmanem, Martą Meszaros, Royem Andersonem, Jackiem Goldem, Liną Hecht i Colinem Jungiem.

W tej sytuacji opinia wyrażona przez jednego z dziennikarzy, że Szkoła jakoby odcięta jest od tego, co dzieje się we współczesnym filmie światowym, jest pospolitą nieuczciwością. W istocie Szkoła nasza jest uczelnią otwartą na wszystko, co nowe i żywe w sztuce polskiej i światowej.

— Dziękuję Panu Rektorowi za te wypowiedzi.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

TOMASZ SOLDENHOFF

ODBUDOWAĆ WIARĘ W SŁOWO

Piotrkowskie FORUM TEATRÓW PUBLICYSTYCZNYCH nie jest imprezą nową, wszak po raz pierwszy „teatry publicystyczne" zjechały tu jesienią 1975 roku, ale życie jego przebiegało wówczas w jakimś utajeniu, i w tym roku dopiero — co podkreślano zgodnie — mogliśmy być świadkami właściwego porodu noworodka. Stąd też odpowiedzialny niepokój.

Porzućmy jednak ten ironiczny ton (nowy festiwal, jaka to gratka dla rasowych felietonistów!) i spytajmy: cóż to jest własciwie to piotrkowskie FORUM?

FORUM nie chce być festiwalem. Nie ma jury ani nagród. Organizatorzy we wszelkich wypowiedziach podkreślają jego nieskrępowaną, roboczą, dyskusyjną formę.

Ale mimo tych wszystkich zastrzeżeń FORUM festiwalem... jest. Po prostu zarówno historia festiwali, jak i Słownik Języka Polskiego zna festiwale, które n i e muszą być konkursami, oprócz oczywiście festiwali, które nimi były i są.

Jest więc FORUM festiwalem, a raczej musi pełnić i jego funkcje z braku innej, podobnej tematycznie i podobnie ogólnopolskiej imprezy. Przynajmniej na razie

A jeszcze: jest festiwalem „teatrów publicystycznych". **Lecz cóż to znaczy: „teatr publicystyczny"?** I kto jest, a kto nie jest publicystą w teatrze? Co do pojęcia „teatru publicystycznego" wniosło II FORUM, co zaś z osobna prezentujące się na nim teatralne grupy?

W jednej z książek Edmunda Osmańczyka, znalazłem zdanie, które mnie zastanowiło. Napisał bowiem był przed piętnastu ledwie laty E. Osmańczyk: „Słusznie będzie przypomnieć że publicystyka obejmuje nie tylko słowo pisane i mówione, ale również i tworzywa innych dziedzin sztuki, a więc muzyki, malarstwa, grafiki i rzeźby". **Teatr autor pominął.**

A przecież pamiętamy wszyscy choćby „Powrót posła" J. U. Niemcewicza. To właśnie dzieło, acz pozostając literaturą, mieć miało w zamierzeniu **cel publicystyczny**. „Pod postacią rozrywki nie tylko prywatnego życia obyczaje, ale i zdrożne względem całości prostować", „wpajać w umysły prawidła zdrowe i uczciwe, zachęcać do cnót publicznych i domowych" — oto co, jak podkreślał sam pisarz, było celem dramatu.

Spośród wszystkich określeń r o l i publicysty do młodego teatru chcącego nie tylko mienić się, ale b y ć „publicystycznym", bodaj najbardziej pasuje definicja dość stara, jeszcze z ubiegłego wieku. Wtedy to publicysta miał do spełnienia pewną **misję społeczną**, miał być „pobudzicielem", człowiekiem najbardziej nadającym się do tego, by rozrzucać idee po rozmaitych głowach, poruszać myśli, zachęcać do myślenia i czynu, otwierać drogi innym.

Coś z takiej swobodnej i twórczej postawy powinno cechować twórców tego teatru, który ma do spełnienia inną funkcję niż ta, która przynależy zwykle dziełom sztuki.

Główną funkcją „teatru publicystycznego" musi bowiem być nie funkcja estetyczna, lecz — poznawcza. Wydaje mi się, że widz idący do tego teatru, tak jak czytelnik sięgający po gazetę, chce przede wszystkim poznać fakty w jakimś nowym oświetleniu, zgłębić aktualne problemy, zająć postawę poznawczą.

U źródeł publicystyczności leżą przecież i powszechna nam wszystkim skłonność do wydawania sądów o otaczającej nas rzeczywistości, i skłonność do konfrontacji tych sądów z innymi, i chęć dokonywania zmian w tej rzeczywistości. **Teatr publicystyczny dawałby więc szansę konfrontacji tych poglądów gronu dużo większemu**, niż to jakie stanowią ci, którzy niejako „zawodowo" bazują na owych skłonnościach (publicyści).

Publicystyka jest w swej istocie aktualna, to truizm. **Powinna być — również w teatrze — „przewodnikiem po współczesności", to piękne wskazanie.** Michał Szulczewski w książce „Publicystyka i współczesność" powiada jeszcze, że dobry przewodnik „ukazując odbiorcy obraz rzeczywistości w sposób niemal niezauważalny wskazuje, objaśnia, sugeruje". Takie formy „publicystyki wizualnej" jak karykatura, rysunek, film, obraz telewizyjny czy teatr, byłyby chyba szczególnie do tej roli predestynowane.

Jak jest w rzeczywistości?

Po prezentacjach ośmiu teatrów na tegorocznym FORUM (pomijam bezkonkurencyjny i nie dający się oceniać kryteriami „teatru publicystycznego" monodram „Dlaczego śpiewa ptak?" wg Jacka Gulli, w świetnym wykonaniu aktora zawodowego z płockiego teatru — Henryka Tomczyka) odniosłem wrażenie, że **członkowie tylko jednego teatru zdają się mieć świadomość tego, czym może i powinna być w teatrze publicystyka** (myślę o teatrze **„Studia Zet"** ze Szczecina, **n. b. laureacie nagrody publiczności). A inni?**

Tak się składa, że większość festiwali czy przeglądów twórczości a m a t o r s k i e j (jak piotrkowskie FORUM) jest na ogół w swych programowych założeniach mocno niedookreślone. Toleruje się tu przypadek i „wszystkoizm", a celem starań organizatorów i animatorów ruchu jest podkreślanie za wszelką cenę **naturalności** tej sytuacji. Owa workowatość staje się niekiedy wręcz argumentem, ważną racją istnienia, podstawą statusu festiwalu czy przeglądu. I choć dla żądnej zabawy czy dyskusji publiczności nie jest to może ważne, jednak doprowadza, primo, do oczywistego zamętu w kryteriach ocen, sekundo, do zmiany oblicza imprezy.

I tak o ile na przykład tegoroczna łódzka „YAPA" stała się przeglądem piosenki kabaretowej, poetyckiej, „do śpiewania", w końcu i (zgodnie z nazwą i celem) turystycznej, o tyle zamiast **„II Ogólnopolskim Forum Amatorskich Teatrów Publicystycznych"** można by piotrkowską imprezę określić po prostu **„forum teatrów amatorskich"...**

Wśród uczestników znalazły się bowiem i teatr poezji **(„Heliotrop"** z Bielska-Białej z widowiskiem **„Jestem z upływającej wody"** wg poezji Haliny Poświatowskiej) i „kram z piosenkami" tudzież wierszami o wszelkich znamionach jednej z okolicznościowych „wiązanek" jakie się zwykło po szkołach i muszlach koncertowych wystawiać na akademiach **(ST „Verbum" z Łodzi ze „Strofami walki")** i dwa teatry z „montażami poezji i publicystyki radzieckiej" (łowicki **„Ensemble"** i gdański zespół **„Po prostu").**

Z kolei obserwując poczynania **teatru „Forum" z Dąbrowy Górniczej** odnosiło się wrażenie, że jego ambicje sięgają czy wyżej (?), czy po prostu gdzie indziej niż wskazuje „teatr publicystyczny". Zresztą i sam twórca spektaklu **„A gwiazdy świecą i płoną, płoną i płoną, i świecą"** — epitafium poświęconego dzieciom Blokady Leningradzkiej (program został przygotowany z okazji 60 rocznicy Rewolucji Październikowej) reżyser i scenograf **Michał Staśkiewicz**, stanowczo odżegnywał się od przysądzania jego dzieła „publicystyce". Tymczasem nawet w teatrze, który nie chce być „publicystyczny", acz stawia społeczny, publicystyczny problem, cały sztafaż inscenizacyjny musi być służebny wobec warunku wypełnienia naczelnej funkcji — funkcji poznawczej.

Inaczej powstaje spektakl, w którym odpowiednie proporcje „teatralności" i „publicystyczności" nie są utrzymane, spektakl zrealizowany na zasadzie „reżyser ma pomysły". Problem pozbawiony intelektualnego ruchu, jakiegoś rozwoju, znika, a cała uwaga widzów skupia się na obserwacji starannie wystudiowanych, lecz zanadto celebrowanych (a przez to tracących swą ciekawą niekiedy, symboliczną moc) szczegółów inscenizacyjnych czy rozwiązań plastycznych — jak w wypadku „Forum".

Tonem przesadnie poważnym i zawiłym, tonem, który upodobnił spektakl do niekomunikatywnego, retorycznego dyskursu, przemówił **„Teatr publicystyczny" z Piotrkowa Trybunalskiego**, pokazując w **„Reinkarnacji"** coś, co było przeciwieństwem żywego teatru publicystycznego naszych wyobrażeń.

Bo przecież z publicystyką kojarzymy sobie zazwyczaj ton polemiczny, żarliwy. Na domiar w stylu publicystyki wielkie jest znaczenie ekspresji. Skoro autor wyraża jakieś własne poglądy, zwierza się, to chce, to m u s i nawiązać z odbiorcą ścisły, osobisty kontakt. Tymczasem spektakl piotrkowian był letni. Można to chyba uznać za wynik braku szczerego zaangażowania i pełnej odpowiedzialności aktorów za słowo, bezkrwiste i gładkie. Nadmierna teatralizacja, owa nadwyżka teatralnych efektów powiększająca dystans nie tylko między aktorem a widzem, lecz również między aktorem a scenicznym działaniem i słowem, zaszkodziła także **Teatrowi Poezji i Prozy „Po prostu".**

Miał rację krytyk teatralny i redaktor „Sceny" **Lech Śliwonik** powiadając w czasie jednego z seminariów II FORUM, że aktorzy w gdańskim spektaklu stali się po prostu igraszką w rękach reżysera. Dla zespołu bezwolnego i bezkrytycznie obdarzającego zaufaniem inscenizatora, nie widzę, niestety, specjalnych perspektyw w teatrze publicystycznym...

Jeżeliby więc wartość publicystycznej wypowiedzi mierzyć tym jakie jest jej istotne znaczenie dla czytelnika czy widza, tym co rzeczywiście jeden człowiek (czy grupa ludzi) ma do powiedzenia od siebie drugiemu, okazałoby się, że większość propozycji II FORUM nie wypełniła nawet tego kryterium „publicystyczności". Rodzi się zatem pytanie: czy rzeczywiście problemy nurtujące omówione już tu spektakle są tymi, które trzeba by uznać dzisiaj za najbardziej aktualne, za najbardziej polskie i w ogóle nas obchodzące?

Brak polemik czy gorętszych dyskusji wokół tych przedstawień jeszcze w czasie trwania FORUM jest chyba najlepszą na to pytanie odpowiedzią. Ale jeśliby nawet przyznać, że przedstawione problemy są ważne, to zawsze aktualne jest pytanie o stosunek twórców do tych spraw (o ową zatem **nieodłączną od publicystyki tendencyjność)** o zasadę oświetlania społecznych i politycznych zagadnień: czy ma to być polemika, czy aprobata czyichś poglądów, krytyka czy pochwała zjawiska? Z wyjątkiem oczywistej wymowy przedstawienia teatru „Forum" z Dąbrowy Górniczej (pacyfistycznej, krytycznej wobec wojny), **stosunek ten był żaden.**

Natomiast za udaną wypada uznać próbę **Studenckiego Teatru „Jedynka" z Gdańska**, jeśli się zważy, że na tle innych spektakli bardzo młody zespół „Jedynki" cechowała polemiczna żarliwość, publicystyczne zacięcie i duża doza prowokacji w chęci postawienia kilku ważnych pytań. Był bowiem **„Domek mały"** (oparty zarówno na tekstach „z życia": relacjach sądowych, na publicystyce, jak i na tekstach Norwida, Wyspiańskiego, Różewicza i Mrożka) nie stroniącym od bardzo mocnych efektów inscenizacyjnych atakiem na pewne niepokojące zjawiska naszej obyczajowości i mentalności narodowej (a m. in. na karykaturalnie przedstawiony „mit Zachodu", wzorzec „Polaka-patrioty od sportowego święta", na problem szybkiego dorastania), szkoda tylko, że atakiem pozbawionym umiejętności hierarchizowania zjawisk różnego pochodzenia i gatunku. Stąd dyskusyjnie zabrzmiał wyprowadzony na podstawie tak jednoznacznej oceny różnych zjawisk wniosek (powtórzony za poetą, a więc i niezbyt oryginalny): „Polak jest olbrzym, a człowiek w Polaku jest karzeł"...

Do wyciągania łatwych wniosków, ani tym bardziej do stawiania pytań jedynie, nie chciał natomiast ograniczyć się ambitny spektakl Sceny Propozycji Młodych „Teatru otwartego studia Zet" ze Szczecina. Twórcy „Prawdy" zrozumieli bowiem chyba, że **zadaniem teatru publicystycznego** (jak i w ogóle: dobrej publicystyki) **nie jest tylko mnożenie pytań, lecz także szukanie choćby doraźnych rozwiązań, prób wyjścia z sytuacji.**

„Prawda" jest w istocie próbą wspólnego s z u k a n i a odpowiedzi poprzez partnerski i namiętny dialog z publicznością. **Ta intencja aktorów:** sprowokować żywą, natychmiastową reakcję, była zamiarem świadomie, prawdziwie **publicystycznym.** Co więcej, była zamiarem, który w obu wypadkach (Nagrodą w plebiscycie publiczności była możliwość powtórnej prezentacji, w ostatnim dniu II FORUM) powiódł się znakomicie. Dyskusja, mimo iż zamierzona jako środkowa część w trójdzielnej, tryptykowej kompozycji spektaklu, wcale nie ograniczała swobody dyskutantów, a wypowiadane czy wyśpiewywane w ostatnim, najkrótszym fragmencie przesłanie po obu rozmowach z publicznością było harmonijnym, a zarazem zawsze innym dopełnieniem, logicznie rozmowy te zamykającym.

Świadczy to nie tylko o elastyczności, inwencji twórców spektaklu, ale przede wszystkim o głębokości intelektualnej, o poziomie myślowym, na którym „Studio Zet" proponuje i inicjuje dyskusje, daleko rozleglejsze tematycznie od tego tylko problemu, który jako podstawowy wyłania się ze spektaklu.

A problem ten dotyczy sensu wyboru: między ideą twórczą a marazmem, między postawą „zarażania" twórczym, aktywnym stosunkiem do rzeczywistości a postawą konsumenckiego trwania w bierności. W kontekście toczących się dziś, nie tylko wśród młodych, dyskusji nad kształtem etycznym i psychicznym nowoczesnego, socjalistycznego ideału człowieka, pytanie o sens owego wyboru, zachowując swój odwieczny, uniwersalny, filozoficzny charakter, nabiera wymowy żywej i aktualnej dla każdego Polaka. W tym też należałoby upatrywać źródeł powodzenia „Prawdy".

Tym co wyróżniło spektakl szczecińskiego „Studia Zet" spośród większości prezentacji tegorocznego FORUM AMATORSKICH TEATRÓW PUBLICYSTYCZNYCH było **nastawienie na przekaz myślowy, a nie na zabiegi inscenizacyjne.** Autentycznie p u b l i c y s t y c z n y spektakl „Prawda" stał się koronnym argumentem przeciw tym, którzy przerosty inscenizacyjne, formalne sztuczki czy po prostu brak jasnej scenicznej formuły dla swych myśli usprawiedliwiają szumnie brzmiącym frazesem o trudnościach porozumienia się w naszym, skomplikowanym świecie, o niemożności dotarcia tradycyjnymi środkami do istoty człowieka, o dewaluacji s ł ó w.

Nakazem chwili dla współczesnej poezji, dla współczesnego teatru jest odbudowa wiary w słowo. Młodzi twórcy wyróżnionego, znakomitego spektaklu zrozumieli tę prawdę.

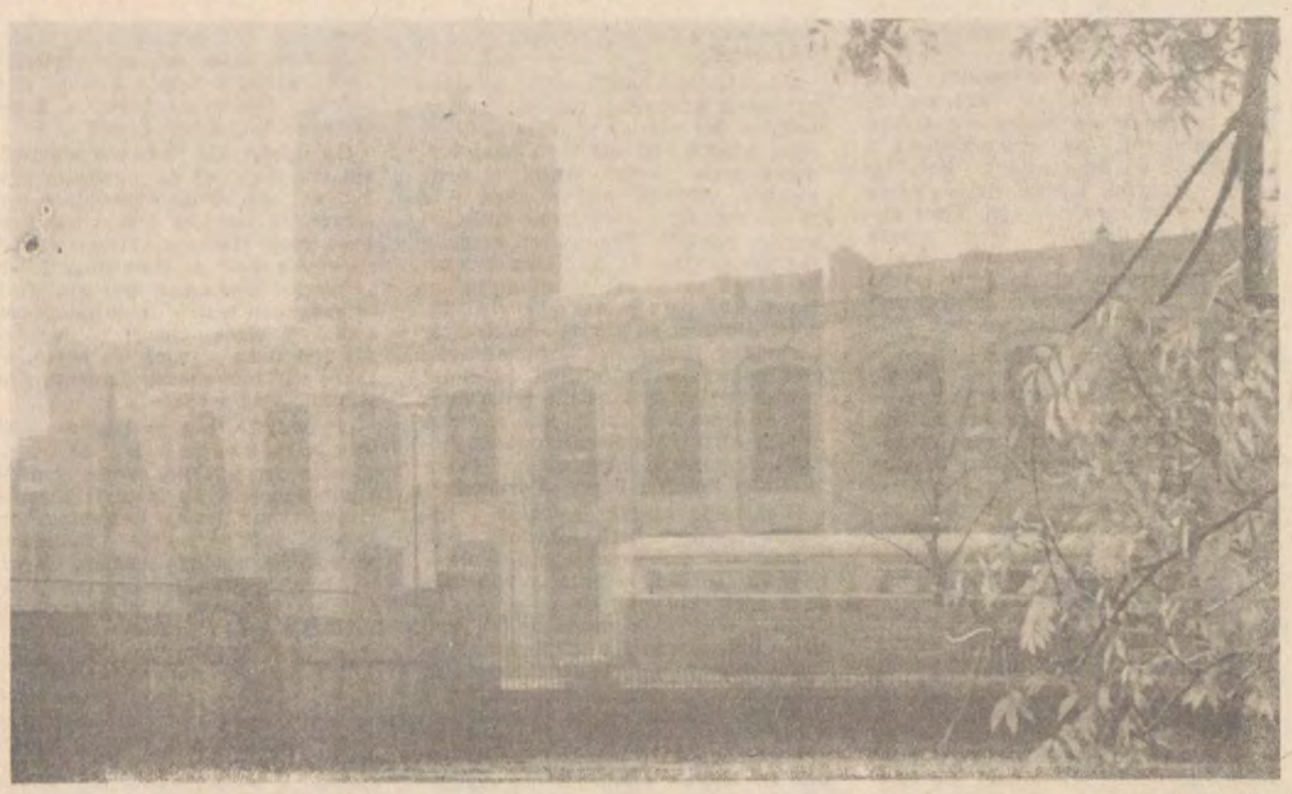

Foto: W. Parys

KONRAD TUROWSKI

MOMENT WIRAŻU

Była bardzo ładna Jerzy Jankowski spotkał ją na imieninach u Jacka Grabiszewskiego, znanego łódzkiej publiczności muzyka jazzowego. Na przyjęcie przyszedł z żoną, choć nie bardzo miała ochotę na tę wizytę. Spodziewała się zostać matką za dwa tygodnie i trochę czuła skrępowanie swoim stanem. Dała się jednak przekonać. Mąż przecież przyjaźni się z Jackiem od najmłodszych lat. Kiedyś mieszkali po sąsiedzku na Retkini. Przyjaźń trwa mimo, że domu Jankowskich już dawno nie ma przy ulicy Fornalskiej. Wybudowano supersam. Dokładnie tam, gdzie stało łóżko, na którym Jurek urodził się w 1940 roku jest teraz kasa sklepowa. Łatwo to określił według dwóch starych kasztanów przed wejściem do pawilonu handlowego. Drzewa zostawiono, ongiś rosły dwa metry od okna ich pokoju...

Nieznajoma dziewczyna od razu wpadła w oko inżynierowi Jankowskiemu. Miała jasne włosy opadające na ramiona i głęboki dekolt kokieteryjnie odsłaniający mocno opalone plecy. Zaraz też zauważył, że dobrze skrojoną sukienkę w modnym melanżu wyraźnie dobrała pod kolor swoich szarych oczu. — Skąd ona wzięła taką tkaninę? — od początku to pytanie nie dawało mu spokoju. Poprosił śliczną nieznajomą do tańca. Przy rytmicznej melodii z filmu „Grek Zorba" dowiedział się, że partnerka kupiła sukienkę na ciuchach w Warszawie. Metki przy niej nie było już. Dociekliwość dotyczącą kreacji dziewczyna traktowała jako komplement. Nieco ją zaskoczyło tylko ukoronowanie nietypowej formy adoracji. Ale pozwoliła, aby inżynier wziął sobie nitkę. Za jej przyzwoleniem wysupłał jedną z dołu krótkiej, sięgającej ledwie kolan sukienki....

Fachowiec może z jednej nitki dowiedzieć się właściwie wszystkiego o tkaninie, jej konstrukcji, sposobie barwienia i gatunku przędzy z jakiej została wykonana. Główny specjalista do spraw nowoczesności produkcji i wzornictwa w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Feliksa Dzierżyńskiego — „Eskimo" mgr inż. Jerzy Jankowski natychmiast więc wiedział, że sukienka dziewczyny zwracającej swoją urodą i eleganckim ubiorem uwagę całego imieninowego towarzystwa, uszyta została z tkaniny bawełnianej o oryginalnej konstrukcji. Nitka nie była bowiem jednolicie wybarwiona. Gdy ją rozciągnął i rozwłóknił zobaczył, że została jakby skręcona z wielu krótkich włókienek, białych i czarnych. Ani przy pomocy barwienia włókna, ani przy metodzie drukowania gotowej tkaniny podobnego efektu nie da się uzyskać, wzór musiałby się powielać. Rezultat w postaci niepowtarzalności melanżu można osiągnąć tylko poprzez odpowiednie przygotowanie dwubarwnej przędzy, która będzie się swobodnie układać w drobniutką mieszaninę dwóch kolorów.

Inż. Jankowski orientował się, że taka tkanina z pewnością znalazłaby bardzo wielu chętnych odbiorców. Czy jednak będzie możliwe podjęcie seryjnej produkcji podobnego melanżu w warunkach „Eskimo"?

ZPB im. Dzierżyńskiego w Łodzi są najstarszym zakładem w gronie 29 przedsiębiorstw należących do krajowej branży bawełnianej. W 1979 roku mija równo półtora wieku jak nieprzerwanie tu wytwarza się nie wymagające przesadnej precyzji ciężkie tkaniny bawełniane, barchany i flanele. Od nich wywodzą się — nazwa zakładów „Eskimo" i pingwin w „herbie". Bo jeden z wytwarzanych asortymentów najchętniej kupowanych przez klientów mieszkających w rejonach świata, gdzie w ciągu roku częściej panują mrozy niż temperatury powyżej zera, nazywał się „Eskimos". Zresztą, pracowników „Dzierżyńskiego" dawno już „ochrzczono" żartobliwie „eskimosami", na długo nim wyszło zarządzenie aby wszystkie zakłady przyjęły na użytek swojej działalności eksportowej i zagranicznych odbiorców, nazwy bezpośrednio związane z charakterystycznym rodzajem produkcji.

Specjalizacja sięgająca odległych czasów, gdy właściciel fabryki Ludwik Geyer sprowadził do Łodzi pierwszą maszynę parową i uruchomiał ją tam gdzie teraz, przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Milionowej stoi przyzakładowa stołówka, obrosła tradycją i wykształciła określone nawyki załogi. Ludzie przyzwyczaili się do flanel i barchanów kojarząc je z Geyerami, którzy w przekazywanej z pokolenia na pokolenia opinii pracowników zakładu jawią się wyjątkowo korzystnie na tle środowiska łódzkich fabrykantów, opętanych nieokiełznaną chęcią zysków za wszelką cenę i bezwzględnie okrutnych wobec robotników. Już w 1911 roku Geyerowie wymienieni są w spisie fabrykantów jako jedyna polska rodzina. Uważali się za Polaków choć protoplaści rodu nie znali ani jednego słowa po polsku i mówili tylko w swoim ojczystym języku niemieckim. Najstarsi pracownicy „Eskimo" z uznaniem wspominają też, że w 1939 roku, zaraz po wkroczeniu hitlerowców do miasta, prawnuk Ludwika Geyera kazał rozdać wszystkim potrzebującym cały zapas fabrycznego węgla. Ale mimo zawartej we wspomnieniach sympatii do dawnych właścicieli i zarządców fabryki, po upaństwowieniu jej w 1945 roku i wybraniu na patrona Feliksa Dzierżyńskiego zdecydowanie usunięto geyerowskie inicjały umieszczone w kamiennych schodach wiodących do głównego biura zakładów. Miało to raczej znaczenie symboliczne niż praktyczne. Nie zmienione przecież pozostały stare budynki i maszyny pamiętające zeszłe stulecie. Gdy pod koniec lat pięćdziesiątych zrodziła się koncepcja powołania w Łodzi Muzeum Historii Włókiennictwa od razu wybór padł na „białą fabrykę" stanowiącą integralną część ZPB im. Dzierżyńskiego. Łatwo przyszło zrezygnować z przędzalni i tkalni mieszczących się w budynku o drewnianych podłogach przesiąkniętych dawnymi olejami i smarami, stropach wspartych na modrzewiowych słupach i belkach. „Rysunek gmachu z niemałym kosztem dałem sporządzić u sławnego architekta zagranicznego" — pisał z dumą w 1837 roku Geyer, wznosząc nowoczesny jak na owe czasy budynek 4-kondygnacyjny o 365 oknach, aby zgodnie ze starym przesądem każdy dzień w roku był pomyślny dla właściciela.

Nie ma co ukrywać, że otwierając 1 stycznia 1960 roku przy ul. Piotrkowskiej 282 nową placówkę gdzie wchodzących wita napis: „Biała Fabryka... niegdyś miejsce pracy ojców naszych — dziś Muzeum, które dzieje łódzkich włókniarzy i szacunek dla ich trudu przekaże przyszłym pokoleniom", z powodzeniem można by w całości ZPB im. Dzierżyńskiego ogłosić jednym wielkim Muzeum Historii Włókiennictwa...

Jeszcze teraz trudno się zorientować, gdzie kończy się muzeum i zaczyna „Eskimo". Na biura i pracownie powołanego 1 stycznia 1977 roku działu głównego specjalisty do spraw nowoczesności i wzornictwa wyznaczono pomieszczenia w prawym skrzydle „białej fabryki", należącym jeszcze do ZPB im. Dzierżyńskiego. W ten sposób prespektywy przedsiębiorstwa jaskrawo zderzają się z jego najdawniejszą przeszłością i wzajemnie zazębiają.

Nazajutrz po imieninach mgr inż. Jerzy Jankowski z samego rana zwołał na naradę pracowników swego zespołu — są wśród nich zastępca do spraw wzornictwa mgr inż. Marek Pigułowski oraz nieoceniony praktyk o 41-letnim stażu pracy Bronisław Wójcik, który jeszcze przed wojną kończył Technikum Włókiennicze, potrafi tak bezbłędnie, że „aż mózg staje"! odgadnąć numer każdej przędzy i określić splot. Szefem „banku informacji" prowadzącym m.in. bibliotekę techniczną mianowano mgr inż. Jolantę Nowińską, żonę hokeisty z ŁKS, a specjalistą przędzalnikiem — Zbigniewa Lewińskiego, który wciąż więcej czasu spędza w zakładzie niż w domu, mimo, że ledwie przed pół rokiem się ożenił. Beniaminkiem jest mgr inż. Jadwiga Bemska, jeszcze 7 miesięcy temu piątkowa studentka PŁ. Zespół potrafi rozpracować technologię produkcji — od surowca do wykonania materiału.

Wszyscy zgodnie orzekli, że trzeba próbować.

Inż. Jankowski z nitką pobiegł do kierowników przędzalni Jerzego Żukowskiego i Zygmunta Nowickiego — Panowie pomóżcie. Jak zrobimy taką przędzę będzie tkanina ekstra, jakiej jeszcze nie ma na krajowym rynku! — przedstawił sprawę podtykając nitkę, którą poprzedniego dnia wieczorem wyciągnął dziewczynie z sukienki. Chcąc pozyskać sprzymierzeńców, zachęcić do działania, opowiedział w jakich okolicznościach zdobył tę jedną nitkę. Opisał prezencię nieznajomej i jej kreacji. Musiał to zrobić z pasją skoro rozpalił zainteresowanie do tego stopnia, że zapytali go o imię dziewczyny. Niestety, nie wiedział. — Co z ciebie za chłop, że za kieckami się oglądasz, a co w środku to cię już nie obchodzi? — skwitowali to z przyganą.

Chcieć wcale nie znaczy móc. Obaj kierownicy przędzalni dokładnie obejrzeli nitkę i z powątpiewaniem pokiwali głowami. Od lat ich przędzalnia produkuje surowiec z odpadów, przeznaczony na najtańsze koce bawełniane. Nie ma żadnego znaczenia jak zgrzeblarka wymiesza najrozmaitsze ścinki tkanin i jaka z tego powstanie przędza. Co za różnica czy będzie więcej takiego czy innego koloru? I tak tylko zwykłe koce z tego wyjdą. — Naprawdę chciałbyś, aby z tych odpadów wychodziły nam melanżowe nitki? Czy ty już zapomniałeś przyjacielu, czego cię na studiach uczyli? Zapamiętaj sobie, że tu jest przędzalnia o d p a d k o w a. Nie mamy czasu ani możliwości na produkcję przędzy wymagającej precyzyjnego przygotowania... Zastanów się, czego ty od nas wymagasz?... — jednoznacznie wyrazili swoją opinię. Może kto inny dałby za wygraną i odstąpił od przeszkadzania w utartym i doskonale sprawdzonym przeszło 100-letnim doświadczeniem, toku produkcji przędzalni odpadkowej. Mgr inż. Jerzy Jankowski wliczył jednak do swojej pracy ryzyko i konflikty zaraz, gdy wręczono mu nominację na stanowisko głównego specjalisty do spraw nowoczesności i wzornictwa w ZPB im. F. Dzierżyńskiego — „Eskimo". Od razu sygnalizowały tego rodzaju kołopoty niekoniecznie złośliwe uwagi: — Nowoczesność w takiej starej budzie jak nasza? To chyba wolne żarty.

Wiedział, że właśnie nadszedł moment zmierzenia sił, przekonania się po czyjej stronie są racje. Zdawał sobie sprawę, że jeśli ustąpi to przegra szansę rysującą się dla całej koncepcji awansowania zakładu. Tak długo i zawzięcie bronił swego aż usłyszał: — No już dobrze, świat się nie zawali jak jedną próbę zrobimy...

Wynik przeszedł najśmielsze oczekiwania. Wprawdzie pierwszy skrawek utkany z przygotowanej przędzy jeszcze w niewielkim stopniu przypominał materiał jaki pragnął uzyskać, ale tzw. chodzone tło było już dobrze widoczne. Na tyle efekt był oczywisty, że natychmiast wywołał zmianę frontu obu kierowników przędzalni odpadkowej. Niedawni przeciwnicy zaczęli pomagać w realizacji pomysłu. Wspólnie już uradzono, że doskonalszy rezultat pewnie się osiągnie jeżeli tylko 10 proc. będzie czarnej przędzy i czterokrotnie wymiesza się ją z białą a nie dwukrotnie jak przeznaczoną na koce.

Wreszcie prawdziwa „bomba": mają w ręku idealny melanż!

Robią dalsze próby.

23 lutego 1977 roku mgr inż. Jerzy Jankowski jedzie do „Ariadny" i przywozi w teczce kilka garści nici. Wrzuca do pierwszego zgrzeblenia. Nitki ulegają takiemu rozwłóknieniu, że zamiast melanżu uzyskują tkaninę jednobarwną. Próbę powtarzają ale teraz dodają porcję nici dopiero w połowie procesu zgrzeblenia. Wyszedł oczekiwany melanż. Można więc w ten sposób produkować nową tkaninę. Trzeba jednak jakoś rozwiązać technicznie wrzucanie nici w odpowiednim momencie do zgrzeblarki. Aby czynność tę wykonywał człowiek nie może być mowy. W zakładzie brak przecież ludzi.

13 marca przeprowadzono próbę wykorzystując odpady powstające przy obszywaniu koców. Podobne wnioski jak w przypadku eksperymentu z nićmi z „Ariadny". Wyważone ilości odpadów trzeba by wrzucać w połowie procesu zgrzeblenia. W przeciwnym razie zawsze, gdy wpada większy pęczek to wprawdzie się rozprzestrzenia ale na tkaninie wychodzi w postaci dużego śladu.

15 marca Jerzy Jankowski, Jerzy Żukowski i Zygmunt Nowicki wpadają na zgoła genialny pomysł! „Skoro mamy do dyspozycji dwa zespoły zgrzeblące — wnioskują — można je połączyć i melanżować po dwa kolory!". Mieszają „pelce" z przędzą z obu zespołów zgrzeblących i uzyskują bardzo ładną tkaninę dekoracyjną. Znów jednak wyłania się problem dodatkowego stanowiska pracy. Ktoś przecież musi „pelce" mieszać Nie mówiąc już o tym, że tkaniny zasłonowe powinny mieć szerokość 140 cm a zakład może na swoich maszynach produkować materiały dwukrotnie węższe.

30 marca wracają do pierwszego eksperymentu. Wykorzystują pucho-orzech czyli wyczesy bawełniane z czyszczenia surowca. Zwykle się je wyrzuca a w najlepszym razie idą na produkcję koców. Ale sam pucho-orzech jest zą krótki, nie utrzyma nitki. Dodają 30 proc. włókna syntetycznego. Próba wypada doskonale. Decydują: osnowę robimy z bawełny bo tkanina ma być lekka, z przeznaczeniem na koszule męskie i sukienki, a wątek będzie syntetyczny, zapewniający jej należytą wytrzymałość...

W ZPB im. Feliksa Dzierżyńskiego wszyscy już wiedzą, że przygotowuje się nowy rodzaj tkaniny jakiej dotąd nigdy tu nie wytwarzano. Zjednoczenie Przemysłu Bawełnianego zatwierdza propozycję. Inż. Jankowski dowiaduje się, że materiał ma się nazywać „Leon". Natychmiast jedzie do Zjednoczenia, prosto do Krystyny Sizy, która zajmuje się nazewnictwem nowych wyrobów. Zna ją bo przed przeniesieniem służbowym do „Dzierżyńskiego" pracował w zjednoczeniu w wydziale wykończalni, zajmując się parkiem maszynowym i technologią całej branży. — Kochana pani Krysiu — błaga skory nawet klęknąć przed jej biurkiem — — tylko nie „Leon"! Przecież to zabrzmi strasznie, gdy ktoś wejdzie do sklepu i powie: poproszę półtora metra „Leona"... Siedzący w tym samym pokoju pracownicy zjednoczenia wybuchnęli śmiechem. Pani Krystyna ustąpiła: — Może sam pan jakąś nazwę zaproponuje? Zapytał: — Może się nazywać „Zorba"? Zgodziła się.

Próbki „Zorby" kierownik działu zbytu mgr Józef Polewiak przedstawił z ceną po 65 zł za metr na giełdzie bawełnianej. Całą ofertę w ilości 60 tys. metrów kwartalnie na pniu zakupiły Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Wólczanka", bardzo wymagający renomowany producent męskich koszul. Wydawało się, że sukces jest już pełny. Ale najgorsze przyszło w najmniej spodziewanym momencie, gdy ruszyła seryjna produkcja. — Panie inżynierze — zaalarmowało inż. Jankowskiego laboratorium kontroli jakości — „Zorba" ma niedopuszczalną kurczliwość dochodzącą do dziesięciu procent!

Rozegrał się prawdziwy dramat.

Przed uruchomieniem produkcji wykonano przecież z największą dokładnością wszystkie próby laboratoryjne. Z kurczliwością nie było żadnych problemów — zawsze utrzymywała się w granicach normy tj. 2 proc. Japońska salforyzarka to najlepsza maszyna w zakładzie, nigdy nie zawiodła. A tu raptem zamiast dwóch procent wykurczenia jedna próba daje 6 proc., następna 8 proc. Kierownik działu apretury Piotr Wiśniewski nie chce wierzyć własnym oczom. — To chyba jakieś cuda — konstatuje i dla namacalnego sprawdzenia starannie, flamastrem, zaznacza na „Zorbie" jeden metr. Powinno z tego metra zostać 98 centymetrów. Mierzą: jest 98 cm! Ale w laboratorium badany odcinek wykurcza się jeszcze 6 cm...

Sprawa jest bardzo poważna. Zakład podjął zobowiązania wobec „Wólczanki", która już zdążyła przyjąć zamówienie na koszule z „Zorby" od klienta francuskiego. Nowa tkanina jest w planie produkcyjnym fabryki, jeśli nie zostanie wykonana odbije się to na zarobkach pracowników kilku wydziałów. Zbiera się „konsylium". Kierownik wykończalni mgr Tadeusz Kłys jest przekonany, że przyczyną nadmiernej kurczliwości tkaniny jest zła konstrukcja, bo nie może być dobra skoro wątek ma bardzo gruby a osnowę cieniutką. Inż. Jankowski dowodzi, że jeśli osnowa będzie grubsza przykryje czarny wątek i tkanina straci efekt melanżu. Mówi, że Elżbieta Kwiatkowska z działu wzornictwa kupiła „Zorbę" z próbnej partii, uszyła z niej bluzkę i jest zadowolona, nosi się i pierze znakomicie. Ale stawka jest wysoka. Magister Kłys ma bogate doświadczenie zawodowe, pracuje 23 lata w zakładzie, za usprawnienia i wnioski racjonalizatorskie otrzymał dyplom zasłużonego racjonalizatora produkcji, dał się więc poznać jako orędownik postępu i jego opinia zwycięża.

Przeprowadzają próbę konstrukcyjną, zmniejszają ilość nitek osnowy, „Zapędzają" tkaninę, nadszarpują strukturę, aby wątek mniej się wykurczał i zablokował osnowę. Rezultat negatywny.

Inżynier Jankowski asystuje przy każdej próbie. Zdenerwowany niecierpliwie czeka na wyniki. Niestety, wciąż są złe. Aż przychodzi zbawcze olśnienie: może na bielniku maszyna nadmiernie naciąga tkaninę?

Sprawdzają w suszarce bębnowej. Materiał winduje na wysokość 7 metrów. Pod wpływem własnego ciężaru każdy metr „Zorby" rozciąga się do 112 cm. Zakładają więc tkaninę na suszarkę ramową. Jest lepiej, bo wydłuża się tylko o 2 proc. Ustawiają odpowiednio wskaźniki naddania. Nic z tego — wynik laboratoryjny znów jest niekorzystny. Badają suszarkę. Jest zepsuta, wadliwie naddaje tkaninę. Po wyregulowaniu, nareszcie wszyscy oddychają z uczuciem ulgi — wyprodukowano kilkadziesiąt metrów i laboratorium potwierdza kurczliwość w granicach normy!

Tego dnia inż. Jankowski po raz pierwszy od kilkunastu dni wraca do domu o normalnej porze. Jeszcze jednak nie jest mu dane zaznać spokoju. Nazajutrz bowiem powtórzył się alarmujący sygnał z laboratorium. Nauczony doświadczeniem, że stara maszyna może zawodzić, zaczął od oględzin wysłużonej suszarki. Jeden z wałków rozszerzający tkaninę jest dziwnie gruby, owinięty jakąś szmatą.

— A to, panie inżynierze, ja tak sobie usprawniam — wyjaśnił robotnik obsługujący maszynę i logicznie dodał: jak materiał jest bardziej naprężony, to nie wyskakuje z igieł suszarki... Rzeczywiście, to był sposób, gdy latami „szły" mięsiste, dobrze wypełnione flanele, ale delikatną „Zorbę" mógł zniszczyć...

Tak usunięto ostatnią już przeszkodę. Produkcja nowej tkaniny ruszyła, jak to się mówi, pełną parą. Szybko nadrobiono zaległości. Teraz wszyscy w zakładzie wolą mówić o zaletach „Zorby", niż wspominać niedawne kłopoty z nią związane. Przede wszystkim podkreślają skrócony cykl obróbki — odpada proces drukowania i bielenia, bo od razu materiał jest biało-czarny. Aby nadać tkaninie najkorzystniejsze walory użytkowe, w apreturowni uodparnia się ją na gniecenie i brudzenie. „Zorba" wyróżnia się korzystnymi cechami, skoro „Wólczanka" zwiększa zamówienie na trzeci kwartał do 70 tys. metrów...

REPORTAŻ

Wprowadzenie w wiraż nowoczesności zakładu, w którym prawie 150 lat w ten sam sposób wytwarzano te same towary, nie może przejść gładko. I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR Barbara Wójcicka mówi: — Wszyscy chcielibyśmy jak najszybciej przeprowadzić się do nowego odtworzeniowego zakładu. To jasne! Ma on produkować 100 mln m różnych tkanin rocznie. Będzie to prawdziwa Huta „Katowice" w przemyśle lekkim. Żyliśmy już myślą o rychłej przeprowadzce. Plany się jednak zmieniły, realizację inwestycji odłożono na następną pięciolatkę. W gronie aktywu partyjnego zadaliśmy więc sobie pytanie: czy mamy czekać na nowoczesność i poprawę jakości naszych wyrobów, aż wybuduje się nowy zakład? Jednomyślnie zdecydowaliśmy: zabieramy się do roboty, pokażemy, że nasza załoga jest ambitna! Rozdzieliliśmy zadania partyjne. Rezultaty? Proszę bardzo: planowana produkcja tkanin unowocześnionych za pierwszych pięć miesięcy 1977 roku miała wynieść 5 mln 373 tysiące metrów o łącznej wartości 264.768 tys. zł, a dostarczyliśmy 6 mln 268 tys. metrów tkanin za 288.893 tys. zł. Jeszcze w 1975 r. zaledwie 2 proc. naszych towarów miało znak jakości, a obecnie osiągamy 10 proc. Za tymi liczbami kryje się ogromny wysiłek całej załogi, wytężona praca, codzienne nasze troski i radości...

Czasem do ostrych spięć dochodzi na forum zakładowej instancji partyjnej. Eksperymenty nie mogą odbijać się na wykonaniu planu. Np. wykończalnia ma dostarczyć na składalnię 100 tys. metrów tkanin dziennie i nie ma tłumaczenia, jeśli się nie wywiąże. Magister Kłys, autor dwóch patentów, które rocznie przynoszą zakładowi ok. 4 mln zł oszczędności, atakuje inżyniera Jankowskiego, bo sam jest między młotem a kowadłem. Z jednej strony Kłys popiera dążenie do nowoczesności manifestując to własnym przykładem, ale z drugiej, zawala plan, gdy Jankowski i jego ludzie przychodzą ze swoimi próbami i zajmują maszyny... Plenum KZ zażądało więc od dyrekcji wyraźnego sformułowania, że będą wypłacane nagrody pieniężne za wprowadzanie nowoczesności i poprawę jakości. Zarobki załogi nie ucierpią, poprawił się klimat wokół spraw związanych z pościgiem za krajową czołówką.

Są też w zakładzie trudności kadrowe. W ciągu ostatnich lat prawie 6-tysięczna załoga ZPB im. Dzierżyńskiego zmalała do 4,7 tys. osób. Co miesiąc żegnają po kilku pracowników odchodzących na zasłużone emerytury. Na wniosek KZ PZPR mgr Mirosława Zarzycka, zakładowy socjolog, rozmawia teraz z każdym zwalniającym się bądź zwalnianym z zakładu. Przekonuje, podsuwa rozwiązania umożliwiające pozostanie, oferuje inne stanowiska pracy. Często odnosi to skutek i udaje się zatrzymać takiego, który już chciał uciekać z „Eskimo".

Dzielnie stara się pomagać instancji partyjnej zakładowa organizacja młodzieżowa. Należy do najlepiej działających w mieście. „Może to paradoks — mówią w Zarządzie Dzielnicowym Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej Łódź — Górna — ale w najstarszej fabryce mamy najlepszą młodzież". Wiceprzewodnicząca ZZ ZSMP, Swietłana Napieraj, szczerze przedstawia sprawę: — Sporo dziewcząt i chłopców od nas odeszło, gdy dowiedzieli się, że budowa nowego zakładu to jeszcze dość odległa przyszłość, ale na tych, którzy zostali na pewno może liczyć cała załoga. Jesteśmy, bo czujemy się związani z „Dzierżyńskim" i jutrem fabryki. Jest ona dla nas czymś więcej, niż zwykłym miejscem pracy. Tu uczyliśmy się zawodu, korzystamy z opieki i doświadczeń starszych, wiemy, że naprawdę jesteśmy bardzo potrzebni...

— Skąd masz takie oryginalne imię? — zapytałem Swietę i dowiedziałem się, że przyszła na świat koło Uchty w Związku Radzieckim. Matka wybrała Wandę, ojciec, rodowity Rosjanin, zgodził się, ale idąc do urzędu stanu cywilnego zapomniał obco brzmiące imię. Nie chciał się już wracać, bo urząd był dość daleko. Więc podał do metryki córki imię, które uważał za najpiękniejsze, opiewane przez poetów i wymieniane w rosyjskich legendach. W 1965 roku ojciec umarł. Swieta miała 6 lat, gdy przyjechała do Polski. Mówiła tylko po rosyjsku, a polskiego uczyła się w przedszkolu, od rówieśników. Matka, Władysława Jackowska, znalazła pracę w ZPW im. Wiosny Ludów. Swieta ukończyła Zasadniczą Szkołę Odzieżową. Brakowało jej kilku miesięcy do 18 lat, więc zaczęła pracować jako goniec w biurze wykończalni w ZPB im. Dzierżyńskiego. Wkrótce awansowała na laborantkę. Z koleżankami pojechała na organizowany przez zakładowe koło PTTK Rajd Świętokrzyski. Poznała Andrzeja. W 1975 roku pobrali się. Andrzej jest rytownikiem, zaocznie studiuje chemię na Politechnice Łódzkiej, ma średnią ocen 4,6. Czekają na mieszkanie...

Rozmowę przerwał nam brodaty młodzieniec w roboczym kombinezonie. Wszedł bezceremonialnie i od progu zawołał: — Ilu potrzebujesz ludzi na stadion „Tęczy"? Od nas wszyscy chcą iść... — Na stadionie „Tęczy" pracujemy w czynie społecznym, pomagamy budować kryty kort tenisowy — wyjaśniła mi Swietą i przedstawiła Marka Olszowca.

Podobnie jak Swieta pracę w ZPB im. Dzierżyńskiego zaczął od gońca. Teraz ma 25 lat. Jest monterem aparatów i układów hydraulicznych. 3 marca 1976 roku o godzinie 8.40 wszedł z kolegą do kanału ściekowego, by przeczyścić zapchaną studzienkę. Przedtem nigdy w kanale nie był. Nagle usłyszał złowrogi syk natężający się w ciemnościach. Obaj rzucili się do włazu. Jednocześnie jednak nie mogli wyjść, otwór jest za ciasny. Olszowiec ustąpił pierwszeństwa. Podsadził kolegę, choć sam już się krztusił i czuł, jak gorąco liże mu nogi i dłonie. Na powierzchnię wyczołgał się sam. Spojrzał na swoje ręce, słabo mu się zrobiło. Skóra odchodziła całymi płatami. Oszalały z bólu biegał po szatni, a kierownik bhp i pielęgniarka za nim. Wreszcie go dopadli, pocięli robocze ubranie, położyli na noszach i karetką odwieźli do Szpitala im. Pasteura...

8 maja 1976 roku miał się odbyć ślub Marka z Renatą, laborantką, koleżanką Swiety. Ale Olszowiec wyszedł ze szpitala dopiero 11 maja. W zakładzie już mówili, że z tego związku nic nie będzie, bo Marek trwale został oszpecony na skutek silnego poparzenia ługiem sodowym. Co więcej, rozniosła się nawet plotka, że... umarł. Kilka dni po wypadku ludzie widzieli, że Pietranek, brygadzista z warsztatu hydraulicznego, idzie z wieńcem. Wysnuli wniosek, że na pewno na pogrzeb Olszowca. Wiedzieli przecież, że był ciężko poparzony i lekarze dawali nikłe nadzieje na uratowanie pacjenta. Dopiero później dowiedzieli się, że Pietranek z delegacją zakładową składał wieniec u stóp Pomnika Martyrologii w Radogoszczu...

Marek wyzdrowiał. Ożenił się z Renatą, spodziewają się dziecka. Chce mieć córkę. Wybrali już dla niej imię — Sylwia. Do 1 czerwca 1977 r. Marek pracował w biurze, dyrekcja na stałe zaproponowała mu posadę urzędnika, ale on nie chce. Mam całe życie siedzieć za biurkiem? — postawił się hardo i wrócił na stanowisko montera.

W fatalnej historii Marka wydaje się ważniejsza jego postawa i cechy charakteru, niż dociekanie okoliczności, w jakich doszło do wypuszczenia z kadzi ługu sodowego pod ciśnieniem kilku atmosfer, wprost do kanału, w którym byli ludzie.

23 czerwca 1977 roku „Głos Robotniczy", w notatce może niezbyt fortunnie zatytułowanej „Upały zwiększają niebezpieczeństwo pożarów — chrońmy powierzone nam mienie", poinformował:

„Wczoraj o godzinie 6.57 w ZPB im. Dzierżyńskiego, wskutek awarii urządzenia, nastąpił wybuch parownika. Eksplozja spowodowała zdemolowanie dachu hali fabrycznej i wywołała pożar, który na szczęście, dzięki błyskawicznej interwencji straży pożarnej, został zlokalizowany. Jeden z pracowników fabryki doznał oparzeń drugiego stopnia, a przypadkowy przechodzień został ranny od uderzenia cegłą, którą podmuch wyrzucił aż na ulicę".

Dopiero co zakupiony w Republice Federalnej Niemiec parownik był nowoczesnym urządzeniem. Nagrzewał tkaninę do 120 stopni i utrwalał na niej barwniki. Producent gwarantował niezawodność pod każdym względem. Zaraz po wypadku zjechali fachowcy z niemieckiej firmy, ale nie znaleźli niczego niewłaściwego w eksploatacji maszyny, ani też innych powodów mogących wywołać wybuch. Gwoli ścisłości trzeba też podać, że nie zdołano odszukać poszkodowanego przechodnia, mimo poszukiwań w Pogotowiu Ratunkowym i łódzkich szpitalach. Zgłosiła się natomiast pewna kobieta, która doznała szoku wystraszona potężnym hukiem eksplodującej maszyny. Ranny robotnik, po kilkunastu dniach wyszedł ze szpitala.

Budynek, w którym była umieszczona pechowa maszyna, stoi tuż przy przystanku tramwajowym na ul. Piotrkowskiej. Wprawdzie ani jedna cegła nie spadła na szklany dach wiaty, przeniesiono przystanek kilkadziesiąt metrów dalej i zamknięto barierami ruch pieszy w rejonie zrujnowego obiektu. Były obawy, że stare gmaszysko jest nadwerężone wybuchem i samo się zwali na ruchliwą zawsze ul. Piotrkowską. Tymczasem okazało się, że wiekowa budowla w dobrym stanie wytrzymała silną eksplozję nowoczesnej maszyny. Eksperci budowlani orzekli po drobiazgowych oględzinach, że mury hali fabrycznej nawet nie drgnęły. Ucierpiał tylko dach wsparty na mocno nadwątlonych zębem czasu, drewnianych stropach. I w gruncie rzeczy dobrze się stało, bo cały impet eksplozji łatwo znalazł ujście. Gdyby urządzenie zainstalowano w solidnym budynku ze stropami betonowymi, następstwa wypadku mogły być tragiczne.

W żadnym razie nie należy tu wnioskować, że instalowanie nowoczesnych maszyn w „Eskimo" odbywa się automatycznie — tak po prostu w miejsce przestarzałych i wysłużonych urządzeń wstawia się nowe, w miarę dopływu środków finansowych na modernizację sędziwego zakładu. Montaż każdej maszyny musi być starannie przygotowany już choćby z tego względu, że przeciętnie pożerają one trzy razy więcej elektryczności, stare przewody nie wytrzymują obciążeń, trzeba je wymieniać.

— Bez prądu nie ma nowoczesności — twierdzi główny energetyk w ZPB im. Dzierżyńskiego, mgr inż. Jerzy Kamasa. — I ma rację. Ale nie można mówić o nowoczesności w przemyśle włókienniczym bez klimatyzacji. Wentylowanie hal fabrycznych przy pomocy „cugów" wywoływanych otwieraniem drzwi i okien nie sprzyja ani ludziom, ani produkcji szlachetnych tkanin wymagających w procesie obróbki stałej temperatury i wilgotności powietrza. W „Eskimo" wydano już na klimatyzację 20 mln zł. Na wielu wydziałach upały przestały być zmorą, ludzie mają czym oddychać. Ba, z przędzalni przyszła w czasie czerwcowej kanikuły delegacja ze skargą do dyrekcji, że na hali jest za zimno...

Modernizacja wielkiego zakładu, który dostarcza rocznie, liczące się na rynku towary wartości 1 mld 540 mln zł, jest sprawą rozgrywającą się jednocześnie w wielu płaszczyznach i nie może ograniczać się do jednego zapaleńca czy grona pasjonatów. Tym bardziej, gdy cała załoga ma ambicję podniesienia poprzeczki.

— Przykład „Zorby" — powiedział mi naczelny dyrektor ZPB im. Feliksa Dzierżyńskiego, mgr inż. Eugeniusz Wojciechowski — może najbardziej wymownie charakteryzuje nasze dążenia i zamierzenia, ale nie jest jedyną ilustracją zachodzących przemian w naszym zakładzie. Mamy na swoim koncie wiele innych nowości, które zdobyły rynek. Widziałem już w „Uniwersalu" walizki i torby podróżne wykonane z teksasu drukowanego sklejonego z tkaniną podkładkową. To rezultat pracy naszego oddziału tkanin sklejanych i powlekanych, zwanego w skrócie „kaliko". Wyroby się podobają klientom. Łódzki „Kangur" otrzymał w pierwszy kwartale 5 km nowej tkaniny, a w drugim kwartale, pod naciskiem odbiorców, już podwoiliśmy produkcję. Z jak najlepszej strony zna też nasze wyroby Śląsk. Jesteśmy jedynymi dostawcami flaneli „Kromos" na koszule robocze dla górników. Sami rozpracowaliśmy technologię „Kronosu" odznaczającego się niezbędną wytrzymałością oraz odpornością na brud. Wreszcie, poprawiliśmy dość znacznie jakość naszych tradycyjnych, grubych wyrobów. Na przykład na kocach zaczęliśmy robić wzory żakardowe, staranniej dobieramy barwy i poprawiliśmy parametry przędzy. I to wszystko bez nowych maszyn i dodatkowych środków!

Dyrektor Wojciechowski kieruje zakładami „Eskimo" od 1 grudnia 1974 roku ale fabrykę poznał znacznie wcześniej. Właśnie tutaj stykał się pierwszy raz w życiu z prawdziwą produkcją i jej problemami. W 1951 roku był na trzecim roku studiów na wydziale włókienniczym Politechniki Łódzkiej, gdy skierowano go do „Dzierżyńskiego" na półroczną praktykę dyplomową. Pracował na krosnach. Kierownikiem tkalni był Jan Szelest. Przydzielił studenta pod opiekę doświadczonemu tkaczowi. Przyszły inżynier sam obsługiwał krosno. Puścił tyle dziur i błędów, że ogarnęło go przerażenie. — Proszę pana, ja zapłacę za ten zniszczony towar — chciał wyjść z honorem. Nie wiedział, że szkoda jest wkalkulowana w jego edukację. — Nie martw się chłopcze — powiedział stary tkacz — z czasem się nauczysz, zawsze jak człowiek zabiera się do nowego trzeba ryzykować...

Obejmując stanowisko dyrektora naczelnego ZPB im. Dzierżyńskiego, mgr inż. Eugeniusz Wojciechowski zastał na tym samym miejscu krosno na którym 23 lata wcześniej poznawał tajniki tkactwa. — Ale to już ostatnie dni starych maszyn w naszym zakładzie — powiedział informując o najbliższych zamierzeniach dotyczących modernizacji „Eskimo". Wyrzucamy 220 krosien pamiętających zeszłe stulecie. Kupiliśmy nowoczesne, typu „STB". W sumie mamy na inwestycję 200 milionów zł. To już niezły „zastrzyk", aby pomyślnie wyjść z wirażu na prostą drogę ku nowoczesności..."

27 lipca 1977 roku w „Eskimo" wykonano udaną próbę nowej dewetyny. Dwa miesiące wcześniej inżynier Jankowski był służbowo w Krakowie. Na dworcu zobaczył dziewczynę w aksamitnej sukience. Wsiadł za nią do wagonu. Dopiero jak pociąg zatrzymał się w Trzebini zorientował się, że jedzie do Katowic, zamiast wracać do Łodzi. Przywiózł jednak jedną nitkę z oryginalnej sukienki nieznajomej pasażerki...

II nagroda w Konkursie zorganizowanym z okazji 150-lecia Zakładów im. F. Dzierżyńskiego w Łodzi.

ROCZNICA

DZIEWIĄTA SYMFONIA

Gdy miał lat szesnaście przedstawiono go wielkiemu już wówczas Mozartowi, a Mistrz, po wysłuchaniu fortepianowej improwizacji, której temat sam raczył zadać, rzekł zebranym w salonie przyjaciołom: „zobaczycie, że o tym młodym człowieku wiele się jeszcze będzie mówiło". I nie omylił się Mozart. Już wkrótce pełnym blaskiem zajaśniała gwiazda równie wielkiego muzyka. Owym tak dobrze zapowiadającym się młodzieńcem był bowiem Ludwik van Beethoven, którego sto pięćdziesiątą rocznicę śmierci uroczyście obchodzi w tym roku cały muzyczny świat. Czcimy tę rocznicę pełni uznania, w głębokim hołdzie dla wielkiego artysty i wielkiego człowieka. Jego talent i zrodzone zeń dzieła wzbudzają nasz szacunek każąc schylać przed sobą czoło, niezłomność charakteru zaś i siła woli wzbogacają portret wielkiego artysty o dodatkowe cenne barwy czyniąc zeń godny naśladowania wzór postawy wobec przeciwności życia i nieubłaganego losu.

Częste i z całą pewnością słuszne są propozycje tych krytyków i teoretyków sztuki, których zdaniem każde dzieło oceniać należy niezależnie od kontekstu rzeczywistości, jaka otaczała twórcę, bądź też warunków, w jakich dzieło to zostało zrodzone. Trudno jednak tę teorię, jak każdą inną zresztą, uznać za uniwersalną. Trudno czynić to zwłaszcza w przypadku Beethovena. Tutaj bowiem świadomość związków między biografią twórcy, jego osobowością i warunkami, w jakich komponował swe dzieła, a nimi samymi pozwala na lepsze i pełniejsze ich zrozumienie, a co za tym idzie — na głębsze ich przeżycie i wreszcie — ciekawsze doznanie artystyczne odbiorcy.

„Zachwycając się więc, tak jak w „Kronikach swego życia" czynił to Strawiński, sposobem urabiania przez Beethovena materii dźwiękowej, jaki „doprowadził go w logicznej konsekwencji do tych monumentalnych form, dzięki którym uzyskał chwałę", warto odwołać się do biografii artysty i przypomnieć, iż te monumentalne formy zrodzone zostały przez twórcę borykającego się z okrutnymi przeciwnościami losu. Kłopoty materialne, aczkolwiek istotne, byłyby tu sprawą mniejszej wagi. Beethovena dotknęło przecież znacznie gorsze, p r a w d z i w e, a w przypadku kompozytora n a j w i ę k s z e z możliwych nieszczęść, o którym tymi słowy sam pisał do swych najbliższych w tzw. testamencie heiligenstadzkim: „...musiałem wcześnie odsunąć się od ludzi, pędzić życie samotne. Gdy chciałem wznieść się ponad to wszystko, jakże twardo wówczas odpychała mnie w dwójnasób smutna świadomość, że źle słyszę, a przecież nie mogłem jeszcze powiedzieć ludziom: „mówcie głośniej, krzyczcie, bo jestem głuchy".

Swiadomość własnej niemocy i nieszczęścia, a jednocześnie usilna chęć przezwyciężenia ich jawi się w listach Beethovena do przyjaciół. „Chcę, jeśli to tylko możliwe, stawić czoła swemu losowi, chociaż będą w moim życiu chwile, kiedy będę, najnieszczęśliwszym stworzeniem bożym" — pisał w czerwcu 1801 roku do Franza Gerharda Wegelera. Miał przed sobą jedną tylko alternatywę: poddać się nieszczęściu, albo pokonać je swymi dziełami. Zdecydował się walczyć. Do tego samego adresata skierował następujące słowa: „Chcę chwycić los za gardło, całkiem mnie nie zegnie." Zwyciężył. Jego dzieła okazały się nieśmiertelne. Historia potwierdziła prawo artysty do przekonania, które wyraził w jednym ze swych listów: „O, to takie piękne przeżyć życie tysiąc razy!"

Dd zwycięstwa, jakie odniósł potrzebne były Beethovenowi trzy rzeczy: talent, siła ducha i niezwykła pracowitość. Z pierwszą z nich przyszedł na świat, dwie następne opanował w stopniu zgoła zdumiewającym. Siły ducha dowiódł całą swoją twórczością, samym faktem jej powstawania na przekor wszystkim przeciwnościom. Twórczość ta pogodziła go ze złym losem, z jego listu do wiedeńskiego magistratu wynika, iż pomogła mu ona wraz z wrodzoną dobrocią serca ów los udźwignąć. „Chcę dowieść, że ten, kto postępuje dobrze i szlachetnie, zdolny jest przez to samo znieść nieszczęście". Z niebywałej pracowitości zaś znany był Beethoven swoim współczesnym. Niemożność pełnego porozumienia się z ludźmi z jednej strony i wielka chęć maksymalnego wypowiedzenia siebie — z drugiej, sprawiła, iż na długie miesiące, a nawet lata zamykał się on w swej pracowni. Wymagał od siebie bardzo wiele. Organiczna wręcz potrzeba pracy twórczej, nie opuszczała go nawet w chorobie, nawet na kilka zaledwie miesięcy przed śmiercią. Pisał wtedy do przyjaciela: „Moją dewizą jest zawsze **nulla dies sine linea** i gdy pozwolę zasypiać Muzie, to tylko po to, aby zbudziła się silniejsza. Spodziewam się wydać na świat jeszcze kilka wielkich dzieł."

Ten twórca, który tak wiele wspaniałych dzieł przysporzył światu w wyjątkowy sposób sam siebie pogodził z losem. Jego pełna łagodnego spokoju rezygnacja pozwoliła mu na sporą nawet dozę równie łagodnej ironii, a może raczej gorzkiego, ale przyjętego niczym nie dający się odwołać wyrok, sarkazmu. Cóż bowiem innego sądzić o tym artyście, jeśli w pełni sił twórczych potrafił zdobyć się na słowa: „Biedny to człowiek, który nie umie umrzeć, umiałem to już jako piętnastoletni chłopiec." Ale twórca ten każdym swoim dziełem walczył z ogarniającym go nieszczęściem. Nie dziw więc, że wielki miłośnik i znawca jego sztuki, Romain Rolland wołał w swoim poświęconym kompozytorowi dziele. „Ożywmy jego przykładem wiarę w życie i w człowieka!"

Ludwik van Beethoven, na przekór nieszczęściu, życie i człowieka umiłował ponad wszystko a dziełami swymi postanowił sławić radość.

*

Wyrazem wiecznej radości zwyciężającej wszystko jest najsłynniejsze bodaj dzieło mistrza, jego ostatnia wielka forma muzyczna, najpełniejsza w swym artystycznym kształcie, wspaniała **IX Symfonia d-moll op. 125.**

Zrodzona w jedenaście lat od prawykonania poprzedzającej ją **VIII Symfonii** godnie wieńczy wspaniały dorobek twórczy artysty. Przemożna chęć skomponowania hymnu do radości nurtowała Beethovena na długo przed ostatecznym przystąpieniem do pracy nad tym dziełem. Pragnął bowiem sławić umiłowaną i wytęsknioną radość wszystkimi dostępnymi sobie środkami muzycznymi. Urzeczony schillerowską **„Odą do radości"** wprowadził do **IX Symfonii** cztery głosy solowe i wspierający je, a może nawet przede wszystkim stanowiący jej samoistną wartość chór. Pełny tytuł **IX Symfonii** brzmi więc: **„Symfonia nr IX d-moll z chórem końcowym do słów Schillera „Ody do radości" (na orkiestrę, cztery głosy solowe i chór)".**

Wprowadzenie choru przedstawiało dla Beethovena duże trudności. Całym i wyłącznym jego muzycznym żywiołem była bowiem orkiestra. Sam zresztą mówił o tym: „Kiedy przychodzi mi jakaś myśl, słyszę ją graną przez instrument, nigdy zaś śpiewaną przez głosy." Ale chęć uczynienia takiej próby z jednej strony i urzeczenie utworem Schillera z drugiej, było silniejsze od jego własnej, wyrażonej tymi słowami obawy. Beethoven pokonał więc przewidywane trudności i własną niepewność, aczkolwiek pewne wątpliwości, co do słuszności niektórych konstrukcyjnych rozwiązań **IX Symfonii** długo jeszcze trapiły wielkiego twórcę. Pierwsze wykonanie **IX Symfonii** (7 maja 1824) przyniosło jednak w pełni zasłużone zwycięstwo. Cytowany już Romain Rolland pisze, iż wielki twórca dziełem tym „zwyciężył mierność ludzi, zwyciężył własny los, zwyciężył swe cierpienie".

Muzyczny Wiedeń z zachwytem przyjął nowe dzieło Ludwika van Beethovena akceptując wniesioną przez niego, właśnie w **Dziewiątej** reformę, czy też innowację, jaką było po raz pierwszy tu właśnie zastosowane wprowadzenie do tak zamkniętej i tradycją usankcjonowanej w swym kształcie formy orkiestrowej, jaką jest symfonia głosów ludzkich, w partii chóru zwłaszcza potraktowanych instrumentalnie. Nie uczynił tego nikt przed Beethovenem, ale przecież on właśnie twierdził w jednym ze swych listów, że „nie ma zasady, której nie można by naruszyć po to, żeby było piękniej". (Sztywne zasady naruszył on zresztą znacznie wcześniej zmieniając obowiązującą dotychczas konstrukcję symfonii przez wprowadzenie w **Symfoniach II, III** i **VII scherza** w ich częściach trzecich miast uświęconego w tym miejscu tradycją i nakazem **menueta).**

Wewnętrzna konstrukcja **IX Symfonii d-moll** oparta na zasadzie klasycznego cyklu sonatowego, acz siłą swą wykraczająca poza jego ramy, dzieli ją na cztery części. Trzy pierwsze zapowiadają niejako tę radość, którą sławić podjął się kompozytor, czwarta zaś — zwłaszcza w swoim finale — wybucha nią w sposób już nie pohamowany, w sposób, dzięki któremu opiewający to uczucie głos ludzki jest już elementem koniecznym i najpełniej wypowiadającym myśl kompozytora. Przygotowany przez poszczególne grupy instrumentów, zapowiedziany niejako przez orkiestrę powtarzanym po kilkakroć motywem radości, moment wejścia w wielką orkiestrową formę głosu ludzkiego jest chwilą o tak silnym, dramatycznym już — rzec by się chciało — napięciu, że wejście to wydaje się słuchaczowi nie tylko w pełni uzasadnione, ale wręcz konieczne. Nie dziwi i nie zaskakuje, jest zupełnie oczywiste i oczekiwane. Jawi się jako logiczna i jedynie słuszna konsekwencja, najwłaściwsze zwieńczenie konstrukcji wewnętrznej trzech poprzedzających ją części. Gdy w czwartej części **IX Symfonii** chór i soliści podejmują wspaniałą **„Odę do radości"** Schillera fakt ten odbieramy jako mistrzowsko skomponowaną kontynuację prowadzonej przez trzy części, narastającej w wewnętrznym natężeniu „rozmowy" poszczególnych grup instrumentów. Konstrukcja **Finału** jest tym cenniejsza, że niesie w sobie szersze, głęboko humanistyczne treści: radości, pokoju i szczęścia żąda najpierw jednostka (piękna partia barytonowa), a później dopiero życzenie to wyrywa się z piersi całej ludzkości jej wielogłosowym wołaniem (przejmująca, ale dźwięcząca prawdziwym optymizmem partia chóru).

Sposób, w jaki rozkochana w swych twórcach publiczność wiedeńska przyjęła ten utwór stał się dla Beethovena jego wytęsknioną radością. Historia mówi o przejmującej wręcz scenie, jaka rozegrała się po wybrzmieniu ostatnich dźwięków **IX Symfonii.** Jej kompozytor, całkiem już niemal głuchy, stojąc plecami do tłumnie zgromadzonych na sali słuchaczy, nie słyszał tej burzy oklasków, jaka zerwała się po prowadzonym przez niego koncercie. Entuzjazm publiczności dotarł do niego dopiero wtedy, gdy jedna z solistek obróciła go w stronę wiwatujących na jego cześć melomanów Wiednia. 7 maja 1824 roku rozpoczął się triumfalny marsz **IX Symfonii** przez filharmoniczne estrady świata.

EWA PANKIEWICZ

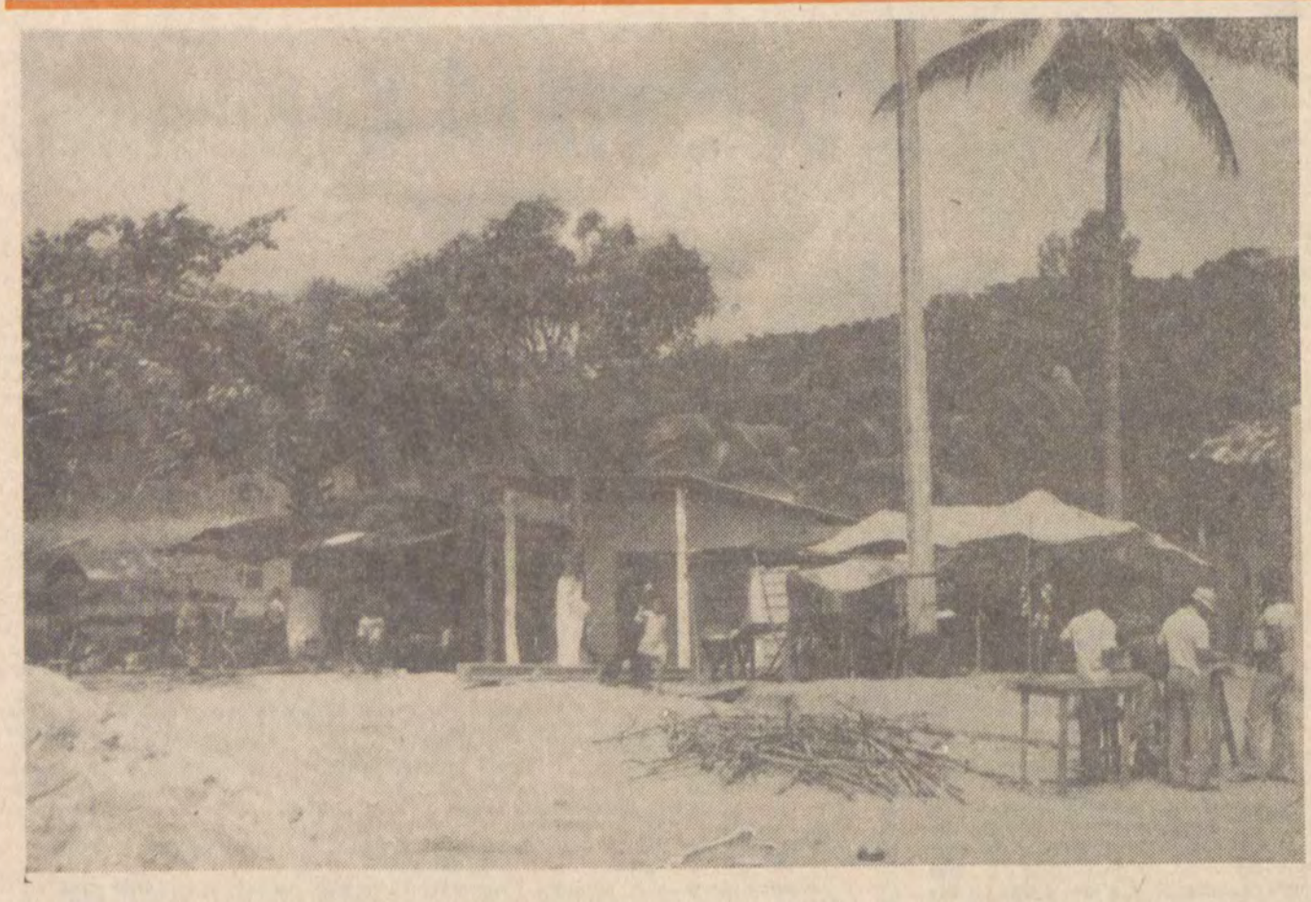

ANDRZEJ MAKOWIECKI

MAKUMBA SCHEIBLERÓW

(KORESPONDENCJA Z ŁODZI I SAO PAULO)

1.

W czerwcu dostałem sekretną informację:

— Jeśli w ogóle jedziesz pan do Brazylii, to w szczególe potrzebujesz pan rozmawiać z Szymkiem Baumanem. Szymek Bauman był z Scheiblerami tak! (energiczne zgięcie ramienia w łokciu). Gdyby czasy nie uległy zmianie (westchnienie), Szymek Bauman byłby teraz u Scheiblerów za zięcia i miałby tyle pieniędzy, że nie można sobie tego wprost wyobrazić. Pan pójdziesz do Szymka Baumana i pan się powołasz na mnie (uderzenie pięścią w dekę), a on panu da adres Scheiblerów w Sao Paulo...

— Po co mi ten adres?

— Po co?... (pełen zgrozy wytrzeszcz oczu). Pan się jeszcze idziesz pytać — po co?! — Pauza. — Panie Makowiecki, ja wiedziałem, że pan jest bardzo mądry pisarz, ale ja nie wiedziałem, że pan jest taki głupi człowiek... Przecież pan drukował artykuł o grobowcu Scheiblerów, dobrze mówię. Pan żeś się ujął za tym grobowcem, bo to wielki zabytek i w ogóle, a w szczególe, to kości ludzkie, choćby to były kości tłustych fabrykantów, należy zostawić w spokoju. Więc...

— Ale...

— Nie przerywaj mi pan! (gniewne zmarszczenie brwi). Pan odszukasz Scheiblerów w Sao Paulo i dasz im pan przeczytać swój kawałek, a wtedy ich oczy zaczną łzawić. Potem pan ich pozdrowisz ode mnie, od Szymka Baumana i od niejakiego Kuńdzi, i zobaczysz pan jeszcze więcej łez. Jak łzy obeschną, Scheiblery dadzą panu inteligentnie zjeść i wypić, i opowiedzą panu swoje przygody na obczyźnie, a pan to wszystko zanotujesz i sprzedasz po powrocie w jakiejś gazecie. Tym sposobem będziesz pan lekko dwadzieścia patyków w przód.

— Hmmm.

— Taaaa.

— Gdzie mieszka ten pański Bauman?

— O, widzisz pan! (serdeczny uśmiech). Zacząłeś pan główkować. Więc on mieszka na Piotrkowskiej AXZ, trzecia prawa oficyna, parter, żadnej tabliczki. Zastać go pan możesz rano albo późnym wieczorem, w dzień siedzi na koniach (totalizator sportowy), albo na „dziewiątym wale" (łódzki karciany hazard szemrany), co zaś się tyczy lokalu, to przebywa nieraz w Grandzie z moneyami (waluciarze). Ale najlepiej łapać go w domu. Uważaj pan! Człek spokojny, jednakowoż rozrywkowy — może mieć jakieś towarzystwo...

2.

Odszukałem wspomniany dom przy Piotrkowskiej. Wszystko było tak, jak mówił informator, z tym że w trzeciej prawej oficynie na parterze znalazłem przecież tabliczkę: KAZIMIERA LOBUCHOWSKA.

Zapukałem, ale nikt nie otwierał. Nacisnąłem klamkę i stanąłem przed drugimi, oszklonymi drzwiami. Znowu zapukałem głośniej i znowu nie było reakcji. Lokator, kimkolwiek był, nie używał klucza, tak że wszedłem bez przeszkód w mrok długiego, wąskiego korytarza.

Krzyknąłem bez większej nadziei:

— Jest tam kto?

Cisza.

— Hej! Pani Łobuchowska!

Skrzyp sprężyn niewidocznego łoża. I nagle jakiś podenerwowany męski głos wrzasnął z głębi pokoju:

— Jaka znowu Łobuchowska?!

— A może pan Szymon Bauman?

— No to co?

— Przychodzę od pańskiego znajomego — i podałem nazwisko.

— Zaraz! — mlaskot bosych stóp na podłodze. W chwilę później wynurzyła się z pokoju naga, czarniawa postać w samych tylko wełnianych reformach.

— Potrzebujesz pan budzić człowieka po nocy — powiedział z łagodnym wyrzutem.

Spojrzałem na zegarek.

— Jest dziesiąta w południe — sprostowałem.

— E, tam, dziesiąta! — Zmrużył kpiarskie, ironiczne, strasznie zapijaczone oczy i dał znać, żebym wszedł z nim do pokoju. Tam, dygocąc z chłodu, pacnął na łóżko i z miejsca zapytał: — Czego pan chce?

Wyłożyłem sprawę.

— Mam ten adres — przytaknął.

— Będę panu niesłychanie zobowiązany — powiedziałem, czując jak serce podjeżdża mi do gardła. Czyżby trop rzeczywiście był prawdziwy?

Ale niebawem zaczęły się komplikacje.

Gość zachwiał się, ziewnął i wymamrotał sennie:

— Przyjdź pan jutro.

— Nie mogę jutro.

— Dlaczego?

— Dziś wieczorem wyjeżdżam do Gdyni.

— Ajajaj! Do Gdyni! — czkawka. I drocząc, się, marudząc:

— Nie widzisz pan, że jestem na cyku? Potrzebuję odzipnąć (spojrzenie na opróżnioną półlitrówkę żyta i równie pustą szklankę, wokół których, na surowym blacie stołu, walały się niedopałki papierosów i ości z jakiejś ryby). Mówię jutro, to jutro...

Wówczas pochyliłem się nad nim, zajrzałem mu miłośnie w twarz i zacząłem skamleć:

— Bądź pan człowiek! To jest dla mnie wielka rzecz.

— Iii...

— Naprawdę!

— O, dobra już, dobra! — machnął ręką i z grymasem nieopisanego cierpienia podszedł do szafy. Przyklęknął, jęcząc jak to każdy pijaczek na kacu, któremu w tego rodzaju manewrach mózg rozsadza ścianę głowy. Wyciągnął dolną szufladę, a z niej pokaźny, związany sznurkiem, plik papierów. Wstał, cisnął papiery na stół, powiedział: — Szukaj! — i zwalił się półżywy na posłanie.

Rozwiązałem sznurek, przetasowałem papiery i w tym momencie znowu opadły mnie wątpliwości, nie było tam bowiem żadnych listów i kart pocztowych, a same, w dużej mierze pożółkłe i stare dokumenty — świadectwo szczepienia duru brzusznego, metryka, jakiś zapis rejentalny, pięć czy sześć powiastek z magistratu w kwestii kontrolnego prześwietlenia płuc, dużo drukowanych pogróżek odnośnie nieuregulowanego czynszu, zaległych opłat za światło i gaz.

— Chyba schował pan gdzie indziej — powiedziałem.

— Może i tak.

— A, trudno — podniosłem się z krzesełka. — W każdym razie dziękuję za dobre chęci. Do widzenia.

Szymek Bauman zerwał się na to z legowiska i sam zaczął przepatrywać dokumenty. Współczułem facetowi. Wiedziałem, że stara się w ten sposób ocalić mit — zachować pozory znajomka najbogatszych łódzkich fabrykantów. Śmiać mi się chciało, kiedy wyłuskał ze stosu pomiętą tekturkę i studiował ją pod światło. Potem sam musnąłem ją wzrokiem i powtórnie uległem ciepłemu uczuciu radości.

Na tekturce pisało:

Rem. K. V. Scheibler
Sao Paulo
Brasil
rua Barbarosa Lopes (numer)
ECP 04721

3.

Byłem niezbicie przekonany, że pierwszy lepszy brazylijski taksówkarz bez trudu zawiezie mnie pod wskazany adres. Wprawdzie o rua Barbarosa Lopes nie słyszał nic ani polski, mieszkający w Sao Paulo inżynier, który odbierał swoją matkę z pokładu GAŁCZYŃSKIEGO, ani też agent POLSKICH LINII OCEANICZNYCH, pan Cichy. Mimo najszczerszych starań nie udało mi się również znaleźć w żadnym z turystycznych biur Santosu planu Sao Paulo, ciągle jednakże wierzyłem w swój węch i już następnego dnia po wylądowaniu w Brazylii turystyczny autokar zawiózł mnie wraz z liczną grupą marynarzy i ich żon do tego dziewięciomilionowego miasta.

Droga, a właściwie wspaniała autostrada, która łączy Santos z Sao Paulo, prowadzi cały czas przez góry: ociera się o kilkusetmetrowe przepaści i ściany tropikalnych lasów, raz po raz wpada w długie, punktowane żółtymi lampionami tunele, wije się, wznosi, opada i w ogóle jest niebywale malownicza, wiem jednak, że czytelnicy nie lubią takich opisów przyrody; trzymaj się, bracie, głównego wątku; o key! daruję sobie wszelkie dygresje, z wyjątkiem jednej jedynej, tylko pozornie nie związanej z akcją.

Otóż, nim zaokrętowałem się na GAŁCZYŃSKIM, poznałem przypadkiem w konsulacie brazylijskim (Gdynia, Pułaskiego 6, drugie piętro), panią Zosię Jurczyk, nauczycielkę tańca, która przeżyła w Sao Paulo wiele swoich cennych lat. Sympatyczna ta niewiasta przekonywała mnie najpierw, że między językiem portugalskim a hiszpańskim nie ma większej różnicy (okazało się inaczej), potem zaś, robiąc przeraźliwą minę, zaczęła mnie nagle przestrzegać, abym jak ognia unikał makumby.

— Makumby? A co to w ogóle jest? — zapytałem.

— Jak to? Nie uczył się pan w szkole?

— Wąż?

— No, co pan...

— Samba?

— Panu chyba padło na mózg! — zezłościła się kobieta. I po chwili: — Makumba to rodzaj afrykańsko-brazylijskiej mszy, którą odprawia się przy udziale kolorowego koguta.

— Taki zabobon?

— Dla jednych zabobon, innym się sprawdza.

— Ale na czym to polega?

— Dla przykładu: ma pan na kogoś złość. Idzie pan wtedy do czarownika i zamawia makumbę, żeby ściągnąć na swojego wroga nieszczęście — niech splajtuje w interesach, zachoruje, złamie nogę, albo niech go nawet trafi szlag.

— A można zamówić makumbę na intencję czyjejś pomyślności?

— Oczywiście. Dobry makumbista sprawi, że pański ojciec wygra w totolotka, a matka wyjdzie z najgorszej choroby...

— Fantastyczne!

— Niech pan nie żartuje! — w źrenicach kobiety pojawiły się demoniczne iskierki. — A gdyby pan kiedyś znalazł na plaży lub na ustronnym placu porzuconą butelkę wina, flaszkę wódki, jakieś smakowicie pachnące mięso, owoce, papierosy — nie dotykać!

— Czemu?

— Bo zatrute.

— Przez makumbistę?

— Tak.

— Czy rekwizyty tej dobrej, niemściwej makumby także są zatrute?

Kobieta pomyślała trochę i odpowiedziała:

— Nie wiem. Ale jedno jest pewne: ludzie częściej i chętniej zamawiają makumbę na nieszczęście swoich wrogów, niż na szczęście swoich przyjaciół.

4.

Ten, kto przyjeżdża szczęśliwie do Brazylii i już następnego dnia trafia nieszczęśliwie do Sao Paulo, może sobie wyrobić o tym pięknym kraju całkiem fałszywą opinię.

Koniec autostrady — tunelów, przepaści, tropikalnych lasów. Autokar wdziera się powoli w dżunglę miasta, w rozległe i nieskończone przestrzenie parterowych domków z gliny, bambusa i desek. Okna tych domków są często bez szyb, w zapadających się dachach jest więcej dziur niż w palcie nędzarza. Uliczki pośród tych domków biegną bez żadnego celu, to w lewo, to w prawo, niby jakaś ścieżka przez zarośla; zioną przy tym rynsztokami

Anglicy nazywają takie osiedla slumsami, natomiast po francusku są to bidonville. Tu, w Brazylii, wykształciło się w drugiej połowie dziewiętnastego wieku osobne określenie: FAVELA. Ile w Brazylii miast, tyle faveli — każde wytworne centrum i dostatnie śródmieście osaczone jest na rubieżach pierścieniem biedaczych zabudowań, które, wbrew woli architektów i polityków, rozrastają się w sposób przypadkowy, rakowaty, pochłaniając coraz to nowe tereny.

Istnieje na pewno duża różnica pomiędzy slumsami i bidonvillami. Obozy palestyńskie, które widziałem w Bejrucie, niczym nie przypominają algierskiej Casby. Zmurszałe budy w Lizbonie, wilgotne i dostojne, sprzeczają się z siedliskiem nędzy w Atenach czy Stambule. Nie ubliżając Ameryce — Europa, Afryka i Azja też mają swoje czarne pocztówki, tyle tylko, że na wschodniej pókuli bieda jest w pewnym sensie logiczna i malownicza, podczas gdy tutaj wszystko wydaje się przypadkowe — poprzekręcane, poprzewracane i bardzo brzydkie. Z kolei jedak ludzie zamieszkujący w arabskich czy europejskich slumsach są z reguły smutni, zrezygnowani, przegrani, najniższym zaś warstwom brazylijskim najwyraźniej dopisuje humor. Niech no tylko zabrzęczy gdzies samba — wszyscy zrywają się ze swoich legowisk i tańczą; kobiety kręcą jak dzień długi pośladkami, mężczyźni zawsze mają w zapasie uśmiech i kupę wolnego czasu, dzieciakom wcale nie śpieszy się do szkoły, jedynym zajęciem wyrostków wydaje się kopanie piłki na zaśmieconych placykach.

Jest dobrze!

Mulat, który ma dwa tysiące cruzeiros nie pójdzie do pracy wcześniej, nim ich nie wyda. Byłoby to po prostu nielogiczne. Po co się męczyć, kiedy starczy jeszcze na piwo i papierosy. Ubiór — zawsze czysty — składa się przecież tylko z kusej koszulki i spodni. Nawet teraz, w lipcu, a więc w okresie tutejszej zimy, temperatura rzadko spada poniżej dwudziestu pięciu stopni, często natomiast wznosi się powyżej trzydziestu — w tej sytuacji nie kłopoczesz się o węgiel, pierzynę i kożuch. Trochę pożywienia także się znajdzie: jak nie chleb na własnym stole, to owoce na cudzych drzewach.

Gdzie też może mieszkać pan Scheibler? — zadaję sobie pytanie. — W strzelistym i bogatym centrum, które jawi się daleko przed nami, czy też tu, w jednej z tych okropnych, rozpadających się lepianek, pośród których krążymy już godzinę z okładem i ciągle nie widać końca.

(c.d.n.)

Zdjęcia: Elżbieta Makowiecka

U PRZYJACIÓŁ

Z okazji zbliżającej się 60 rocznicy Rewolucji Październikowej odbyło się ostatnio w Moskwie spotkanie przedstawicieli zagranicznych towarzystw przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. O znaczeniu tego spotkania mówi Z. Krugłow — przewodniczący Związku Radzieckich Towarzystw Przyjaźni i Kontaktów Kulturalnych z zagranicą:

— W tym prawdziwie przyjacielskim i serdecznym spotkaniu wzięło udział ponad dwustu gości z 90 krajów. Byli wśród nich wybitni działacze państwowi i społeczni, przewodniczący towarzystw przyjaźni z ZSRR i narodowych komitetów obchodów 60-lecia Wielkiego Października, reprezentanci szeregu międzynarodowych organizacji społecznych, weterani ruchu na rzecz przyjaźni z narodami Związku Radzieckiego. Wymieniliśmy poglądy w tak istotnych problemach, jak międzynarodowe znaczenie Rewolucji Październikowej i triumf leninowskiej polityki przyjaźni między narodami. Spotkanie pozwoliło naszym gościom, wśród których było wielu działaczy kultury i sztuki, jeszcze bliżej zapoznać się z życiem narodu radzieckiego i jego osiągnięciami kulturalnymi.

Nasze forum było jednym z głównych przedsięwzięć obszernego jubileuszowego programu przygotowanego w roku bieżącym przez Związek Radzieckich Towarzystw Przyjaźni. Program ten przewiduje różnego rodzaju festiwale, dekady i dni przyjaźni, dwu- i wielostronne spotkania, sympozja i konferencje, a także akcję wystawienniczą.

W najbliższym czasie, na przykład, w kilku krajach socjalistycznych otwarte zostaną ekspozycje fotograficzne obrazujące osiągnięcia ZSRR i krajów wspólnoty socjalistycznej w zakresie gospodarki i kultury. Przygotowują je wybitni fotograficy bratnich krajów.

Chciałbym tu także podkreślić znaczenie, jakie w dziele zbliżenia narodów mają zagraniczne wojaże przedstawicieli świata radzieckiej nauki, kultury i sztuki. Tak więc na przykład, w ciągu tego roku, wzięli oni udział w imprezach „Dni radzieckiej kultury" w sześćdziesięciu miastach Francji. Ogółem radzieckie delegacje, zespoły i soliści odwiedzili ponad 70 krajów świata.

Jesteśmy w bliskim kontakcie z narodowymi komitetami obchodów 60-lecia Rewolucji Październikowej. Komitety takie działają w przeszło 50 krajach. Ich działacze zwracają się do nas z prośbą o nadsyłanie materiałów, ilustrujących życie Kraju Rad, jego historię i osiągnięcia. Oczywiście — mimo ogromnego zapotrzebowania w tym zakresie — zamówienia takie staramy się realizować na bieżąco. Społeczeństwa krajów zachodnich, jak stwierdzono w czasie spotkania, żywo interesują się projektem nowej Konstytucji ZSRR.

Rzeczowa, konstruktywna dyskusja na zakończonym właśnie forum przedstawicieli towarzystw przyjaźni z ZSRR z ich kolegami radzieckimi była ważnym etapem we wzajemnym zbliżeniu narodów. Wymieniliśmy niezwykle cenne doświadczenia dla naszego wspólnego działania w służbie pokoju.

Nierozerwalna więź łączy współtwórców dzieła Rewolucji z tymi, którzy dziś uczestniczą w tworzeniu materialnej i kulturalnej bazy komunizmu. Ocalić dla potomności relacje świadków — uczestników rewolucji, budowniczych pierwszych pięciolatek, organizatorów pierwszych kołchozów, ukazać istotę przeobrażeń społecznych, które dokonały się w Kraju Rad — to jedno z naczelnych zadań stojących przed muzealnictwem historycznym i krajoznawczym w ZSRR.

Na ogólną liczbę 1.300 placówek muzealnych w ZSRR — 900 to muzea historyczne i krajoznawcze. Ich ekspozycje mówią o dziejach republik, krajów, obwodów i regionów, są świadectwem osiągnięć gospodarczych i kulturalnych okresu władzy radzieckiej. Co roku zbiory tych muzeów wzbogacają się o przeszło milion nowych eksponatów, z czego połowa — to materiały i dokumenty z 60-lecia. Mnogość i różnorodność wszelkiego rodzaju dokumentacji z tego właśnie historycznego okresu wymaga od pracowników naukowych placówek muzealnych szczególnego pietyzmu w ich opracowaniu, inwentaryzacji i przygotowaniu do eksponowania. Nie można tu stosować jakichkolwiek utartych szablonów. Praca ta wymaga naukowego i twórczego podejścia. Niemal każdy zakątek ZSRR bogaty jest w tradycje i ślady historycznych wydarzeń. Odszukanie tych śladów, przekazanie zachowanych pamiątek i dokumentów do zbiorów muzealnych — to zadanie bardzo ważne.

Celem dalszego podniesienia poziomu wystawiennictwa w zakresie historii społeczności radzieckiej, Ministerstwo Kultury ZSRR oraz Komitet Centralny Związku Zawodowego Pracowników Kultury przeprowadzają wszechzwiązkowy przegląd działalności oddziałów historii okresu radzieckiego muzeów historycznych i krajoznawczych. Przegląd zorganizowano z okazji 60 rocznicy Rewolucji Październikowej, a głównym jego celem jest ocena tych placówek pod względem naukowym i organizacyjnym. Dzięki przeglądowi w wielu placówkach muzealnych nastąpiły korzystne zmiany w zakresie kompletowania zbiorów, wystawiennictwa a także ich działalności naukowo-oświatowej i propagandowej. W wielu wypadkach znaczne ułatwienie w pracy muzeów przyniosła im przeprowadzka do nowych, doskonale wyposażonych budynków.

Rezultatem tak ożywionej działalności muzeów jest stały wzrost liczby zwiedzających. O ile w 1970 roku muzea radzieckie odwiedziło 100 milionów osób, to w roku ubiegłym liczba ta wzrosła do 130 milionów. Rok bieżący — jak wynika z dotychczasowych danych — przyniesie dalsze znaczne nasilenie frekwencji.

GWATEMALA

TIERRA CALIENTE CZYLI ZIEMIA GORĄCA

Obchodzony uroczyście każdego września dzień ogłoszenia niepodległości Gwatemali, w tym roku przemienił się w krwawą rozprawę policji i wojska z uczniami szkół, studentami, robotnikami i pracownikami urzędów państwowych, którzy odmówili wzięcia udziału w farsie „demonstracji wolności", jaką próbował zorganizować rząd. Ludzie pracy, którzy występują przeciwko dyktaturze miejscowej oligarchii żądają demokratyzacji życia, reform społecznych, zaprzestania masowego terroru i położenia kresu prześladowaniom i dyskryminacji patriotycznych sił narodu.

Ostatnimi czasy wystąpienia przeciwko dyktaturze noszą charakter strajków, w których biorą udział przedstawiciele różnych zawodów, w tej liczbie nauczyciele i pracownicy służby zdrowia. Dużą rolę polityczną odegrał strajk w fabryce amerykańskiej kompanii Coca-Cola, poparty przez studentów i świat pracy. Strajkujący robotnicy wywalczyli sobie prawo stworzenia w fabryce związku zawodowego.

W sferze polityki zagranicznej Gwatemala jest podporządkowana dyktatowi USA. Pewien poseł, przedstawiciel opozycji, sprecyzował to bardzo lapidarnie: „Obecnie jesteśmy poddawani ostracyzmowi ze strony krajów, z którymi utrzymujemy kontakty, ponieważ nasza oficjalna polityka jest polityką antykomunizmu i całkowitej wierności wszystkiemu, co tylko mieści się w pojęciach polityki Stanów Zjednoczonych".

Gwatemala nie prowadzi samodzielnej polityki zagranicznej. I nie przypadkiem dyktatorski reżim tego kraju zapewnił Centralnej Agencji Wywiadowczej USA bazy na swym terytorium, z których kubańscy dywersanci zaatakowali Kubę w 1961 roku w Zatoce Świń.

Najostrzejszym problemem Gwatemali, i tak było zawsze, jest użytkowanie ziemi. Tylko jeden procent ludności kraju dysponuje 80 procentami całej ziemi uprawnej, większość jest pozbawiona środków egzystencji, skazana na nędzę Ten maleńki, niespełna 6-milionowy kraj o powierzchni 109 tysięcy km kwadratowych, jest klasycznym przykładem nierównego podziału ziemi w większości krajów Ameryki Łacińskiej.

W ciągu dziesięciolecia, od 1944 do 1954, w Gwatemali przeprowadzano reformę rolną. Przy postępowych rządach Arevalo i Arbensa, około 100 tysięcy rodzin chłopskich otrzymało ziemię wywłaszczoną miejscowym plantatorom i zagranicznym kompaniom, która nie była uprawiana, żeby ograniczyć zapasy produktów żywnościowych i utrzymać ceny na wysokim poziomie. Ale ponieważ niemała część tej ziemi należała do amerykańskich kompanii, takich na przykład jak United Fruit, reforma zmarła śmiercią naturalną. W czerwcu 1954 roku, w wyniku przewrotu państwowego, zorganizowanego przez CIA i kierowanego przez Carlosa Armasoma, rząd Arbensa, który prowadził politykę korzystną dla kraju, został obalony. Władzę zagarnęła reakcyjna wojskowa klika, która rządzi do dziś.

Ucisk polityczny, panujący w Gwatemali, pisze reporter amerykańskiego tygodnika „New Republic", przeraża każdego, kto tylko przyjeżdża do tego kraju. Tutaj podobnie jak w sąsiedniej Nikaragui, zabija się i porywa niewinnych ludzi. 24 rodziny i kilka wielonarodowych kompanii podporządkowały sobie całą politykę i ekonomikę kraju, a ich interesy gorliwie ochrania armia.

Stołeczne miasto Gwatemala, w którym mieszka niemal piąta część 6-milionowej ludności kraju, nie jest pociągające. Wszędzie pełno po zęby uzbrojonych żołnierzy, strzegących banki i urzędy. Na chodnikach siedzą niewidomi, starcy i kaleki prosząc o jałmużnę. Malownicze okolice ostro kontrastują z miastem. Gwatemala, nazywana nieraz krajem wiecznej wiosny, jest jednym z najpiękniejszych zakątków naszej planety, który przyciąga wielu turystów, głównie ze Stanów Zjednoczonych. Także dla zagranicznych kompanii jest Gwatemala potężnym magnesem, tutaj bowiem, jak określił to rząd gwatemalski, „panuje idealna atmosfera dla obcych inwestycji". Tę „atmosferę" tworzą ogromne rezerwy nisko opłacanej siły roboczej, duże ulgi podatkowe i bardzo mało zakazów w sferze ochrony środowiska naturalnego. Jedyne odnalezione dotąd złoża ropy naftowej znajdują się w pobliżu granicy meksykańskiej. Na razie nie rozpoczęto ich eksploatacji na większą skalę, niemniej teksaska kompania „Shenandoa" rozpoczęła już tam energiczne prace wiertnicze. Wiosną 1977 roku, amerykańsko-kanadyjskie zjednoczenie przystąpiło do eksploatacji wielkiej kopalni niklu na wybrzeżu Morza Karaibskiego. Nie ulega wątpliwości, iż zagraniczne kompanie wycisną z niej o wiele większe zyski niż z wielu innych w pozostałych krajach Ameryki Łacińskiej.

Znaczną część jednoizbowego kongresu, liczącego 61 posłów, stanowią zamożni hodowcy bydła i przedsiębiorcy. Wielu z nich finansuje przeróżne zbrojne bandy, tzw. szwadrony śmierci, terroryzujące ludność. Owi parlamentarzyści pojawiają się w miejscach publicznych wyłącznie w towarzystwie swoich „goryli", obawiając się zamachu na swoje życie. Poczynając od 1954 roku, od chwili obalenia Arbensa, wybory w kraju odbywały się mniej więcej regularnie, ale u władzy zawsze pozostawali dyktatorzy.

Podczas wyborów w 1974 roku, rząd skrajnego reakcjonisty Carlosa Arany Osorio, stworzył koalicję sił prawicowych w celu poparcia kandydatury gen Langeruda Garcii. Chrześcijańscy demokraci i ich sojusznicy popierali innego generała: Riosa Monta, którego uważa się za przedstawiciela sił postępowych w wojsku. Kiedy podczas wyborów stało się oczywiste, iż zwycięża generał Mont, rząd Arany Osorio nieoczekiwanie zabronił przekazywania informacji o przebiegu wyborów oraz liczbie oddanych głosów. Radio i telewizję pozbawiono możliwości informowania społeczeństwa o głosowaniu, a po upływie 18 godzin podano krótką wiadomość o zwycięstwie gen. Langeruda Garcii!... Obliczenie głosów było ordynarnym oszustwem.

Znany przedstawiciel sił lewicowych w kraju, Manuel Arueta, który w latach 1970—1974 był merem stolicy kraju, powiedział korespondentowi zagranicznego pisma: „Represje i prześladowania zdławiły życie demokratyczne Żyjemy w warunkach nieustannej krwawej łaźni, samowoli oligarchii rządzącej krajem. Inteligencja ma przed sobą trzy drogi: emigrację,, milczenie lub prowadzenie walki, w której, być może, za głoszone ideały trzeba będzie oddać życie".

Arueta ma podstawę, żeby tak mówić. W marcu 1976 roku, pewnego popołudnia, kiedy powracając z pracy był już niedaleko swego domu, oddano do niego serię strzałów. Ciężko ranny w plecy i szyję uratował się od śmierci tylko dzięki temu, iż przejeżdżający właśnie autobus zasłonił go od kul.

Wojskowych niepokoją partyzanci. Po bezskutecznej walce z nimi, która tylko pogłębiła przepaść między władzami, a ludnością wiejską, rząd gen. Arany Osorio wprowadził w kraju w 1970 roku stan wyjątkowy. Wojsko otoczyło stolicę, mieszkańcom zabroniono opuszczania domów. Rozpoczęły się masowe rewizje. Liczba „zaginionych bez wieści", sięga 5.000 osób. Większość z nich to studenci, aktywiści związkowi i wiejscy. Rok temu pojawiła się w kraju Gwatemalska Armia Biedaków. Nie można ustalić, jak silna jest ta partyzancka organizacja, działa ona bowiem w warunkach ścisłej konspiracji, a jej przywódcy są nieznani. O bojowych operacjach partyzantów dowiaduje się ludność z ogłoszeń redagowanych i kolportowanych przez tę armię podziemną, w których wyjaśnia się szczegóły podejmowanych akcji zbrojnych.

Oprac.
JERZY CZECH

ROBOTY ZAMIAST SEKRETAREK

Pojawienie się biurowych maszyn obliczeniowych nowego pokolenia wzbudziło na Zachodzie panikę wśród urzędników aparatu administracyjnego. Wdrożenie takich mechanizmów do pracy w biurach mogłoby spowodować prawdziwą rewolucję w sekretariatach strzegących gabinetów bossów i szefów różnej rangii, bowiem jeden biurowy robot może z powodzeniem wykonywać funkcje całego sztabu dzisiejszych sekretarek. W USA, w ciągu ostatnich 20 lat, wydatki w sferze zarządzania wzrosły z 20 do 50 procent w stosunku do ogólnych wydatków, a liczba urzędników zwiększyła się o 48 procent w porównaniu z 15 procentami w przemyśle. Francja na przykład liczy dziś 11 milionów „białych kołnierzyków". Wszyscy oni pracują na starą modłę. Podczas gdy wydajność pracy w przemyśle w latach 1950—1970 wzrosła o 83 procent, w sferze zarządzania wzrost ten nie osiągnął nawet 4 procent.

Firmy produkujące urządzenia biurowe opracowały aparaturę pozwalającą na automatyzację pracy administracyjnej i zwiększenie jej opłacalności. Jednakże amatorów na tę aparaturę jest na razie niewielu. Powolny postęp w tej dziedzinie uzasadnia się przede wszystkim wysoką ceną aparatury, poza tym ludzie odnoszą się do nowej techniki z dużą rezerwą: taka nowość może naruszyć zrutynizowany układ stosunków. Wszak wprowadzenie nowej aparatury wymaga rewizji całej struktury organizacyjnej w biurze, przegrupowania służb. Szefa szokuje, że wypieszczona przezeń myśl, o której jest on bardzo wysokiego mniemania, będzie przechowywana w jakimś bloku pamięciowym, zupełnie niezauważalna w powodzi innych myśli i poglądów. Przy tym, z punktu widzenia opłacalności, maszyna do opracowywania tekstów powinna pracować bez przerwy i, co za tym idzie, odpada konieczność zatrudnienia sekretarki. Szef nie chciałby jednak jej utracić, ponieważ symbolizuje ona jego sukcesy i pozycję wśród pozostałych pracowników. Dlatego też broni się przed wprowadzaniem u siebie nowej techniki biurowej. Istnieje więc obawa, czy nie umrze, nim zdąży się jeszcze narodzić, idea opracowywania tekstów biurowych przy pomocy automatów. A jednak nadejdzie czas, kiedy funkcje osobistej sekretarki przejmie na siebie „ośrodek opracowywania informacji tekstowej", którego wydajność jest bardzo wysoka. Każde przedsiębiorstwo zachowa sobie tylko nieliczną kadrę sekretarek-asystentek. Dla nich opracowuje się już aparaturę posiadającą mini-pamięć i inne urządzenia ułatwiające pracę. Aparatura ta ukaże się prawdopodobnie już za parę lat.

Jeśli chodzi o same sekretarki, które niepokoją się o swój zawód, to uważają one za swój obowiązek oparcie pracy wyłącznie na kontaktach osobistych i adresują nową technikę do maszynistek, które z kolei nie widzą w niej nic poza kłopotami.

(C)

POMYŚLNY POCZĄTEK
GŁOS WSPÓŁPRZEWODNICZĄCYCH
PRZYJACIELSKA WIZYTA

Początek października przyniósł wiele wydarzeń na arenie międzynarodowej Zwróćmy uwagę na najważniejsze.

W BELGRADZIE rozpoczęło się zasadnicze spotkanie przedstawicieli ministrów Spraw Zagranicznych państw, uczestniczących w Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Spotkanie to — przypominamy — zwołane zostało na podstawie postanowień Aktu Końcowego. Belgradzka inauguracja nastąpiła **wśród apeli o powagę, realizm i konstruktywne rozmowy, co może być dla niej dobrym prognostykiem.** Oczywiście, będą na tym forum 35 państw na pewno potyczki i polemiki, ale początek wydaje się rokować pomyślny finał.

W dniu kiedy oddajemy komentarz do druku skończyło się w Belgradzie składanie oświadczeń inauguracyjnych.

W przemówieniu delegata radzieckiego — J. Woroncewa wyeksponowany został fakt, że do nowej konstytucji ZSRR wpisanych zostało wszystkich 10 zasad stosunków międzynarodowych z Aktu Końcowego KBWE. Najlepszy to dowód, że **państwo radzieckie trwale kierować się będzie tymi pryncypiami.**

Przedstawiciel Polski — M. Dobrosielski podkreślił, że jednym z podstawowych założeń naszej polityki zagranicznej jest wiązanie sprawy bezpieczeństwa kraju z bezpieczeństwem całej Europy i przeciwstawianie się jej podziałowi na wrogie ugrupowania. Decyzją najwyższych władz państwowych w PRL wszystkie instytucje zostały zobowiązane do respektowania i wcielania w życie postanowień Aktu Końcowego. Uważamy bowiem, że **zawiera on wszelkie konieczne elementy zapewnienia trwałego pokoju i współpracy.**

Z dotychczasowego przebiegu dyskusji wynika już na pewno jedno: **świadomość wpływu toku obrad na odprężenie.** Może stąd właśnie ów pogodny optymizm, który odnotowują niemal wszyscy obserwatorzy belgradzkiego spotkania.

Wydarzenie to poprzedzone zostało innym — również optymistycznym w swej wymowie. Mamy na myśli **WSPÓLNE OŚWIADCZENIE RADZIECKO-AMERYKAŃSKIE** na temat Bliskiego Wschodu. Obaj współprzewodniczący genewskiej konferencji stwierdzili, że:

— przekonani są o konieczności jak najszybszego doprowadzenia do trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie i globalnego rozwiązania konfliktu, na co składają się: wycofanie wojsk izraelskich z okupowanych terytoriów arabskich, zapewnienie praw narodowi palestyńskiemu i ustanowienie w tym rejonie normalnych, pokojowych stosunków.

— jedną właściwą i skuteczną drogą, prowadzącą do uregulowania problemu bliskowschodniego, są rokowania w ramach konferencji genewskiej z udziałem wszystkich stron konfliktu, w tym także narodu palestyńskiego. Konferencja ta powinna wznowić swe prace nie później niż w grudniu br.

— likwidacja zapalnej sytuacji na Bliskim Wschodzie wymaga dobrej woli i dlatego obaj współprzewodniczący apelują do stron konfliktu, aby uświadomiły sobie konieczność uwzględnienia praw i interesów wszystkich i wykazały gotowość działania.

Znamienne, że **świat arabski jednomyślnie zaakceptował treść oświadczenia,** doszukując się w nim próby wyjścia z impasu, **natomiast Tel Awiw stwierdził, że deklaracja ta „czyni przywrócenie pokoju rzeczą jeszcze trudniejszą".** Rząd izraelski znalazł w oświadczeniu „pewne wskazówki, świadczące, że dojdzie do próby narzucenia mu uregulowania konfliktu bliskowschodniego, czego nie możemy zaakceptować". Zastępujący chorego premiera minister Finansów — Erlich dodał przy tym, że Izrael nie weźmie udziału w konferencji genewskiej, jeśli znajdzie się tam odrębna delegacja palestyńska, a szef dyplomacji izraelskiej — Dajan oświadczył, że możliwości negocjacji z Waszyngtonem zostały tym samym wyczerpane.

Tak więc raz jeszcze — i to w ostrej formie — **Izrael powiedział „nie".**

A teraz przenieśmy się **na WĘGRY,** gdzie **przez dwa dni gościli Edward Gierek i Piotr Jaroszewicz.** Z komunikatu o wizycie wiemy, że obie strony informowały się wzajemnie o realizacji uchwał ostatnich zjazdów partii, omawiały stan i perspektywę współpracy oraz niektóre aspekty obecnej sytuacji międzynarodowej, a także rozwoju ruchu komunistycznego i robotniczego.

„Polscy i węgierscy przywódcy... — czytamy m. in. w tym dokumencie — popierają wszelkie działania służące konstruktywnemu przebiegowi i owocnym wynikom spotkania w Belgradzie sygnatariuszy helsińskiego Aktu Końcowego".

Dużo uwagi poświęcono najważniejszemu problemowi naszych czasów — problemowi rozbrojenia, podkreślając konieczność realizacji wszechstronnych inicjatyw w tym kierunku.

W. SŁAWSKI

WASILIJ WIELIKANOW

BOCIAN

Foto: Archiwum

Zdarzyło mi się kiedyś przebywać na Białorusi we wsi Janowo w powiecie gorzelskim. Poznałem tam dyrektora szkoły, Iwana Sidorowicza Draczewa. Był to mężczyzna o pogodnym usposobieniu, a zarazem energiczny. W jego bujnej, rudej czuprynie połyskiwały pasemka siwych włosów. Na swoje lata wyglądał młodo (miał już około sześćdziesiątki), a z twarzy nie można było wyczytać, co przeżył w czasie wojny.

Jego szlak bojowy był niezwykle ciężki i bardzo niebezpieczny...

Przed wojną, Draczew ukończył uczelnię ze specjalnością strzelca broni maszynowej i w 1941 roku, dowodząc plutonem, został ranny. Aby wydostać się z okrążenia przebił się do rodzinnych stron w powiecie żłobińskim i tam, w Puszczy Antonowskiej, wstąpił do oddziału partyzantów im. marynarza Żelezniaka.

Przebywający w tym oddziale z ramienia Centrali, kapitan Demski („Orlątko"), zorganizował sześcioosobową grupę wywiadowczą, w skład której wszedł również Draczew ze swoją żoną, Janiną Baranowską.

Nierzadko z narażeniem życia partyzanccy wywiadowcy, mając ze sobą fałszywe niemieckie dokumenty — przenikali do miejsc działalności wroga, a więc m. in. na dworce kolejowe i do terenowych posterunków policji. Meldunki wywiadowców przekazywane radiostacją do Centrali, były wykorzystywane przez partyzantów do uderzenia w najsłabsze punkty wroga.

Ta trudna i niebezpieczna praca wywiadowcza okazała się świetną szkołą dla Iwana Draczewa. Dlatego też, w końcu czerwca 1944 roku, kiedy rozpoczęła się decydująca bitwa o Białoruś, został przerzucony samolotem, wraz z niewielką grupą na teren Polski.

Do rozpoczęcia decydującej ofensywy, Sztab Główny musiał posiadać wiadomości o rezerwach przeciwnika na dalekich tyłach, o komunikacji i nastrojach wśród ludności.

Już w Polsce do szóstki Draczewa dołączyło sześciu miejscowych patriotów.

— Przeżyliśmy w Polsce bardzo wiele niebezpiecznych chwil — opowiadał Draczew — ale szczególnie jedno wydarzenie utkwiło mi w pamięci, a było ono związane z koniem... Otóż, zostaliśmy przerzuceni jako piechota, ale, żeby zebrać jak najwięcej informacji o wrogu, konieczne było bardzo szybkie przenoszenie się z miejsca na miejsce. A jakaż to mogła być operatywność gdybyśmy zdani byli tylko na własne nogi! Musieliśmy więc zdobyć konie.

W każdej wsi gdzieśmy się pojawili, słyszeliśmy niezmiennie, że jest wielka bieda i że wszystkie lepsze konie zabrali Niemcy. Wreszcie znaleźliśmy wierzchowce w jednym z folwarków. Biorąc je, przysięgaliśmy właścicielom, że gdy tylko nasze wojska wkroczą do Polski, konie będą zwrócone właścicielom.

Czy wierzyli w to, czy też nie, nie wiem, ale konie dali. Wprawdzie nie takie szybkie, ale zawsze na czterech nogach. Ja wybrałem sobie pięknego kłusaka, czarnej maści, którego zwali Bocian. A dlaczego go tak nazwali, naprawdę nie wiem. Wiadomo przecież, że bocian jest ptakiem spokojnym i cichym, a źrebak mój był ognisty i rozhukany. Czort, a nie koń! A spodobał mi się, bo był wysoki, silny i wprost nieprawdopodobnie bystry. Na takim koniu można było ścigać każdego wroga, a nawet prześcignąć samochód. Tak, tak, wcale nie przesadzam. Tylko miał on jedną wadę.

... Zobaczywszy gdziekolwiek kobyły zaczynał gryźć wędzidło, wściekle się rwać i przy tym tak donośnie rżeć, że słychać go było wszędzie w okolicy. Ten diabeł, przecież, nas demaskował!

Kobył w naszej konnej grupie nie było, same wałachy, a Bocian widocznie tęsknił...

Był w naszej grupie radiotelegrafista, Wasia Kazanok, moja prawa ręka. Chłopak cichy, małomówny, zdyscyplinowany, ale i on miał jedną wadę, zgubną dla wywiadowcy. Często po wsiach romansował z młodymi dziewczynami. Kiedy mu to wypomniałem, niezmiennie odpowiadał: „Uczę się praktycznie języka polskiego". No i co z takim robić! I właśnie ta jego męska skłonność doprowadziła do tego, że straciłem swego wspaniałego konia...

Bociana oswoiłem bardzo szybko, dawałem mu skórki od chleba, a od czasu do czasu cukier. Bywało i tak, że schrupał kawałek i tarł łbem o moje ramię, jakby mówił, daj jeszcze.

Włóczyliśmy się po Polsce dużo, zbierając wiadomości o niemieckich wojskach. Niemcy w końcu wywąchali naszą grupę i w gazetach wydrukowali, że do Polski został zrzucony duży oddział radzieckich spadochroniarzy, i jeżeli ktokolwiek będzie ukrywał dywersantów, zostanie rozstrzelany lub powieszony. Ale chłopi i tak nas ukrywali i uprzedzali o grożącym niebezpieczeństwie.

Niemcy próbowali nas wyśledzić i zniszczyć, ale za każdym razem wymykaliśmy im cali i zdrowi.

Jeździli samochodami po wygodnych drogach, a my przemykaliśmy wiejskimi ścieżkami, ugorami, a bywało i tak, że łąkami i polami. A pola tam były, niczym olbrzymie płachty pocięte na skrawki. Ukrywaliśmy się w gęstych zagajnikach i sosnowych puszczach, których jest sporo na polskiej ziemi. W walkę nie wdawaliśmy się. Taki był rozkaz. Nasze informacje dla Centrali były znacznie ważniejsze od naszych, prawie nic nie znaczących dla wroga, ukąszeń. A w dodatku nie mogliśmy ryzykować wpadką. Jednakże, mimo wszelkich ostrożności, wpadliśmy w zasadzkę dostając się pod ogień cekaemów. Wydałem rozkaz, aby wszyscy natychmiast rozproszyli się, ale Wasia Kazanok trzymał się mnie. Niemcy odgadli we mnie dowódcę, chyba po wspaniałym koniu, i cały ogień skierowali na mnie. Słyszałem tylko świt kul nad głową i pomyślałem, że zabiją mnie i Wasię. Krzyknąłem więc: „Skacz w bok!" Wtedy on skręcił w prawo i skrył się w lesie, a ja pojechałem prosto w zagajnik...

Tego dnia musiał padać silny deszcz i na gliniastym gruncie było bardzo ślisko. Nagle, na skraju zagajnika, koń mój potknął się i upadł, a ja wyleciałem z siodła. Pomyślałem, że chyba trafili w konia, ale Bocian podniósł się i gdzieś pocwałował. Musiała go przestraszyć strzelanina. Po chwili podniosłem się i zgięty w pół wszedłem w zagajnik. Strzelanina nagle ucichła, widocznie Niemcy byli przekonani, że mnie zabili. Szedłem dalej, przedzierając się przez gęsty zagajnik, w kierunku rzeki. Gałązki biły mnie po twarzy i zaczepiały o ubranie, rozgorączkowany sytuacją nie czułem tego. Wreszcie dotarłem do rzeczki, której brzegi były porośnięte gęstymi szuwarami. Przywarłem do wody. Gasiłem pragnienie. Napiwszy się do syta, trochę odetchnąłem i pobiegłem dalej po wodzie wzdłuż piaszczystego brzegu. Zrobiłem tak, gdyż wiedziałem, że Niemcy mogą ścigać mnie psami, a w wodzie one zgubią ślad. Przeszedłem tak ze dwa kilometry i zagłębiłem się potem w duży sosnowy las. Parę chwil czujnie wsłuchiwałem się czy nie ma pościgu, a potem zwaliłem się pod krzakiem. Byłem wykończony. Myślałem o chłopcach, czy udało im się uciec, czy wszyscy zjawią się w umówionym miejscu, na folwarku. Zacząłem się też zastanawiać, jak ja tam dotrę bez konia; jeśli chłopcy zaczną mnie szukać, mogą wpaść w zasadzkę. Eh, pomyślałem, gdzież jest mój Bocian... Może dognała go kula, a może złapali go Niemcy... Tak rozmyślając położyłem się na plecach.

Sosny wydały mi się nadzwyczaj wysokie, a niebo błękitne. Potem usłyszałem dzięcioła, który stukał w korę, jak telegrafista nadający alfabetem Morse'a. Nie wiem, jak długo tak leżałem, może się trochę zdrzemnąłem, gdy nagle poczułem, że coś mnie trąciło w bok. Przebudziłem się, chwyciłem za pistolet... Patrzę, a przede mną stoi mój Bocian i ruszając chrapami, trze łbem o moje ramię, jakby prosił o cukier, albo też ostrzegał, że nawet odpoczywać tutaj niebezpiecznie. Nie uwierzycie mi chyba, jak się ucieszyłem! Jak gdyby przede mną był nie koń, a człowiek — przyjaciel. Objąłem jego głowę i zacząłem całować aksamitne chrapy: „Bocian, Bocian, przyjacielu mój... Jak dobrze, że się znalazłeś. Jak dobrze, że cię widzę. Dziękuję!" Pomyślałem sobie, że jeśli nawet do tej pory nie nauczył się rozumieć po rosyjsku, to na pewno zrozumie mnie, gdy powiem mu wszystko po polsku. Nagle zobaczyłem zaschniętą krew na jego szyi. We mnie nie trafili, ale jego dziobnęła kula. I tak się wzruszyłem, że łzy stanęły mi w oczach. Wsiadłem na konia i pojechałem na miejsce spotkania. Niedaleko od folwarku, na skraju lasu dokładnie zbadałem teren, czy przypadkiem nie ma zasadzki. Na rozwidleniu dróg, tuż przy drewnianym krzyżu z rozpiętym Chrystusem, zauważyłem swojego zwiadowcę, Kazimierza Łowieckiego. I on zobaczył mnie. Machnął ręką, co oznaczało: droga bezpieczna. Podjechałem do wsi poprzez groblę na stawie. Przede mną, na niewielkim wzgórzu, wśród wysokich lip, stał piętrowy dworek z oszklonymi tarasami. Po stawie pływały łabędzie, czarny i biały. Widok ten wydał mi się niezwykły. Dookoła wojna, krew i śmierć, a tutaj spokojnie pływa sobie para łabędzi. Jak to się stało, że Niemcy się do nich nie dobrali?

A mój Bocian, kiedy tylko podjechałem do wsi, zobaczył na podwórzu swoich przyjaciół i cicho zarżał, jak gdyby oznajmiał swe przybycie.

Koni było dziewięć. Gdzież są jeszcze dwa? — pomyślałem. Wasia Kazanok, widząc mój niepokój, zameldował, że radiostacja jest sprawna, ale straciliśmy dwóch żołnierzy razem z końmi. — „A już chcieliśmy was szukać towarzyszu komendancie" — dodał. „Straciłem ludzi" — pomyślałem z goryczą, chociaż wiedziałem, że nie ma wojny bez ofiar.

Na ganek wyszedł rządca. Był to starszy solidnie wyglądający mężczyzna, ze zwisającymi jak grube sople siwymi wąsami. Przywitał nas niezwykle serdecznie i zaprosił na obiad. Przyznam szczerze, że mnie to zaskoczyło i pomyślałem, że ten człowiek czuje skąd wieje wiatr. W tym czasie nasze wojska, rozgromiwszy okupantów na Białorusi, sforsowały zachodni brzeg Bugu i wkroczyły na polską ziemię.

W trakcie naszej rozmowy zauważyłem, że rządca ze szczególnym zainteresowaniem patrzył na mojego konia, ale wówczas jeszcze nie przywiązywałem do tego żadnego znaczenia.

Pokój gościnny, do którego weszliśmy, był przestronny, wyposażony w wyściełane meble, a podłogi lśniły zadbanym parkietem. Pośrodku stał duży, przykryty białym obrusem, stół. Na ścianach wisiały obrazy, portrety, a między nimi, starym zwyczajem, wisiał obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem na ręku. Czuliśmy się skrępowani na widok salonu, ale rządca zachęcał nas: „Proszę bardzo, proszę siadać".

Dla nas, wygłodniałych i zmęczonych, stół wydał się wyjątkowo suto zastawiony. Było tam duszone mięso z dzika, ziemniaki, ogórki kiszone i kapusta z żurawiną. Okazało się, że rządca był zapalonym myśliwym i przed naszym przyjazdem zabił dzika. Na stole pojawiła się również złocista starka.

Przy stole usługiwały nam: ekonomka Jadwiga, postawna i smukła kobieta około czterdziestki, ubrana w czarną suknię i młodziutka, żywa jak rybka, pełna powabu, służąca Zosia, w krótkiej sukience i białym fartuszku. Jadwiga miała powolne ruchy i trzymała się tak wyniośle, jak gdyby była tutaj gospodynią, a nie sługą. Zauważyłem, że rządca rozmawiał z nią uprzejmie i z szacunkiem, a do Zosi odnosił się lekceważąco.

Jadwiga napełniła nasze kielichy starką, zdążyłem tylko uprzedzić chłopców, aby nie pili zbyt gorliwie. Pomyślałem o tym, że kiedy przyjdzie nam jeszcze raz zasiąść przy tak zastawionym stole, to...

Pierwszy toast wzniósł rządca za polskie wojsko, a ja podchwyciłem: „Za naszą przyjaźń, zrodzoną w ogniu walki i za zwycięstwo!" Potem, kiedy wypiliśmy i już porządnie pojedliśmy, rządca zapytał mnie, czy nie sprzedałbym swojego konia. „Nie — odpowiedziałem — mój koń nie jest na sprzedaż". A on znowu swoje: „Źle u nas z końmi, najlepsze zabrali Niemcy. Prawda, że zostały nam jeszcze młode kobyły, ale rasowego źrebaka nie mamy..." I zaproponował wymianę Bociana na kobyłę czystej krwi arabskiej. „Nie mogę — rzekłem — muszę go oddać właścicielowi. Dałem oficerskie słowo honoru". Po jakimś czasie zauważyłem, że rządca wezwał do siebie Zosię, coś szepnął jej do ucha, a ona kiwnęła głową i wyskoczyła z salonu. Spostrzegłszy, że jestem ponury, powiedział: „Poleciłem, aby wasze konie nakarmić owsem, bo na sianie daleko nie zajedziecie..."

„Cóż — pomyślałem — dobrze" i zapytałem, gdzie przebywa właściciel majątku. On zaś odpowiedział wymijająco, że właściciel jest chory i niby gdzieś się leczy... I oto w samym środku obiadu, kiedy byliśmy już ociężali po tłustym jedzeniu, usłyszałem donośne rżenie mojego Bociana i zaraz po tym tętent końskich kopyt. „Co się tam stało"! — pomyślałem. Wyskoczyłem na dwór, patrzę, a mojego konia nie ma. Wasi również nie zobaczyłem. Krzyknąłem: „Kazanok". Wówczas zza stodoły wynurzył się Wasia. Minę miał niepewną i skruszoną. „Gdzieś ty był? — zapytałem. — Gdzie jest Bocian?" A on, zmieszany, wymamrotał: „Poszedłem po owies... a Bocian był tutaj...

Wybiegłem z podwórza i koło stawu, na łące, zobaczyłem dwa pasące się konie: na przedzie smukła, złotogrzywa klacz, a za nią pełnym galopem mknął mój Bocian, grzywy trzepotały im jak flagi na wietrze. Długi, czarny ogon mojego konia wyprostowany, gwałtownie falował. Mimo woli zachwyciłem się: mój Bocian pruje jak ptak...

Nagle usłyszałem za sobą głos starego koniucha: „Czy dogoni?", a drugi, młody głos Wasi Kazanoka, przekonywał staruszka, że Bocian na pewno dogoni „arabkę".

W końcu opamiętałem się i rozgorączkowany krzyknąłem: „Dogonić! Natychmiast dogonić!" Ale moje wezwanie pozostało pustym dźwiękiem. Na czym dogonić? Na naszych wymęczonych koniach? Szukaj wiatru w polu...

Rządca wyszedł na podwórze i zaczął mnie uspokajać. „Niech się pan nie denerwuje, wszystko da się naprawić". „Co ja zrobię teraz bez konia!" — krzyknąłem. W tym momencie pojawił się niemiecki samolot zwiadowczy i zaczął krążyć nad majątkiem. „Czyżby nas już wypatrzył?" — pomyślałem. — „Trzeba uciekać..."

Widząc mój niepokój, rządca powiedział: „Mogę panu pomóc. Dam panu konia z siodłem" Cóż miałem zrobić. Zgodziłem się i otrzymałem w zamian za mojego niezrównanego Bociana, ociężałego i flegmatycznego wałacha z taboru. Rzuciłem się ku radiotelegrafiście: „Powinienem ciebie oddać pod sąd, ale nie mam kiedy. I nie mogę ciebie zamienić na innego. Ale, jeżeli jeszcze raz będziesz się uczyć języka polskiego z dziewczynami, to nie oczekuj ode mnie litości!" A on mi na to: „Jestem winny i... będę winny!"

I na tym swoje opowiadanie Iwan Draczew zakończył, potem, już z jego słów dowiedziałem się, że w czasie potyczki z Niemcami był ciężko rany w pierś; ukryli go i uratowali polscy chłopi.

Za bojowe zasługi Iwan Draczew był odznaczony przez władze radzieckie dwoma orderami: Czerwonej Gwiazdy i Orderem Wojny Ojczyźnianej I stopnia, a przez rząd polski Krzyżem Grunwaldu i Medalem Za Zwycięstwo.

Przełożyła:
BARBARA JACHOWICZ

LITERATURA RADZIECKA

ALEKSANDER CHROMOW

BIAŁY KOGUT

Biały kogut
Czarny kogut
ale zawsze kogut
Ogon z piór
Skrzydła dwa
Dumny głos
aż do gwiazd
U koguta wciąż zasiada
harem.
Licznych kur gromada.
Nałożnice-niewolnice
zasiadają w rzędzie
na koguta grzędzie
No a z wiosną
jajka niosą.
Ani z pereł, ni ze złota
— takie, które jeść ochota
Kury tylko są kurami
tak jak ludzie
z przywarami:
Od koguta zniosą jaja
chociaż wcale go nie znają
Biały kogut
Czarny kogut
ale zawsze kogut
Niewolnica kura
w barwnych piórach kura
tylko zwykła kura
czy to czarna czy to biała
w tym Natury mądrość cała.

Przekład: Jerzy Wilmański

LARYSA SZCZASNAJA

OBYCZAJ

Chłop na wieki opuszcza chatę swą,
Posypują mu drogę pszenicą,
Żeby kury go nie zapomniały,
Żeby ziarno, jak łzy, przełykały.
A jeśli zmoże
Proch
Wyjdzie dusza
Na wskroś,
I gołębicą się stanie.
I na progu chaty
Będzie witanie
Po złocistym strumyku
Idącej

Przekład: Mieczysław Michał Szargan

WŁADIMIR ŻUKOW

OBCASY

W tamtym sierpniu to było zamglonym.
Szurgot obcasów był, jak sennej wrony skrzek,
kiedy młodość swej urody nieświadoma
w życie weszła i w mój weszła wiersz.
Może by sierpień dał mi ją na moment,
Może i o niej zapomniałbym wkrótce,
tylko burza się zerwała nade mną,
tylko burza przewaliła się przez bunkier.
Przewaliła się żelazną zamiecią
tamta burza aż przez wiorsty dwie.
(Jakże śmieszny i niepotrzebny
stał się wierny dotąd druh mój SWeT)*
zasypała towarzyszy zamieć.
Wśród zamieci skamieniałem z żalu
w tym dalekim, dalekim sierpniu,
gdy obcasy groźnie szurgotały.
Nie spaliła mnie zamieć,
nie zawiała.
Ocalałem wcale nie zdziwiony,
że już koniec mojej drogi poplątanej,
że już koniec tamtej wielkiej wojny.
Znowu sierpień, chociaż tak odległy
od zamieci tamtej, tamtych głodów;
szurgotając obcasami, biegnę
nad kamienne brzegi wielkiej wody.
Znowu młody
i płynę wśród mgieł,
lecz choć Tatry nad skronią mi świecą,
do młodości mojej towarzyszy
już nie wrócić,
nie dopłynąć,
nie dojść.

Przełożyła: Dorota Chróścielewska

*) SWT — skrót od: Samozariadnaja Wintowka Tokuriewa (pistolet automatyczny Tokuriewa).

WŁADIMIR DOGADAJEW

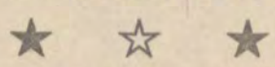

Próg domu porasta szronem
gdy niosę
na rękawie smutnym
twoją łzę
do morza.
Idę w nocach
w śniegi trzaskające
wszystkie smutki niosę
w łzie zamarzłej.
Nie zachodzi
nad moją drogą
światło twoje —
gałązka głogu.

Przełożył: Wasyl Kocznow

GIENNADIJ SERIEBRIAKOW

IKONA

Była przyćmiona czasu sadzą,
Klękały przed nią wieczory.
Matka z twarzą podobną do odbicia w studni
Maleństwo przytulała rozpaczliwą ręką.
A jednak na strych ją przepędzono.
Znalazła tam świątynię,
W której stał mój zupełnie przyziemny przyjaciel —
Stary, zapomniany rower,
Rdzawo skrzypiący o podróżach.
Kiedyś sen ikony niechcąco przerwałem.
Podniosłem ją, przetarłem dłonią —
I wtedy zajrzały mi prosto w serce
Oczy przepełnione troską i trwogą.
Poznałem w tym skrawku przeszłości
Wszystkie smutki nasze doczesne.
Dała je bogom ludzka ręka.

Przełożył: Wasyl Kocznow

WŁADIMIR ŻUKOW

DROGOWSKAZ

Stacyjka niby ta. I miejsce
Też bez wątpienia:
Wieś Krynica.
Tu tu — nie mylę się — przy lesie
Punkt dowodzenia.
Dziś ni śladu.
Ogniowe stanowiska zarosły olszyną,
Mimo to ciągle grożą czarne ambrazury.
A tam,
Gdzie ziały ogniem hitlerowskie bunkry,
Rośnie pszenica złocistą gęstwiną.
Swojej ziemlanki nie mogłem odnaleźć:
Mur zboża — prosto nie dasz rady kosą.
Aż tu się zjawia, jak mówią, „kawaler".
— Co, ładnie wzeszło? Przyglądasz się kłosom?
— Piękna pszeniczka — mówię — bez wątpienia.
Cóż za soczystość i miodowy zapach!...
Ale nie mogę odchylić spojrzenia
Od rdzawej strzałki z napisem: „Na Zapad!"
Czołgi nie wygniotły jej, a słup i potem
Chłopu polskiemu nie przeszkadzał. Został
I aż po ramię w odmęcie tkwi złotym
Osamotniony wojenny drogowskaz.
Tak proste i tak dawne niesłychanie!
— W czwartek zaczniemy kosić od tej strony...
Młodemu w myśli nawet nie postanie,
Że ten rozmówca... był tutaj raniony.

Przełożył: Tadeusz Chróścielewski

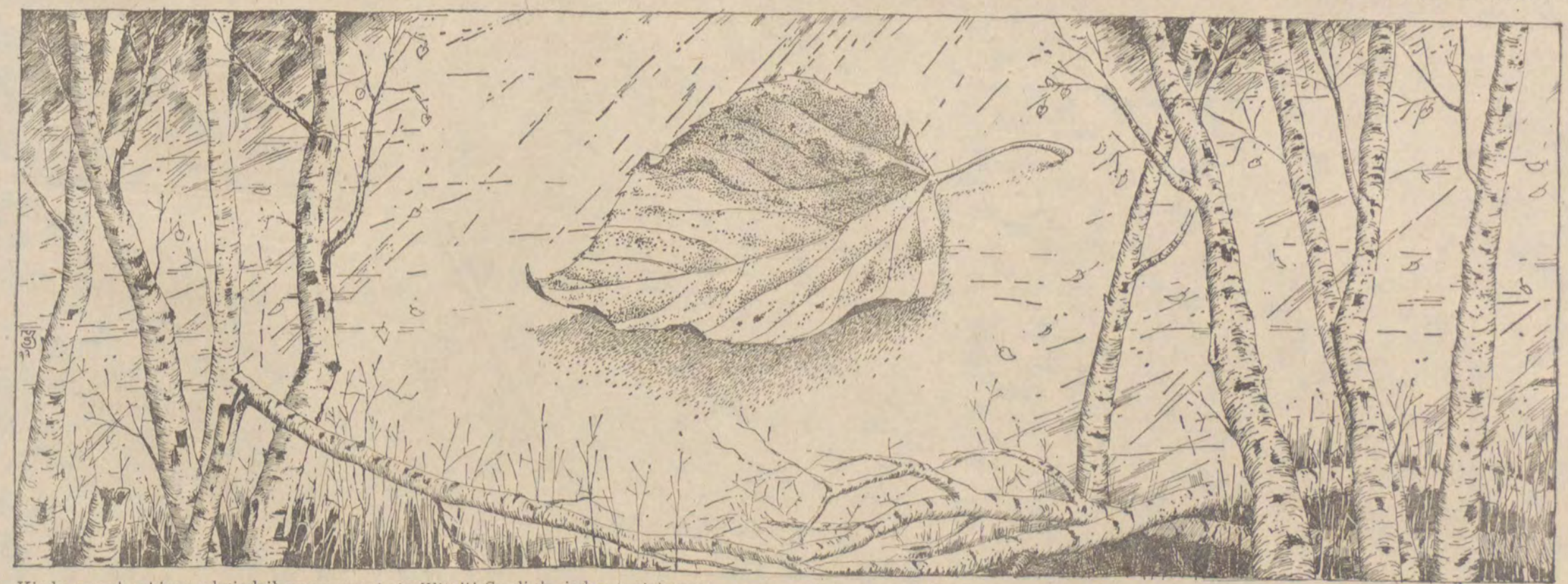

Kiedy przed rokiem odwiedził naszą redakcję Witalij Serdiuk, jeden z ciekawiej zapowiadających się prozaików młodego pokolenia w Związku Radzieckim, ani przypuszczaliśmy, że nasza współpraca ze środowiskiem pisarskim w Iwanowie będzie się rozwijać tak intensywnie i przekształci się w regularną wymianę kolum pomiędzy „Odgłosami" i iwanowskim dziennikiem partyjnym „Raboczij Kraj". Tymczasem już pierwsza nasza prezentacja twórczości radzieckich kolegów została dostrzeżona i z sympatią przyjęta w Iwanowie. „Raboczij Kraj" pisał z tej okazji piórem W. Pawłowskiego: „Wychodzący w Łodzi tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" opublikował w jednym z ostatnich numerów duży wybór utworów iwanowskich pisarzy... Otwiera ten wybór artykuł krytyka i literaturoznawcy, profesora Państwowego Uniwersytetu w Iwanowie P. W. Kuprijanowskiego „Zwracając wzrok ku źródłom", który opowiada o tworzeniu się środowiska literackiego w Iwanowie w pierwszych latach władzy radzieckiej. Autor przytacza znaną notatkę W. Lenina do bibliotekarza Kremla z prośbą o zszywkę „Rabocziego Kraja" wokół którego zgrupowali się „prawdziwie proletariaccy poeci" P. W. Kuprijanowski drobiazgowo analizuje twórczość znanego pisarza Dimitrija Furmanowa, wybitnego krytyka Aleksandra Woronskiego, poetów: Iwana Żiżina, Michaiła Artamonowa, Dmitrija Siemienowskiego, Awierija Nozdrina i innych.

Ze swoimi wierszami występują w „Odgłosach" Larysa Szczasnaja, Mikołaj Goworkow, Mikołaj Graczew, Anatolij Iliczew, Aleksander Chromow. Tu także opublikowane zostało opowiadanie Witalija Serdiuka „Stara zabawka na choinkę". Utwory pisarzy iwanowskich przełożyli na język polski czołowi literaci Łodzi.

Tyle artykuł W. Pawłowskiego. A w ślad za nim pisarze łódzcy doczekali się rewanżu swoich radzieckich kolegów. W dwóch numerach „Rabocziego Kraja" ukazał się szeroki wybór twórczości poetów i prozaików Łodzi. Pod hasłem „Pisarze zaprzyjaźnionego miasta w gościnie u „Rabocziego Kraja" dziennik radziecki opublikował wiersze: **Tadeusza Gicgiera, Jana Huszczy, Mariana Piechala, Józefa Henryka Wiśniewskiego, Igora Sikiryckiego, Jerzego Wawrzaka, Konrada Frejdlicha, a także Bogusława Sikorskiego i Władysława Strzeleckiego.** Na tej samej kolumnie znalazło się także opowiadanie Antoniego Kasprowicza „Jeszcze Polska" oraz reportaże **Zofii Szprokoff i Krystyny Majdy.** Autorami większości tych przekładów są zasłużeni popularyzatorzy polskiej poezji w Związku Radzieckim: **Siergiej Maszkow, Aleksander Nikołajew** oraz nasz kolega **Wasyl Kocznow.**

Obecnie publikujemy nowy wybór twórczości naszych iwanowskich kolegów, którzy ze swej strony zapowiadają podobną „polską" kolumnę w Iwanowie. Ta systematyczna wymiana wzajemnych dokonań literackich służy na pewno wielkiej sprawie zbliżenia między naszymi narodami i umocnieniu przyjaźni, której kamieniem milowym była Wielka Rewolucja Październikowa.

Iwanowskich pisarzy będziemy jeszcze nie raz gościć na łamach „Odgłosów".

K. F.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

JERZY WAWRZAK

WEJŚCIE PRZEZ SEKRETARIAT

Pisnęły hamulce, zatrzymała się warszawa. W pierwszym momencie nie poznałem twarzy kierowcy przekrzywionej do tyłu, ale zrozumiałem gest zaproszenia. Wgramoliłem się do środka, przywitaliśmy się. Z dyrektorem Zamechu Saniewiczem nie znaliśmy się prawie wcale. To zrozumiałe, ja niziutko w powiatowej hierarchii, on kierownik największego w powiecie zakładu. Co mnie jednak od początku zdziwiło, Saniewicz był jakby zaprzeczeniem Wrzosa. Stary rządził krzykiem, on szeptem, jeśli by użyć tak dowolnego porównania, ale tak samo pewnie. Raz u niego byłem z jakąś sprawą i przekonałem się o tym po kilku drobnych dyspozycjach, jakie musiał wydać w mojej obecności. Przy tej okazji ucieliśmy sobie dłuższą pogawędkę, nie pozwolił mi się od razu odmeldować, wypytywał mnie dokładnie o moje sprawy, poczęstował kawą. Autobus Elizy miał zajechać za trzy kwadranse i była okazja zrewanżować się za tamtą kawę i spełnioną prośbę. Zgodził się bez ceregeli. Był na pewno o kilka lat starszy ode mnie, ale wyglądał bardzo młodo. Niemal jak mój rówieśnik. Opalony, tryskająca zdrowiem twarz, mocne, białe zęby i gęste jasne włosy. Okaz zdrowia i pogodnego usposobienia, gdyby nie głęboki cień zmęczenia w oczach. Miły facet, w każdym calu. Może tylko nieco raziła mnie, człowieka z dużego miasta, jego trochę prowincjonalna elegancja i dbałość o szczegóły ubioru.

Teraz ja byłem gospodarzem i zacząłem wypytywać.

— Był pan u Wrześniewskiego? Pan podobno nasz stały klient — dyrektorze.

W odpowiedzi westchnął tylko i mogło to wystarczyć za całe wyjaśnienia, ale nie popędzany wyjaśnił: Mam adaptację hali do zrobienia. Odleżała się dokumentacja i niektóre ceny są już nieaktualne. Budować według niej można, ale on chce mieć człowieka w garści, ewentualnie zrobić łaskę. Ale — roześmiał się nagle — ja sroce spod ogona nie tego, i odpisałem mu, że znalazłem innego wykonawcę. Więc mnie dzisiaj zaprosił na kawę, bardzo grzecznie sobie pogwarzyliśmy o pogodzie i podpisaliśmy umowę, na naszych warunkach... prawie naszych — poprawił się.

Zjawiła się dziewczyna. Saniewicz uprzedził mnie. „Ja zapraszam" i zamówił do kawy dwa duże koniaki. Próbowałem protestować, ale dziewczyna zaraz odeszła. A samochód — wskazałem warszawę, która stała tuż za szklaną ścianą. Roześmiał się z jakąś mi jeszcze nie znaną nutą wyższości, jakbym był ciemnym profanem kamienieckich stosunków.

— W swoim powiecie, wie pan, inżynierze. Nie przesadzajmy, jeden kieliszek... No, a jak panu leci? to już prawie dwa miesiące, jeśli dobrze pamiętam.

— Trzy z kawałkiem, ale zleciało jak kilka dni.. No, cóż, nie narzekam. Ale ja się właściwie więcej jeszcze uczę niż rządzę Mam solidnego zastępcę, ludzie też znają się na robocie. Można wytrzymać.

— Bo gdyby coś, odpukać, to wal pan do mnie. Mam zakład rozwojowy i ludzi mi potrzeba — pomilczał chwilę, jakby to co miał powiedzieć było mu przykre, ale niezbędne dla jasności naszych przyszłych stosunków — to jeszcze nie jest to co Kamieńcowi potrzebne, ale przyjdzie czas, że zrobimy wielki skok. Wtedy ja będę dyktował warunki i wybierał w ludziach. Póki jednak co, pracuję z takimi, jacy są. A dobrych inżynierów na lekarstwo, nie podbieramy sobie nazwajem ludzi, niech pan tak nie sądzi, ale czasem są takie układy...

Zaczął mi opowiadać o planach rozwoju swojego zakładu, nie wiem, czy już wszystkich zdążył zanudzić tą opowieścią, a teraz złapał świeżego słuchacza, który we wszystko uwierzy. Nie wydał mi się jednak maniakalnym fantastą, wizjonerem na skalę osady, ale całkiem logicznie myślącym człowiekiem zakorzenionym tu głęboko, ale właśnie wyobraźnią wzlatującym ponad kamieniecką rzeczywistość. Jeszcze mnie wtedy nie porwał, wówczas było we mnie za dużo sceptycyzmu, ale trochę mnie wzięło przypominało podobne historie znane z innych relacji. Pół godziny zleciało piorunem i musiałem się żegnać. O dziwo, po raz pierwszy rozstawałem się tu z kimś z pewnym żalem.

* * *

Byliśmy punktualnie. Markun zauważył nas z balkonu, gdzie stał z rozpiętą pod szyją białą koszulą i pozdrawiał nas z daleka. Otworzył drzwi już w kolorowym krawacie i jasnej marynarce z surowego płótna. W na pół sportowym stroju wyglądał o wiele młodziej i sympatyczniej, nie dostrzegłem śladu sztucznej powagi, którą zasłaniał się tam... Do przedpokoju weszła także żona. Drobna czarnulka o ładnej nieco trójkątnej twarzyczce. Wyglądała bardziej na uczennicę niż na nauczycielkę, chociaż musiała przekroczyć już trzydziestkę. W drzwiach któregoś pokoju ukazały się zaciekawione twarze dzieci Nie więcej niż czteroletni chłopiec i dziewczynka w wieku szkolnym. Obejrzeli nas podejrzliwie i dopiero popychani przez rodziców przywitali się nieśmiało. Eliza wzięła malca na ręce i pocałowała w policzek. Ja w tym czasie wręczyłem gospodyni czerwone goździki, czym była trochę zdziwiona, ale podziękowała mi z uśmiechem zadowolenia patrząc z pretensjami na męża.

— Ty mi, Władek, przynosisz kwiaty tylko na imieniny.

— I na Dzień Kobiet — dodał zupełnie nie zmieszany Markun. — prosimy do stołowego, zaraz będzie rosół. Pomogę ci, Halinko?

Przy stole było dość sztywno, przynajmniej na początku. Cała uwaga była oczywiście skierowana na Elizę. Ja byłem jakby już swój. Musiała nieuchronnie podzielić się swoimi pierwszymi wrażeniami z Kamieńca. Nie był to entuzjazm, do tego Eliza w żaden sposób nie mogła się przymusić, ale też nie chciała urazić gospodarzy. Kamieniec to było ich miasto i najwyżej oni mieli prawo mówić o nim źle. Nastrój poprawił się przy pieczonym kurczaku i kieliszku wina. przy kawie była już niemal rodzinna atmosfera. Eliza już rzeczowo wypytywała Halinę Markunową o zaopatrzenie, przedszkola, rozrywki, krawcowe. Cieszyłem się niewspółmiernie do wagi tych słów, ale one znaczyły dla mnie więcej. Eliza już jakby na poważnie przymierzała się do roli mieszkanki tego miasta.

Zgrzyt nastąpił dopiero, kiedy gospodyni w dobrej zapewne wierze wspomniała o przyszłej pracy Elizy.

— Gdyby pani zechciała, od września będzie wolne wychowanie plastyczne w naszym ogólniaku. A w liceum pedagogicznym też nie mają fachowej obsady. Uczy taka jedna...

Eliza tylko poczerwieniała, ale nie podjęła tematu. Wszedłem gospodyni w słowo, że już byłem w spółdzielni wielobranżowej i obgadałem, co trzeba. Jest wolne stanowisko kierownika wzorcowni. Architekt powiatowy też mnie zapewniał, że dla plastyka pracy nie zabraknie, że jest tylko jeden chałturszczyk, robiący dekoracje, ale nie ma licencji i zawsze są kłopoty z zatwierdzeniem jego rachunków.

— Zaprojektował nam wystrój świetlicy, ten Chmielewski — sekundował mi żywo Markun, jakby się zorientował, że to ważny moment — zgroza zupełna, żeby to pani widziała. Jeszcze kupę forsy musieliśmy mu za to zapłacić. Ja się trochę na tym znam, chociaż po amatorsku — zastrzegał się — a małej architektury też nie ma kto robić. Budowlańcy projektują, ale jaki to ma efekt. Chcemy przecież, żeby te osiedla, domy, skwery, ładnie wyglądały — wstał, podszedł do okna — o choćby popatrzcie jak ten fragment miasta wygląda, pięknie, gdyby odsłonić stare mury, wyburzyć rudery, założyć na tym miejscu planty. Siedemnasty wiek się za tym kryje, a my nie potrafimy wykorzystać takich skarbów. W radzie nie mają serca do historii...

Spodobała mi się ta reakcja, znów niepodobna do Markuna. Leżała mu na wątrobie tak abstrakcyjna sprawa, nic praktycznego z niej nie mogło wyniknąć. A gdyby on miał więcej sojuszników, takich niepraktycznych ludzi, można by tu wiele ocalić, ożywić, zmienić nie do poznania ten światek. W tym było także miejsce dla artysty, może przede wszystkim dla niego. Dla niej, Elizy nie tylko jakiś tam etap, co było najłatwiejsze.

— Będziemy sąsiadami, proszę państwa — powiedział ze znaczącym uśmiechem Markun — i znów poderwał się do okna — ten trzeci blok za miesiąc będzie wykończony. Widziałem listę przydziałów, panie inżynierze, dwa pokoje z kuchnią chyba państwu na razie wystarczą?

— Nie na długo, mój złoty. Bez dzieci żyje się wygodniej, bez kłopotu, ale nie wiem, czy gdybym nie miała dzieci — wytrzymałabym w Kamieńcu — powiedziała w nagłą gwałtownością Markunowa, mąż popatrzył na nią ze zdziwieniem, my także.

— Nie będziemy się z tym specjalnie spieszyć — odpowiedziała Eliza.

— I tak wam będzie łatwiej. Żona urodziła Agnieszkę na ostatnim roku studiów — westchnął Markun — ale jakoś przetrzymaliśmy. Klepaliśmy biedę, ale to może nam się przydało, bo teraz na życie patrzymy trzeźwo i mierzymy według możliwości.

U Markunów siedzieliśmy prawie do wieczora. Jednak do domu wróciliśmy w nie najlepszych nastrojach. Z winy Elizy, która po drodze już zaczęła tak pozornie bez związku swój monolog:

Mili ludzie, ta kura domowa, ona i ten twój szef, ale wcale nie wyglądają na szczęśliwych. Taka egzystencja nigdy mnie nie pociągała. Dorabiać się latami, i to do czego. Do takich mebli, seryjnej tandety poupychanej w ciasnych klitkach. Do syrenki.. hodować dzieci, by życiu nadać większy sens.

— A praca? — spytałem ze złością — przecież człowiek nie żyje po to, by było ciekawiej i oryginalniej, wesoło i zabawnie wśród wielkich spraw, ale realizuje się przez to, co robi, tworzy i odtwarza. Masz wspaniały zawód, talent, wynajmie się jakiś pokój na pracownię. Ja będę robił to, co potrafię, niezgorzej mi już idzie. Będziemy się starać robić to wszystko i z sercem. i coś z tego wyniknie. Nie mam ochoty wszystkiego przewidywać, zaprogramować na lata. Nie oczekuję niczego wielkiego, ale żyjemy w czasie wielkiej szansy. Ona jest bardziej tu niż w wielkim mieście. Tu układy są proste, wszystko jest na wierzchu. Przyzwoity człowiek musi w nich znaleźć swoje miejsce i potwierdzenie swojej wartości. Tak to rozumiem i te kilka tygodni potwierdzają słuszność takiego stanowiska.

Może rzeczywiście popełniłem błąd. Wypaliłem taką zebraniową mowę — — agitkę. To nie były moje słowa. Ktoś je za mnie już wcześniej ułożył, ja w nie wszedłem jak w ubranie z seryjnej produkcji kupione w pierwszym lepszym magazynie.

I ona zamiast się oburzyć powiedziała: ty mój głupi mężu! i pocałowała mnie w policzek. Wolę się z tobą kochać, niż dyskutować na poważne tematy.

* * *

Nazajutrz zaawizowano ze stacji specjalny transport, od dawna oczekiwany żuraw budowlany, bez którego niemrawo rosła budowa w samym środku Kamieńca. Jak wizytówka naszej nieudolności.

Kiedy po wielu godzinach udało nam się przerzucić sprzęt na budowę, okazało się, że oprócz listu przewozowego nie ma żadnej dokumentacji, a najważniejsze atestu prób wytrzymałościowych i kart gwarancyjnych. Telefony - błyskawica do centrali zaopatrzenia i producenta — nic nie pomogły. Zrzucali winę nawzajem na siebie lub na kolej. Kierownik budowy Zarzycki pieklił się na całego:

— Dawaj pan klucze od maszyny. Jak się papierki znajdą. podpiszę co trzeba.. Nigdy tu nie było takich ceregieli!...

Nie zgodziłem się. Sprzęt bez atestu. Niech pęknie lina i zwali się komuś na głowę tych parę ton. Albo nawet nastąpi awaria silnika. Kto pokryje koszty? Tłumaczyłem wszystko cierpliwie, ale już mnie ponosiło, że człowiek na takim stanowisku nie rozumie elementarnych zasad. Powiedziałem mu to wprost.

— Ja rozumiem, że budowa stoi — skwitował cały mój wywód — i walę do Starego, panie inżynierze.

— Od tych spraw ja jestem, jasne? I nikt mi się nie będzie wtrącał, do działu, za który ja odpowiadam.

— To mu też powiem!

Trzasnął drzwiami. Napięcie zaraz opadło. Nie byłem przewrażliwioną panienką. Sam nieraz musiałem posłużyć się ciężkim słowem, gdy przyłapałem kogoś na partactwie lub łazikowaniu. Sądziłem, że to jedna z tych utarczek, jakich nie brakowało. A straszenie Wrześniewskim nawet mnie trochę rozbawiło. Wiedziałem jednocześnie, że dźwig trzeba szybko uruchomić i zastanawiałem się, kogo wysłać w delegację, żeby odszukał dokumenty, gdy zadzwonił telefon dyspozytorski i w słuchawce usłyszałem ochrypły głos Wrzosa. Wezwał mnie do siebie w dwóch słowach.

W gabinecie byli Markun i Zarzycki. Mieli tak grobowe miny, że dopiero od tego momentu zacząłem sobie zdawać sprawę z powagi sytuacji. Stary nawet nie wskazał mi krzesła.

— Co pan zrobił w tej sprawie? — rzucił sucho, spokojnie.

Nim odpowiedziałem, usiadłem wygodnie na krześle. Nie miałem zamiaru stać wobec tej trójki jak przed sądem. Mówiłem dość długo, dokładnie uzasadniając swoją decyzję. Dyrektor słuchał cierpliwie. ale kiedy skończyłem stanowczo zarządził:

— Trzeba zaraz uruchomić dźwig. Nim znajdą się dokumenty, minie kilka dni..

— Tydzień jak obszył, panie dyrektorze — wtrącił kierownik budowy, ale urwał w pół słowa zgromiony wzrokiem Wrześniewskiego. Dla odmiany Markun milczał, do końca nie zajął stanowiska. On, który z racji funkcji miał przynajmniej jakąś szansę wpłynąć na zmianę czy choćby odroczenie decyzji naczelnego. Nie powiedział, na przykład: „dajmy Wadasowi dwa dni na odnalezienie dokumentów. Jeśli nie zdąży, wtedy uruchomimy". Nawet tego nie próbował, wybrał milczenie, które w tej sytuacji było równoznaczne z poparciem decyzji Wrześniewskiego.

— Inżynierze Wadas — powiedział Wrzos — nakaże pan zaraz uruchomić dźwig. I nie zawracajcie mi więcej głowy.

Tamci dwaj podnieśli się jak na komendę, jakby sprawa została już ostatecznie załatwiona. Może bym się zgodził, gdyby powiedzieli kilka słów, posiedzieli kilka sekund dłużej. Miałem przecież świadków wydanego jednoznacznie polecenia i w razie wypadku lub awarii przynajmniej odpowiadałbym w połowie. Ale oni skwapliwie podnieśli dupy, jakby po słowach Wrzosa nie było żadnej sprawy. Teraz to ja już musiałem siedzieć dalej i powiedzieć prosto w oczy zdziwione moją bezczelnością:

— Nie zrobię tego, panie dyrektorze.

Przez kilka sekund bezmiar zaskoczenia, ale zaraz poprzednia maska.

— Zdaje pan sobie sprawę, co pan mówi?

— Sądzę, że tak.

— I nie wykona pan polecenia?

— Tego polecenia nie wykonam, panie dyrektorze.

— Zarzycki, siądziecie w wóz i przywieziecie Michtę. Przygotować wszystko do uruchomienia. A pan zgłosi się jutro do kadr. Od tej chwili nie jest pan już głównym mechanikiem. Jesteście wolni, panowie.

Dopiero teraz wstałem i pierwszy wyszedłem do sekretariatu. Zapaliłem papierosa. Ręka ani mi drgnęła. Więc to tak wygląda. Poczułem dziwną obojętność. Zarzycki mruczał coś pod nosem i rzucił się do drzwi. Markun z trudem wykrztusił kilka słów:

— Wejdzie pan do mnie, kolego Wadas?

— Dziękuję. Po co? Do widzenia.

Szedłem do centrum. Tak samo jak zawsze od kilku miesięcy, a już inaczej. Pierwsza analiza sytuacji. Nie wykonałem polecenia, fakt. Było idiotyczne, fakt. I co z tego? Zakład i tak by się nie zawalił. Czy więc naprawdę chodziło o ten cholerny żuraw? Więc o co?

Żeby mnie złamać.

Nie byłem zielony. Znałem swoje obowiązki, ale i nie gorzej prawa. Miałem za sobą okres próbny, a więc umowa na czas nieokreślony. Pensja ustalona na górnym pułapie. W radzie zakładowej potwierdzono mój przydział na mieszkanie służbowe w ciągu najbliższych miesięcy. Jak on z tego wybrnie?

Minął mnie Zarzycki gazikiem, ostro przyhamował, wyskoczył na chodnik. Sprawny mężczyzna, dobrze zbudowany, spalona słońcem twarz Zwykle pewny siebie. przebojowiec, teraz zakłopotany.

— Głupio wyszło, inżynierze — mruknął — niech pan wsiada. Uruchomimy tę cholerę starego się jutro jakoś zblatuje. Da panu żyć, znamy go od tej strony.

Zawahałem się, był ten śliski moment. On miał rację. Wszystko jeszcze można naprawić: wykonać polecenie, pójść z samokrytyką, nawet chyba nie przepraszać, bo stary to człowiek ze świata faktów, słowa innych to dla niego śmiecie.

— No, biorę to na siebie — ponaglał mnie — niech pan wsiada.

— Spierdalaj Zarzycki. Nie po drodze nam — powiedziałem spokojnie.

Tego dnia już mnie nurtowało tylko jedno pytanie: jak on to zrobi? Prawo było jednakowe dla wszystkich, dla wielkich ludzi jak Wrzos i dla opornego pionka To wiedziałem, ale nie miałem pojęcia, jak można z niego zakpić.

Otrzymałem trzymiesięczne wymówienie z pracy, kartę urlopową za przepracowany okres świadectwo pracy z datą ostatniego września, opinię, w której złego słowa o mnie nie stało i... kwit do kasy po trzymiesięczne pobory.

Teraz zrozumiałem. Czysta, koronkowa robota. Prawo nie zostało nawet draśnięte. Zakład stracił kilka tysięcy złotych. ale dyrektor miał prawo uznać moją nieobecność wartą tego wydatku, unikając ewentualnej destrukcji w moim działaniu podczas okresu wypowiedzenia. Jakakolwiek komisja, gdyby je zakwestionowała, mogłaby się tylko ośmieszyć.

Popatrzyłem na to wszystko i roześmiałem się w głos. Byłem zaskoczony i pełen uznania dla Wrzosa. To nie był żaden gest, ale strzepnięcie pyłku z rękawa. W kasie wypłacono mi setkami i była to rzeczywiście kupa pieniędzy. Upchnąłem je do aktówki i ruszyłem w stronę portierni. Szedłem jednak coraz wolniej. Zatrzymałem się, nie wszystko tu było rozliczone do końca. Zawróciłem.

W sekretariacie była tylko Lidka. Tak samo zakłopotana jak wszyscy. Byłem jej wdzięczny, że broń Boże nie próbuje mnie pocieszyć. Siedzieliśmy kilka minut w milczeniu, bo u Wrześniewskiego był główny księgowy. Tym razem mój były szef nie kazał mi długo czekać.

Wszedłem, zatrzymałem się przy drzwiach. Popatrzył na mnie z odległości. oschły, sztywny, ale bez wrogości w oczach. Może w tej chwili było dla mnie bardziej widoczne jego znużenie, przytłaczający go ciężar odpowiedzialności. Pomilczeliśmy chwilę. Przetrzymał mnie jak wytrawny gracz przed wyłożeniem na stół pokera.

— Przyszedłem powiedzieć panu: do widzenia.

— Do widzenia, inżynierze Wadas — odpowiedział w podobnym tonie.

Patrzyliśmy jeszcze na siebie przez kilka sekund, chwyciłem za klamkę.

Podchodząc do rynku, w prześwicie ulic, gdzie było widać spółdzielcze osiedla, dostrzegłem pracujący dźwig. I dopiero wtedy po raz pierwszy i ostatni, dopadły mnie wątpliwości: kto tu miał właściwie rację?

Wtedy złudnie pocieszałem się, że zostanie to słodką tajemnicą między nami: mną a Kamieńcem. Jednak...

(C.d.n.)

WSPOMNIENIA

Debiut pisarski Nadziei Druckiej przypada na okres międzywojenny. W roku 1925 ukazała się jej pierwsza powieść pt. „Zwycięstwo", a wkrótce po niej „Niepotrzebne dzieci", „Było ich siedmioro", „W kie ścieżki" i tom nowel „Mali ludzie". Później publikowała Drucka książki dla młodzieży, m. in. „Krzywda", ale szczególnie upodobała sobie opowieści biograficzne. Wydała więc zbeletryzowane biografie Mozarta, Glinki, Moniuszki, Juliusza Verne i Mariusza Zaruskiego.

W czasie okupacji Nadzieja Drucka przebywała w Warszawie, przeszła przez piekło Powstania Warszawskiego, w którym brała udział jako pielęgniarka. Po wojnie napisała dwie książki poświęcone tajnemu nauczaniu: powieść „Niedaleki brzeg" oraz „Naukę w podziemiu".

Obok prac oryginalnych na koncie pisarskim Nadziei Druckiej znajduje się kilkadziesiąt przekładów z języka rosyjskiego, m. in. dzieła Gonczarowa, Paustowskiego, Tynianowa, Olgi Forsz...

Zbliżając się do osiemdziesiątki pisarka postanowiła spisać wspomnienia swego interesującego życia. „Starość jest okresem, gdy kończą się obowiązki, gdy kończą się rozterki miłosne i światopoglądowe, gdy kończy się walka i można w spokoju konsumować przyzwoicie przebyte życie" — pisze Nadzieja Drucka. Starość może być także okresem pisarskiego podsumowania przebytej drogi. I tak jest w wypadku pamiętnika „Trzy czwarte wspomnienia". Jest to książka niezwykle szczera, pełna pasjonujących informacji o ludziach, czasach i wydarzeniach historycznych. Jest to książka o trudnych losach i zakrętach historii, przebytych przez córkę carskiego generała (Drucka jest z pochodzenia Rosjanką), potem żonę polskiego ziemianina — sanitariuszkę z I wojny światowej i potem sanitariuszkę z Powstania Warszawskiego, a wreszcie pisarkę, matkę, babkę i prababkę... Urzekający jest w tej książce optymizm i jakiś pogodny spokój, jaki dać może tylko dobrze przeżyte życie.

W zakończeniu swojego pamiętnika pisze Drucka, że smuci ją tylko jej wiek, że nie zobaczy potężnej, wspaniałej, bogatej Polski. Ale zaraz dodaje: „A jednak trzeba jeszcze z pożytkiem dla siebie i kraju przeżyć te lata, które są mi przeznaczone".

Nadzieja Drucka — „Trzy czwarte wspomnienia", PIW, cena 45 zł.

SEKRETARZ MICKIEWICZA

Adam Mickiewicz zdobył za życia sławę na Zachodzie, nie tyle jako poeta, ale jako twórca. „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego", wyraziciel „tysiąca walecznych" z 1830 i 1848 roku. „Księgi" przetłumaczył na francuski Armand Levy i przekład ten tak się spopularyzował, że czerpano zeń nawet w czasie ostatniej wojny do zbiorków dla francuskiego Ruchu Oporu.

Kim był Armand Levy — sekretarz Mickiewicza? Czyżby należał do tych postaci, które całkiem przesłoniła wielkość poety? A może świadomie zapomniano o nim?

Papiery po owym Francuzie rozsypane zostały w nieładzie po zakątkach przeróżnych krajów, tam gdzie działał i wędrował: w jego ojczyźnie, w Polsce, w Rumunii, we Włoszech, w Turcji. Przeżył Adama Mickiewicza o wiele dziesięcioleci. Z latami mylono się, nie bez powodu, nawet przy ustalaniu jego narodowości.

Z listów prywatnych i korespondencji dyplomatycznej, z donosów policji i paszkwili nieprzyjaciół, z gazet i druków stopniowo składa się odpowiedź na pytanie: dlaczego pogrążono go w niepamięci? Powoli wyłania się z cienia niezwykle barwna postać owego Francuza, który gdzieś w głębi, za kulisami ukryty, miał wpływ niemały nie tylko na losy trzech pokoleń Mickiewiczów, ale i na wydarzenia rozgrywające się na głównych scenach Europy.

Znał możnych tego świata, od papieży po znakomitych socjalistów. Był postacią zakulisową, ale dostatecznie głośną, aby za życia uwieczniono go w drukowanych karykaturach i litografiach. O wiele trudniej było natomiast odnaleźć jego dokładną fotografię. Ukazała się w jednej tylko książce: słynnym, ale dziś trudno dostępnym paszkwilu antymasońskim. Potem udało się wykryć jeszcze parę, mocno już wyszarzałych, fotografii w zbiorach rodziny Mickiewiczów. Dzięki nim wiemy, jak wyglądał.

Był fizycznie niepozorny, a lubił monumentalizm. Całe życie budował nie tylko słowem, ale w brązie i kamieniu pomniki wielkich ludzi. Wyniki jego działalności możemy dziś nadal oglądać w Rzymie, Krakowie i Paryżu. Nie przypuszczał chyba, że pochłonie go całkiem cień tych pomników.

Ale jednak nie pochłonął. Monumentalna książka Jerzego W. Borejszy, mówiąca o Armandzie Levy i jego czasach, jest także pomnikiem. Tym razem wystawionym zapomnianemu sekretarzowi Adama Mickiewicza.

Jerzy W. Borejsza — „Sekretarz Adama Mickiewicza", Wyd. Ossolineum, cena 90 zł.

FELIETONY JALU KURKA

Jalu Kurek, wybitny pisarz, współtwórca polskiej awangardy poetyckiej, parał się również dziennikarstwem i to od najwcześniejszych lat uniwersyteckiej młodości, aż do pierwszych lat Polski Ludowej. Od dziennikarstwa jednak nigdy całkowicie odejść nie można. Dlatego też i Jalu Kurek, choć oderwał się w roku 1947 od redakcyjnego biurka — nadal pozostał wierny publicystyce, choć w znacznie skromniejszym wymiarze.

Okres trzydziestu lat Polski Ludowej odbił się więc także w dorobku dziennikarskim Jalu Kurka. Z rozległego obszaru tego pisarstwa poeta wybrał około stu felietonów o wymowie społecznej i z nich uczynił materiał swojej nowej książki.

Niektóre z poruszanych w niej problemów straciły już dziś aktualność, niemniej pozostają znamiennym dokumentem chwili, którą w nich publicysta utrwalił. Rozmaite są także klimat, nastrój i aura stylistyczna poszczególnych felietonów. Niektóre zbliżają się do reportażu lub opowiadania, we wszystkich jednak pobrzmiewa wspólna nuta, którą tak trudno oderwać od całokształtu twórczości literackiej Jalu Kurka.

Półwiekowy staż w dziennikarstwie jest świadectwem nierozerwalnej jedności pisarza i publicysty. Pewne treści są nieprzetłumaczalne na poezję czy prozę beletrystyczną — a wymagają natychmiastowego zajęcia postawy na łamach gazety czy przed mikrofonem radia.

Pisze Jalu Kurek: „To samo postuluję w poezji czy w prozie kreacyjnej, czego domagam się w dziennikarskim felietonie: prawdy o człowieku i świecie. Tu i tam upominam się o człowieka, tyle, że wyrażam to w różnych strukturach językowych".

Jalu Kurek — „Jak karmić motyle", Wyd. Literackie, cena 35 zł.

MICHAŁ ANIOŁ

Twórczością Michała Anioła zainteresował się Leopold Staff jeszcze przed wojną. W roku 1934 ukazał się jego esej „Michał Anioł", który obecnie PIW wydał razem z przekładami wierszy wielkiego artysty.

Michał Anioł nie uważał się za malarza i rzeźbie skłonny był oddawać miejsce pierwsze w swojej twórczości. Tym bardziej odżegnywałby się z pewnością od miana poety. Zresztą, zdaniem wielu współczesnych krytyków, rymowane zapisy wielkiego Florentczyka zasługują na uwagę tylko dlatego, że wyszły spod ręki twórcy „Mojżesza" i Sykstyńskiej Kaplicy. Czyżby jednak bez takiego wzmocnienia głos tych wierszy istotnie ginął pośród innych?

Chyba nie. Złomy wierszy, jakie zostawił po sobie Michał Anioł, wydają się ową wzniosłą, strzaskaną kolumną. Ale te złomy sięgały ponad głowy współczesnych. To o tych wierszach powiedziano przecież: „On mówi r z e c z y, a wy mówicie s ł o w a".

Tom staffowskich przekładów Michała Anioła, wydanych razem z esejem poety, wstępem zaopatrzył Mieczysław Brahmer.

Leopold Staff — „Michał Anioł i jego poezje", PIW, cena 40 zł.

WYPISY ŁÓDZKIE

JULIAN MARCHLEWSKI

BUDŻET KONDUKTORA TRAMWAJOWEGO (ROK 1910)

Mamy przed sobą dokument w naszych warunkach bardzo rzadki, a wielce ciekawy: budżet roczny dochodów i wydatków rodziny robotniczej.

Wartość tego rodzaju budżetów domowych dawno została oceniona w literaturze naukowej. Jedynie na zasadzie tego rodzaju ścisłych danych można sobie wyrobić dokładny obraz warunków bytu całych klas społecznych. Oczywiście dla celów naukowych, to znaczy dla wprowadzenia uogólnień ważnych dla życia, trzeba rozporządzać dużą liczbą takich budżetów pochodzących od rodzin tej samej kategorii. Ludzie na szczęście nie żyją i nigdy żyć nie będą trybem koszarowym. Upodobania, a stosownie do tego potrzeby są różnorodne, co uwydatnić się musi w budżecie wydatków. Wnioski ogólne więc wyprowadzać wolno dopiero na zasadzie „prawa wielkich liczb". To znaczy, że mając wiele takich budżetów możemy brać liczby przeciętne, przy których owe różnice zanikają.

Rozporządzając wypadkowo jednym jedynym budżetem, musimy zachować szczególniejszą ostrożność we wnioskach, ponieważ nie mamy prawa uważać tej właśnie rodziny za „typową". Możemy jedynie posługiwać się tym budżetem jako p r z y k ł a d e m. Lecz właśnie jako przykład nawet pojedynczy budżet może być nader pouczający, byle był opracowany zgodnie z prawdą i dokładnie. Za prawdziwość ręczy w danym wypadku autor, który doręczył go nam z podpisem i dokładnym adresem. Dokładność opracowania zaś jest wzorowa, gdyż podano dochody i wydatki z miesiąca na miesiąc za cały rok, wyszczególniając przy wydatkach nie tylko sumę pieniężną, lecz również ilość nabytych produktów.

Autorem budżetu jest konduktor tramwajów, 41-letni ojciec rodziny. Rodzina składa się z męża, żony i czworga dzieci w wieku lat 13, 12, 4 i 1,5. Zarobkuje tylko ojciec, bo matka pochłonięta jest pracą nad dziećmi. Przechodząc do rozpatrywania budżetu dochodów, możemy w danym wypadku o tyle czynić uogólnienie, że konduktorzy pełnią służbę jednolicie i pobierają płacę jednakową. Jedynie klęska choroby, która nie pozwala na pełnienie służby, może tu stanowić różnice indywidualne.

Otóż nasz konduktor pełnił służbę w ciągu dni 322, w roku wolnych miał dni 19, chorował dni 24. Uderza tu od razu mała liczba dni wolnych. Zaledwie 19 dni w roku. Towarzystwo tramwajowe pozwoliło swemu pracownikowi odetchnąć. Jeżeli weźmiemy miesiące, w których choroba nie przerywała służby, otrzymamy: w lipcu wolnych dni 2, w sierpniu — 1, w listopadzie i grudniu po 3, w marcu — 2, w maju i czerwcu po 1. Jeden dzień wolny w miesiącu!

Za te dni robocze płacono od lipca do początków października 1910 r. po 1,40 rb., potem od października 1910 r. do końca czerwca 1911 r., po 1,60 rb. Za dni chorobowe wypłacano po 1,45 a potem po 1,20 rb. Wypada więc wynagrodzenie miesięczne od 40,60 do 49,60 rb., a razem za cały rok 553,90 rubli. Wsparcia na kurację otrzymał nasz sprawozdawca 15 rb., datki od pasażerów wynosiły 9 rb. i 12,5 kop., „zwrot monitów" 60 kop., a procent od kaucji 5 rb., razem cały dochód roczny 583 rb. 62,5 kop. Z tej skromnej sumy musiała żyć rodzina składająca się z sześciorga ludzi.

Zobaczymy jak opędzano potrzeby.

Więcej niż połowę budżetu pochłania wyżywienie, mianowicie 257,06 rubli. Wynosi to w okrągłej liczbie 70 kop. dziennie. Jest to stanowczo za mało na wyżywienie 6 ludzi, mniej niż wyznaczają w wielu więzieniach rosyjskich. Weźmy oddzielnie pozycje ważniejsze: chleba 1031 funtów (37,57 rub.), bułek 2255 sztuk (20,62 rb.), mąki 147,5 funta (6,97 i pół kop.), mięsa 141 funtów (24,56 rb.), słoniny 87,5 funta (18 rub. i 90 i pół kop.), wędliny 37,25 funta (10,15 rb), masła 10 i 1/8 funta (4,17 rb.), mleka słodkiego i kwaśnego 517 i 1/8 kwarty (35,33 rb.), jaj 267 sztuk (6 rub. 31 i pół kop.), kartofli 10 korcy oraz 11 i pół garnca (15 rub. oraz 5 i pół kop.), kapusty 49 głów (1.68 rb), kaszy 51 i pół kwarty (4 rub. 69 i pół kop.), cukru 248 funtów (31,71 rb.), herbaty 1 funt i 31 łutów (2 rub. 93 i pół kop.), kawy 7 funtów i 17 tułów (4 rub. 64,5 kop.). Pozycje te stanowią więc razem 225 rubli i 57 kop., resztę tj. 41,49 rubli pochłonęły drobniejsze wydatki — warzywa, ocet, oliwa, owoce, ryż, sól itp. Sprawozdawca nasz jest niemal zupełnym abstynentem, wobec czego wódka i piwo figurują z sumą 2.04 rb.

Na pierwszy rzut oka widzimy niedobory odżywiania: pozycje za mięso, jaja, mleko, masło są zbyt skąpe. Wliczając słoninę i wędlinę, wypada siedem dziesiątych funta dziennie na cztery i pół osoby (odliczamy najmłodsze dziecko półtoraroczne, a dziecko 4-letnie liczymy na pół osoby). Mleka wypada 1 i cztery dziesiąte kwarty dziennie, gdy tymczasem dziecko najmniejsze powinno samo wypijać 1,5 kwarty dziennie.

Toteż sprawozdawca nasz czyni do pozycji odżywiania pouczającą uwagę: robił oszczędności na żywności, lecz skutek był ten, że dzieci wpadły w anemię, zachorowały ciężko, trzeba było żonę z dziećmi wysłać na wieś. A dalej uwaga: od kwietnia jestem sam w Warszawie, więc stosuję oszczędności na sobie. Jaki będzie skutek — wiadomo! Ale trudno: przynajmniej coś się „zaoszczędzi".

Krótko i węzłowato: rodzina się głodzi, wyczerpują się siły życiowe.

Pamiętajmy zaś: mamy tu budżet robotnika wyższej stosunkowo kategorii i wiemy, że olbrzymia większość rodzin robotniczych w Warszawie zarabia znacznie mniej niż 583 rb. rocznie.

Lecz może nasz sprawozdawca gospodarzy źle, może mógł nie robić tych „oszczędności" na żołądku? Zobaczymy!

Idą dalej pozycje: mieszkanie — 94 ruble. Wypada stosunkowo niewiele, bo komorne wynosi 9 rubli miesięcznie, a przez czas pobytu rodziny na wsi „kąt przy familii" — 3 ruble. Mieszkanie jest oczywiście marne, jedna izba, zbyt szczpuła na 6 osób. Na opał i światło wypada 23,33 rb. Na ubranie, bieliznę i obuwie: męża — 24,55 rb., żony — 49,53 rb., dzieci — 34,05 rb. Oczywiście oszczędniej nie można. Zresztą jest to niecała pozycja, gdyż bierze się ubranie na wypłaty i ciąży dług 48 rubli. Na książki i kajety (szkołę opłaca Towarzystwo), gazety, materiały piśmienne wypada 14,94 rub. Na rozrywki i zabawy (do których sprawozdawca zalicza wydatki na tytoń) wypada 20,23 rb.: tytoń — 18,48 rb., cyrk i kinematograf 1,75 rb. Rubryka „Wydatki różne", wśród których są skromne sumki na „składki koleżeńskie" i „ofiary" — 38 rb. oraz 15 i pół kop. W sumie tej mieści się też niedobór przy obrachunku z biletów — 4,38 rb. Na sprzęty i porządki poszło 8,22 rb., na pranie — 5 rub. dziewięć i i pół kop. Lekarstwa wyniosły 86 kop., gdyż na ogół dostarcza ich Towarzystwo tramwajowe. W końcu rozjazdy pochłonęły — wobec wysłania rodziny na wieś — 15,75 rb.

Widzimy więc, że wszystkie te rubryki są uposażone bardzo a bardzo szczuple, wobec czego na zapytanie powyżej postawione odpowiedzieć trzeba przecząco: nie wystarczy na lepsze odżywianie, nie ma gdzie oszczędzać. Zważmy przy tym, że na wydatki związane z życiem kulturalnym wypadają kwoty minimalne. Autor budżetu sam odczuwa to i ubolewa nad tym. Interesują go sprawy publiczne, lubi książki. Wydał na prenumeratę gazety 1,45 rubla i na pisma — 3,40 rb. Przez parę miesięcy wypożyczał książki z czytelni. W dopisku notuje: Dla oszczędności musiałem wypisać się z czytelni i ograniczyć kupno pism. Pozwolił sobie na odwiedzenie cyrku i „Iluzjonu", lecz zaznacza, że na koncert lub teatr nie stać go. Ileż tysięcy, ba, setek tysięcy robotników czuje ten głód kultury, lecz nie może go zaspokajać, bo nie stać ich na wydatek, skoro nawet na żywności oszczędzać muszą.

Budżet z wielkim mozołem sporządzony przez naszego konduktora, staje się, jak widzimy, dokumentem doniosłym i cennym, ponieważ wymowniej świadczy o położeniu rodziny robotniczej niż całe stosy gołosłownych artykułów. Byłoby rzeczą nad wyraz pożądana, aby ten przykład zachęcił innych robotników do prowadzenia podobnych budżetów.

„Wolny Głos", 26 sierpnia 1911r.

W r. 1903 na wystawie higieniczno-spożywczej w Łodzi — dr Michalski przedstawił dane dotyczące budżetu rodziny robotniczej w zakładach Scheiblera. Podobne dane i wykresy budżetowe robotników Markusa Kohna, przedstawił w Warszawie, na wystawie higieniczno-dydaktycznej dr Goldman, zaś dr Frankowski ogłosił budżety rodzin robotników Geyera. Tak zainicjowana została w Łodzi wielka akcja badania przerażająco niskich budżetów łódzkich rodzin robotniczych, budżetów powodujących nagminne szerzenie się gruźlicy — choroby proletariatu.

Julian Marchlewski zamieszczając w „Wolnym Głosie" „budżet konduktora tramwajowego" nie podał adresu i nazwiska autora. Aby go uchronić przed represjami carskiej policji zmienił również nazwę „Łódź" na „Warszawa".

Za łódzkim pochodzeniem konduktora tramwajowego świadczy nie tylko fakt, że Julian Marchlewski był dobrze znany robotnikom łódzkim. Świadczą również „łódzkie" ceny artykułów spożywczych, oraz „procent od kaucji", jaką kandydat na konduktora musiał wpłacać do dyrekcji Kolei Elektrycznej Łódzkiej.

HENRYK RUDNICKI

TELEWIZJA

ŚMIERĆ POETY

Kiedy oglądałem w telewizyjnym teatrze „Ostatnie dni" Michała Bułhakowa wróciło do mnie świeże wspomnienie zdarzenia, które spotkało mnie tego roku, dokładnie 6 czerwca na ulicy Gorkiego w Moskwie. Pod wysokim piedestałem pomnika Puszkina zasypanym tego właśnie dnia, w kolejną rocznicę urodzin poety, nieomal do połowy kwiatami stała otoczona tłumem młodych i starszych ludzi siwiuteńka staruszka i recytowała ze wzruszającym uniesieniem „Eugeniusza Oniegina". Kiedy po kilkunastu minutach przerwała i ze łzami w oczach dziękowała za długotrwałe oklaski i spontaniczne wyrazy uznania przypadkowych słuchaczy, nieoczekiwanie podeszła do mnie, cudzoziemskiego gapia, ze słowami: „A pan co mi powie?". Z trudem ukrywając zmieszanie zacząłem bąkać jakieś niezdarne słowa podzięki i gratulacji.

Cytuję ten przypadek jako dowód niezwykłego kultu, jaki otacza Puszkina w jego ojczyźnie po dziś dzień. Niewiarygodnie osobisty, wręcz intymny stosunek, jaki Rosjanie mają do Aleksandra Siergiejewicza jest nieporównywalny z recepcją któregokolwiek z klasyków jakiejkolwiek literatury narodowej. Rosyjski kult Puszkina jest dla obcokrajowca trudno zrozumiały. Rozmawiałem na ten temat wielokrotnie z moimi tamtejszymi przyjaciółmi, aby dociec tajemnicy tego fenomenu. Oni są w nim zakochani, cytują na wyrywki z pamięci, znają najdrobniejsze fragmenty jego biografii. Pytali mnie o szczegóły perypetii jego przyjaźni z Mickiewiczem i na pytania te — nie będę ukrywał — nie zawsze udawało mi się odpowiedzieć im tak jak tego oczekiwali. Z rozmów tych wyniosłem przekonanie, że widocznie Puszkin jest nieprzetłumaczalny i że jak każdego wielkiego poetę należy go czytać w oryginale, ale jednocześnie niepokoi mnie podejrzenie, iż jest to tylko część prawdy i to nie ta najważniejsza.

Życie Puszkina, a zwłaszcza jego tragiczny finał przekształciło się w jeden z najbardziej wymownych literackich mitów romantycznych. Historia, która zdarzyła się przed 140 laty w Petersburgu fascynowała nie tylko Bułhakowa. Pośród wielkich piór literatury rosyjskiej pisali o niej Achmatowa i Tynianow. Temu życiu i tej śmierci zamierzał poświęcić swój pierwszy w całości barwny film Siergiej Eisenstein. W literaturze polskiej dramat Puszkina znalazł swój zapis w „Maskaradzie" Jarosława Iwaszkiewicza.

Dobrze się stało, że telewizyjny teatr sięgnął po znakomitą, a całkowicie zapomnianą sztukę Michała Bułhakowa na ten temat. „Ostatnie dni" wydano w Polsce jeden, jedyny raz w 1949 roku i należy się upomnieć o nową edycję wraz z pozostałą twórczością dramatyczną autora „Ucieczki".

„Ostatnie dni" Bułhakow napisał w 1936 roku. Dramat ten powstał bezpośrednio po „Molierze" i wraz z tą sztuką tworzy dylogię na temat relacji pomiędzy władzą, artystą a społeczeństwem. Znając sytuację osobistą Bułhakowa w tamtych latach trudno oprzeć się przekonaniu, że dla wybitnego pisarza był to temat boleśnie bliski.

Myślę, że dla polskiego widza nie był to spektakl łatwy w odbiorze. Mozaikowa, fragmentaryczna konstrukcja dramaturgiczna sztuki, gdzie wyłania się cały szereg bardzo szkicowo nakreślonych postaci literacko-dworskiego życia Petersburga Mikołaja I odwołuje się jak gdyby do utrwalonej w świadomości Rosjanina owej znakomitej znajomości realiów puszkinowskich. Tymczasem reżyseria Macieja Wojtyszki jeszcze bardziej podkreśliła nerwowy rytm sztuki, dodatkowo zacierając wyrazistość akcji.

Logika interpretacji ostatnich dni poety nakazała Bułhakowowi rezygnację z postaci głównego bohatera. Puszkin chory leży obok w gabinecie przylegającym do sceny, ale maestria dramaturga sprawia, że jego obecność jest stale wyczuwalna, wrażenie, że za chwilę pojawi się, jest dominantą kompozycyjną dramatu.

Jarosław Iwaszkiewicz w świetnej książce „Petersburg" w rozdziale o Puszkinie pisze, że cała ta wielka intryga wokół poety, w którą zaplątane były najwyższe osobistości, gdy się jej dzisiaj przypatrzeć, uderza swą wulgarnością i prowincjonalizmem. Niewątpliwie. Właśnie tak to przedstawia Bułhakow. Mikołajewska Rosja, Rosja pałacowa, Rosja białych kolumn i złotych epoletów, której fragmenty Bułhakow przesuwa przed naszymi oczyma jest krajem, w którym „wszyscy są czynownikami, wszędzie czynownicy, stale czynownicy" — jak zjadliwie pisał Suchowo-Kobylin. Czynownikami są również literackie miernoty wokół Puszkina, które dławią się od zawiści. Autor pretensjonalnych dramatów historycznych zapomniany dzisiaj Nestor Kukolnik mówi: „Puszkin miał niewątpliwie talent. Niewielki, pyciutki, ale talent. Ale zmarnował go, rozmienił na drobne! Sam zgasił swoją małą pochodnię!".

Konflikt Puszkina jest konfliktem geniusza z bezdusznymi funkcjonariuszami carskiego aparatu. Jest konfliktem z samym carem. Śmierć Puszkina w pojedynku z d'Anthesem była ukartowanym zabójstwem politycznego przeciwnika, który na dodatek miał piękną żonę flirtującą z Mikołajem. Bułhakow zamyka dramat wspaniałą sceną, w której pijany szpicel-zegarmistrz Bitkow zwierza się karczmarce: „Tak, układał wiersze... I przez te wiersze nikt nie ma spokoju... ani on, ani naczalstwo, ani ja, sługa boży Stiepan Iljicz... Przecież ja za nim wszędzie... Ale nie miał szczęścia... Cokolwiek by nie napisał, to nie tak, jak trzeba, nie to, nie o tym, nie tak...".

W tych słowach dźwięczy gorzka bułhakowska ironia ironia pisarza, który przecież także stale pisał „nie tak jak trzeba" i którego sztuki i powieści cenzura odsyłała z adnotacją „nie to, nie o tym, nie tak...".

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

PARADA DOCENTÓW

Dzięki tygodnikowi „Kultura" mieliśmy kolejne spotkanie „dyskusyjne" z Erichem von Dänikenem. Charakter i poziom tego spotkania określa wystarczająco jasno cudzysłów przy słowie „dyskusyjne".

„Kultura" opublikowała dwukolumnowe sprawozdanie z tej rozmowy, będące dość zabawną ilustracją poziomu i typu argumentacji niektórych przedstawicieli tzw. świata naukowego. Oto, co miał do powiedzenia na temat 38 milionów egzemplarzy książek Dänikena, szerzej nieznany docent Wolniewicz.

Docent Wolniewicz zbił wszelkie teorie szwajcarskiego pisarza następującymi argumentami naukowymi: **„prosta bzdura", „wulgarny materializm", „kiepska science-fiction", „naiwne fantazjowanie".** Sam Däniken natomiast nazwany został przez doc. Wolniewicza: **„amatorskim partaczem, produkującym intelektualną tandetę".**

Jak widać powaga i ciężar gatunkowy owej naukowej argumentacji docenta są nie do odrzucenia. Żeby było śmieszniej, doc. Wolniewicz przyjął zaproszenie „Kultury" na dyskusję, jakby zupełnie nieświadomy faktu, że pismo to nazywa się „Kultura".

Jeszcze śmieszniej zaprezentowała się dr Lipińska. Także przyjęła zaproszenie na dyskusję o książkach Dänikena, żeby na wstępie swojej wypowiedzi stwierdzić: **„Nie czytałam pańskich książek".** Po co więc przyszła?

Najcelniej ową „dyskusję" scharakteryzował dr **Waldemar Łysiak,** jedyny (obok dyr. Górnego z wydawnictwa „Sport i Turystyka" oraz prowadzącego spotkanie K. T. Toeplitza) kompetentny i nie zacietrzewiony rozmówca Dänikena. Powiedział dr Łysiak: **„Wypowiedzi państwa i cała nasza dyskusja jest idealnym odbiciem ogólnoświatowego sposobu dyskutowania z Dänikenem. O ile on sam przeprowadza złą selekcję wrzucając do worka swej hipotezy obok silnych, bardzo słabe argumenty, o tyle jego krytycy stosują metodę odwrotną, bardzo ostrej selekcji i biją tylko w owe słabe argumenty. Metoda z punktu widzenia etyki naukowej bardzo dowcipna".**

Otóż to! Mówiąc inaczej — **„Däniken jest dyletantem i partaczem, bo tendencyjnie dobiera argumenty. My tendencyjnie wyszukujemy słabe punkty jego teorii — bo jesteśmy naukowcami".**

Niczego nie można dowieść przez samą negację. Tej prostej prawdy nie było w stanie pojąć doborowe grono docentów. Mówił Waldemar Łysiak: **„Nauka powinna zająć się bliżej problemami podnoszonymi przez Dänikena i za granicą już się to robi, ma on wielu zwolenników, np. w NASA i w radzieckiej Akademii Nauk. Zdaje się, że tylko polski świat naukowy jest silny, zwarty i gotowy ukrzyżować Dänikena".**

Prezentowane w Polsce „dyskusje" z Dänikenem są tak żenujące, tak pełne wyzwisk i epitetów, że aż przykro tego słuchać. Nie ze względu na Dänikena — skądże znowu. On przyjmuje to wszystko spokojnie, bowiem jest to wliczone w koszta własne jego popularności. Przykro tego słuchać, bo są to „dyskusje", których poziom niekompetencji ośmiesza naszych docentów.

No cóż, kluczem i podsumowaniem całej zajmującej rozmowy na łamach „Kultury" mogą być słowa dyr. Górnego: **„Mam wrażenie, że im większy uczony, tym więcej tolerancji wykazuje nawet w stosunku do laików".**

Słowa te padły pod koniec „dyskusji", w czasie której latały w powietrze epitety typu: „bzdura, tandeta, fałszerstwo, ignorant, partacz... Tolerancji nie było, uczonych również. Była tylko parada docentów.

WIDOK

Foto: Archiwum

PROPOZYCJE

DUŻE USZY

Ludzie bardzo młodzi mają brzydki zwyczaj wyciągania na światło dzienne największych tajemnic swoich bliźnich, chcąc ich w ten sposób skompromitować w oczach opinii publicznej. Bardzo młodzi ludzie pisują wtedy na płotach i murach: „Józek jest głupi", „Janek ma duże uszy", „Maryśka kocha Wieśka". W świecie ludzi bardzo młodych fakt posiadania dużych uszu lub miłość między Wieśkiem i Maryśką jest argumentem ostatecznie dyskryminującym i pozbawiającym wszelkich szans uznania przez otoczenie tego, kto ma duże uszy. Ale na szczęście z czasem wyrasta się z lat szczenięcych i wtedy zaczynają obowiązywać zupełnie inne kryteria oceny ludzkich wartości.

Tak by się mogło wydawać, ale okazuje się, że niekiedy również w świecie ludzi dorosłych mogą przeszkadzać czyjeś duże uszy. Oto w czasie pobytu w Polsce Ericha von Dänikena zaproszono go do dyskusji z naszymi ludźmi nauki. Telewizyjnej dyskusji, o której sporo już pisano, na szczęście dla mnie nie widziałem. Mogłem natomiast przeczytać dyskusję, jaka odbyła się w redakcji tygodnika „Kultura", w której stronę polską reprezentowało siedem naukowo utytułowanych osób.

Zawsze mi się zdawało, że przyjmując zaproszenie do dyskusji powinno się przychodzić na nią z argumentami, które miałyby walory kontrargumentu na tezy wysuwane przez partnerów. Mam oczywiście świadomość stopniowego zanikania u nas dyskusji i nazywania tym terminem zbioru różnych wypowiedzi, nie zawsze na ten sam temat. Ale w naiwności swojej sądziłem, że są jeszcze instytucje, gdzie dyskusja po prostu znaczy dyskusja. Tymczasem to, co zaprezentowała swoim czytelnikom „Kultura" wskazywałoby, że takich instytucji jest już coraz mniej.

Uczestnicy rozmowy z **Erichem von Dänikenem,** jako najbardziej istotnych argumentów używali słów: **bzdura, tandeta, fałszerstwo, ignorant, partacz...** Któryś z uczestników spotkania zapytał wręcz: „Jakie jest pana formalne wykształcenie?" — co w towarzystwie docentów i doktorów jest ni mniej ni więcej tylko stwierdzeniem, że „Jurek ma duże uszy". Podobnie zresztą, jak przyznanie się przez innego z uczestników do tego, że nie czytał książek Ericha von Dänikena.

Nieoceniony K. T. Toeplitz, który tę nieszczęsną dyskusję miał przykrość prowadzić, w imieniu redaktora naczelnego „Kultury", p. Dominika Horodyńskiego, poczuł się w obowiązku zwrócenia uwagi „stronie polskiej", że posiadamy „tradycje staropolskiej gościnności". Ale to nie na wiele się zdało.

Dla sprawiedliwości warto tu dodać, że wśród tego szacownego grona były dwie osoby, które broniły gościa. Przedstawiciel wydawnictwa, który czynił to z obowiązku, bo w końcu książki Ericha von Dänikena wydaje i **dr Waldemar Łysiak,** który czyni to z amatorstwa, ponieważ jest entuzjastą odmiennego podejścia do wielu faktów, z którymi do tej pory nie umie sobie poradzić nauka. Jeszcze jeden uczestnik dyskusji aprobował książki szwajcarskiego autora, ale czynił to na zasadzie, że są to znakomite współczesne baśnie popularyzujące archeologię.

Świadomie nie dotykam meritum sporu, bo jest to zupełnie inna sprawa. Trudno mi jednak zgodzić się ze sposobem dyskutowania z człowiekiem, który wprawdzie nie legitymuje się żadnym naukowym tytułem, ale który próbuje, może nie zawsze najlepiej, stawiać pytania i szukać na nie innych odpowiedzi niż daje nauka. A trudno mi się zgodzić dlatego, że nie on jeden takie pytania stawia i w podobny sposób formułuje odpowiedzi. Jeśli więc ktoś się z jego sposobem myślenia nie zgadza, to wydaje mi się, że szacunek dla siebie samego, swojego dorobku i postawy nakazuje albo dyskutować w sposób rzeczowy, albo nie przyjmować zaproszenia do dyskusji. Epitety używane zamiast argumentów zawsze świadczą, że się w danej sprawie nie ma nic do powiedzenia. Jeśli nie ma się argumentów, to najłatwiej i najprościej wytknąć przeciwnikowi jego duże uszy.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

ILE MAM BRZEGÓW?

Przekorność wielu naszych humorystów, felietonistów, dziennikarzy i w ogóle ludzi piszących stała się już tak przekorna, podpuszczanie czytelnika i robienie go w konia tak zamaskowane, ironia tak filuterna a zadowolone z siebie besserwiserstwo tak perfidne, że bardzo często nie wiadomo, o co właściwie chodzi: czy to, co się czyta, należy czytać w dobrej wierze, czy na wspak, czy coś między jednym a drugim? Podejrzewam, że jest w takim pisaniu duża doza najzwyklejszego cynizmu. Autor nie odpowiada za swoje słowa, ślizga się pomiędzy ich znaczeniami, gotów w każdej chwili uchylić się za wyniośle wyrozumiały, niby to zdumiony uśmiech: ależ to nie tak trzeba rozumieć! Przecież to pastisz!

Kpina staje się zbyt łatwa: zostawia krotochwilnemu kpiarzowi tysiąc furtek, którymi umknie przed słusznym gniewem i będzie rechotał jeszcze głośniej. Prostoduszny, łatwowierny obywatel — a ludzie łatwowierni to prawdziwe i cenne ozdoby naszego zwierzyńca — staje się zbyt łatwo bezbronnym łupem takich rozchichotanych kpiarzy. Czasami wychodzi z tego wszystkiego widowisko żenujące: kiedy kpi się z ludzi, którzy nikomu nie wadzą, którzy są może nawet śmieszni, ale śmiesznością nieszkodliwą, nie mającą żadnego społecznie negatywnego rezonansu, przeciwnie: zasługują nawet na życzliwą tolerancję, ba! — sympatię wobec ogromu spraw, czekających na zdecydowany „odpór".

Od pewnego czasu „Przekrój" prowadzi rubrykę „Od Pegaza do Rosynanta", czyli od konia uskrzydlonego do szkapy zajeżdżonej przez zwariownego nieboraka. Parę lat wcześniej „Szpilki" wprowadziły całą kolumnę p.t. „Hyde Park", gdzie niby to — jak w autentycznym londyńskim parku — udzielają szczodrze głosu każdemu, komu się wydaje, że ma coś do powiedzenia.

Nie wiem — bo w sytuacji wiecznych mistyfikacji i przebieranek nie jest tu łatwo o pewność — czy wiersze w obu tych rubrykach są autentyczne i podpisywane autentycznymi nazwiskami, czy też zmyślą je jakiś subtelny intelektualista przy redakcyjnym biurku. Jeśli zachodzi ten drugi przypadek, to nie wiem, po co by mądry człowiek zmyślał takie na przykład wiersze:

Wizyta

Znowu zaprosiłeś mnie o mnie
poznałam to po minie
czy tobie to nie minie
u ciebie będąc z wizytą
siedzę jak na minie
czy widać to po mnie
że mnie nie ominiesz?

(„Szpilki", Hyde Park)

Albo takie:

Autoportret

Jaka jestem dobra czy zła,
mało-lepsza, trochę-gorsza
odkąd ciebie nie widuję
może jestem taka morska.
Pytam więc, gdzie mój port,
ile mam brzegów czy portów
w niezliczoność
odpowiem ci sama, port
mam jeden, a nazwą jego
ciało Twoje.

(„Przekrój", Od Pegaza do Rosynanta)

Po co by mądry człowiek zmyślał jeszcze list do redakcji, w którym rzekoma (a może prawdziwa?) autorka drugiego wiersza rzekomo (lub naprawdę) pisze: „Autoportret jest przepojony tematyką „marynistyczną", którą zawsze faworyzuję". To wszystko są oczywiste bzdury, nie mające przecież odniesienia do żadnych konkretnych zjawisk literackich (konkretnych, a więc nazwanych, pochodzących spod nieanonimowych piór), nie są więc parodią niczego. Jaka jest ich racja istnienia w „Przekroju" i w „Szpilkach"?

Jeżeli są to wiersze autentyczne, podpisane prawdziwymi nazwiskami, to oczywiście pozostają nadal ewidentną bzdurą ośmieszającą autorów. Po co drwić z ludzi wywlekaniem na wielkie forum ich nieszkodliwych śmieszności? Komu to i do czego ma służyć?

Sam — jako pracownik radia — otrzymuję wiele bardzo niemądrych utworów; czasami pochodzą one od ludzi znanych skądinąd jako bardzo aktywni, zdolni, twórczy. Czy nadużywając ich niewinnej chęci pisania mam publikować te utwory właśnie po to, żeby autorów wydać na pośmiewisko? Po co?

Myślę, że jest to zabawa okrutna i niepotrzebna. Oczywiście — jeśli grafoman zaczyna buszować po nieplewionym poletku literatury żądając oklasków i stypendiów, jeśli jakieś grupy ludzi, jakieś ośrodki nadmuchują bez skrupułów pusty w środku balonik sezonowego „twórcy" — to to są zjawiska społeczne i z tymi trzeba walczyć także bronią ośmieszania. Ale po co z wielkiego anonimowego tłumu wyciągać na siłę grafomanów i robić z nich ucieszne (w zamyśle) widowisko?

ĆWIEK

SPORT

ORZEŁ I RESZKA

O pochopnej opinii można mówić wtedy, kiedy argumenty i racjonalną analizę przesłaniają emocje. Wprawdzie nasza ulubiona drużyna jest całkowicie bez formy ale jej przysięgły kibic gotów jest o tym nie pamiętać i na krótko przed spotkaniem z silnym przeciwnikiem będzie się odgrażał i zapewniał, że „my im pokażemy". Taka pochopność zdarza się, niestety, nie tylko przysięgłym kibicom. Tony Book, trener Manchesteru City, przed pierwszym meczem z Widzewem był święcie przekonany, że w pierwszej połowie jego chłopcy strzelą Burzyńskiemu trzy gole, a w drugiej dołożą jeszcze dwa. Jak to się skończyło, wszyscy wiemy.

Niektórzy komentatorzy zagraniczni gotowi byli dać głowę za to, że olimpijski medal Janusza Peciaka (który bywa również Gerardem Pyciakiem) był po prostu fuksem Na montrealską metę przyszedł pierwszy „czarny koń" z Polski, ale już przy następnych sprawozdaniach wszystko wróci do normy. Janusz Peciak, zdobywając najpierw Puchar Europy, a następnie tytuł mistrza świata, udowodnił, że jest rzeczywiście najlepszy. Zarówno na świecie, jak i w Europie, co jest istotne, bo nie każdy mistrz świata i olimpijski medalista, może być mistrzem Europy. Przykładów na to polski sport dostarcza aż nadto.

Pół biedy jeszcze, kiedy przysięgły kibic czy nawet wytrawny komentator sportowy, kierując się bardziej emocjami niż realiami, wydaje swoje pochopne opinie o sportowych możliwościach zawodników. Oni sami, w konkretnej rywalizacji, skorygują te opinie, pokazując na co ich rzeczywiście stać i kto aktualnie jest lepszy. Gorzej natomiast, jeśli tylko na podstawie emocji głosi się pochopne opinie o postawach i postępowaniu konkretnych ludzi. W naszym życiu sportowym było już, niestety, kilka przypadków, kiedy w kształtowaniu opinii brały górę emocje. Ostatnio coś takiego zdarzyło się w Nowym Targu. Oburzenie było powszechne. Sprawa wydawała się oczywista. Sześciu hokeistów zaszantażowało klub: więcej pieniędzy, albo nie wychodzimy na lód. Trudno taką postawę pochwalać. I też nie mam zamiaru tego czynić. Nie mogę jednak sobie odmówić prawa do pewnych refleksji, a to z dwóch powodów.

Po pierwsze — nie ujawnię żadnej tajemnicy, bo wróble na dachach o tym ćwierkają, że podobne żądania, choć nie w tej formie wyrażane wysuwało, wysuwa i jeszcze będzie wysuwać, nie tylko tych sześciu zawodników z Nowego Targu.

Po drugie — niejeden już raz okazało się, że medal ma dwie strony, i pochopne opinie nie wyrażają całej prawdy. I nie chcę powracać do starych, znanych przykładów Wystarczy ten najnowszy z Nowego Targu. Bo — jak to wynika z reportażu Andrzeja Wolina pt. „Bunt na lodowisku", opublikowanego 4 października w „Sztandarze Młodych" — sześciu nowotarskim hokeistom nie tylko chodziło o pieniądze za konkretny występ na lodowisku, co o zmianę regulaminu ustalającego zasady rozdzielania pieniędzy. Fakt ten całą sprawę ustawia w zupełnie innym świetle, choć nie zmienia jej istoty.

Co się bowiem okazuje? Okazuje się przede wszystkim, że słynna teza głosząca, iż o sukcesach drużyny decyduje współpraca „na linii: działacz — trener — zawodnik" w niektórych klubach jest czystą teorią. Nowotarscy hokeiści chcieli mieć coś do powiedzenia w sprawie obowiązującego ich regulaminu. I głupio się pośliznęli. Okazuje się również, że najskuteczniejszą formą pracy wychowawczej w sporcie są złotówki. Zawodnikowi płaci się za wygrany mecz, za zremisowany mecz, za strzelone bramki, za dobrą formę i w ogóle za gotowość i chęć do gry. Zawodnik natomiast płaci klubowi za dostrzeżone przez sędziego przewinienia, za przesiadywanie na ławce kar, za spóźnienie na trening, za używanie brzydkich słów podczas występu i za niesportowy tryb życia

O tym, że w sporcie coraz częściej pieniądz staje się narzędziem manewru taktycznego, wiadomo jest od dawna. Wiadomo również, że sport wyczynowy to ciężka praca i tylko rzetelny wysiłek przynosi sukcesy. Każdy to rozumie, że sukcesy sportowca zależą od stworzenia mu odpowiednich warunków. Nie można się jednak godzić na to, aby sposoby stworzenia tych warunków były dowolnie kształtowane przez poszczególne kluby. I dopóki sobie nie uświadomimy, że jest to niekontrolowana prawidłowość, dopóty będziemy zaskakiwani podobnymi, wielce nie budującymi sprawami.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul Piotrkowska 96 kody poczt 90-950 i 90-102. Telefony 652-44 i 217-98 oraz 293-00, wew. 29 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł., kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2125, W-2.